

ZESŁANIEC

PISMO RADY NAUKOWEJ
ZARZĄDU GŁÓWNEGO
ZWIĄZKU SYBIRAKÓW
PL ISSN 1426-2126



56 2013



Z e s ł a n i e c

PISMO RADY NAUKOWEJ ZARZĄDU GŁÓWNEGO
NR 56 ZWIĄZKU SYBIRAKÓW ROK 2013

Spis treści

• Adam Czesław Dobroński <i>Osiedla polskie w Afryce</i>	3
• Danuta Sedlak <i>Polski cmentarz na równiku</i>	37
• Herkulan Wróbel OFM <i>Przez Syberię do Ameryki Południowej. Opowieść o ojcu Justynianie Maciaszku OFM...</i>	43
• Jolanta Aniszewska <i>Ocalona pamięć...</i>	51
• Eugeniusz Niebelski <i>Sesja poświęcona Powstaniu Styczniowemu...</i>	69
RELACJE Z ZESŁANIA	
• Ludwika Turowska <i>Sześć lat na zesłaniu</i>	79
• Anna Charchan <i>W 1949 na Sybir nas zesłali...</i>	82
• Teresa Gospodarczyk <i>Wywiezieni na Sybir</i>	86
KRONIKA	
• Aneta Hoffmann <i>Ogólnopolska kampania edukacyjna...</i>	91
• Mirosław Grudzień <i>Nagroda literacka dla Anatola Diaczyńskiego w Stalowej Woli</i>	92
• Sylwia Trzeciakowska <i>Międzynarodowa Szkoła Muzeologii „Rosja – XX wiek...”</i>	96

Od redakcji

O początku swego istnienia (1996) kwartalnik „Zesłaniec” odwołuje się do szeroko pojętej tradycji związków polsko-syberyjskich. Problematyka ta doczekała się wielu oryginalnych ujęć, w których częstokroć pojawiają się kwestie dziedzictwa naukowego, gospodarczego i cywilizacyjnego za Uralem. Bez wątpienia tematyka ta ciągle obecna na łamach naszego pisma nadal przyjmowana jest z zainteresowaniem i wzbogaca wiedzę o dziejach Polaków na Syberii.

W nurt ten wpisuje się też tradycyjna już część naszego kwartalnika zwana relacjami z zesłania. Zesłania te stanowiące jedno z najtragiczniejszych doświadczeń nosiły charakter czterech masowych deportacji Polaków w latach 1940-1941 oraz wywózek przypadających na lata 1944-1945 po wkroczeniu Armii Czerwonej na tzw. Kresy Wschodnie.

Dzieje tych wydarzeń można odnaleźć w wielu relacjach o różnym natężeniu faktograficznym z zakresu zesłańczego losu, są też w nich niezwykle barwne i szczegółowo opisane kontakty z autochtonicznymi ludami Syberii, opisy stepów Kazachstanu, kolorowych pejzaży tajgi i tundry syberyjskiej. Dotyczy to rzecz jasna, także zjawisk kulturowych stanowiących istotną formę tożsamości tubylczych grup etnicznych, z którymi spotykano się na zesłaniu. Sprawy te pojawiają się nieraz w tych relacjach i dopełniają smutne realia wygnańczego losu.

- **Ewa Ziółkowska**
Wręczono nagrody „Przeglądu
Wschodniego” 2012 **97**

REGAŁ Z KSIĄŻKAMI

- *Polacy w guberni archangielskiej
w XIX i XX wieku*, Wrocław 2012
(Barbara Noworolska) **101**
- Anna Rudawcowa, *Wiersze z Sybiru*,
pośl. Jerzy Fiećko, Gliwice 2013.
(Katarzyna Fedorowicz) **104**
- Anna Gomółka, *Jan Michał Witort.
Wprowadzenie do antropologii....*,
Katowice 2011.
(Anna Milewska-Młynik) **107**
- Janusz Kamocki, *Egzotyczne podróże
etnografa. Azjatyckie wędrówki
i poszukiwania polskich zesańców
w ZSRR*, Wydawnictwo Kubajak,
Krzeszowice 2013.
(BronisławPrzesmycki) **109**

Na okładce: Brygada do korowania i kosenia traw dla koni, obwód archangielski, posesiłek Małyje Izby, (s. 1); Danuta Szarejko nad grobem matki w Kazachstanie (s. 4). Zdjęcia ze zbiorów Muzeum w Stargardzie

Zeszyt opublikowany dzięki dotacji Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa

Wydawca: Zarząd Główny
Związku Sybiraków,
ul. Mazowiecka 12
00-048 Warszawa, tel. 22/827 93 71

Redakcja: A. Dobroński,
A. Dzienkiewicz, W. Krawczyński,
A. Kuczyński (red. nacz.), S. Sikorski,
P. Zworski
Sekretarz redakcji: M. B. Kuczyńska

Wykonawca: Skład, druk i oprawa –
QUAESTIO Przemysław Włodarczyk,
ul. Paczkowska 26; 50-503 Wrocław

Copyright nazwy „Zeslaniec”
by A. Kuczyński

Adres redakcji: ul. Bystrzycka 61/3
54-215 Wrocław, tel. 71/351 10 94

Publikowane w „Zesłańcu” artykuły przybliżają obraz polskiej obecności na Syberii, ukazany z perspektywy historycznej, jak i współczesnej dotyczącej odradzania się kultury i świadomości etnicznej Polaków mieszkających do dzisiaj w wielu rejonach syberyjskiej ziemi. Gorąco zachęcam do zapoznania się z refleksjami na ten temat zawartymi w relacji Biskupa Cyryla Klimowicza z Irkucka poświęconymi historii, pamięci i współczesnemu duszpasterstwu Kościoła katolickiego na Syberii oraz powstańcowi styczniowemu Józefowi Kalinowskiemu, zesłanemu na Syberię, dziś wyniesionemu na ołtarze i czczonemu w Osobie św. Rafała. Jest w tej relacji spojrzenie na przeszłość oraz teraźniejszość Polaków w Irkucku, Usolu, Wierszynie oraz w innych zakątkach syberyjskiej ziemi, których losy były przeorane przez sowiecką bezwzględność

Artykuły zawarte w tym zeszycie „Zesłańca” dowodnie potwierdzają, że są one ważne, społecznie użyteczne i odwołują się do złożonych kontekstów polsko-syberyjskich przedstawionych dzięki wysiłkowi autorów. Mam nadzieję, że w artykułach tych znajdą Czytelnicy interesujące ich wątki. Jednocześnie dziękujemy im za propagowanie „Zesłańca”, a Radzie Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa za finansowe wspieranie naszego piśma, jedyne w tej chwili periodyku poświęconego związkom polsko-syberyjskim.

Wiesław Krawczyński
Przewodniczący Rady Naukowej
Zarządu Głównego Związku Sybiraków

ADAM CZESŁAW DOBRŃSKI

OSIEDLA POLSKIE W AFRYCE

Temat ten budził od dawna zainteresowanie, z wiadomych powodów był podtrzymywany głównie wśród Polaków pozostających na emigracji powojennej. Przede wszystkim więź koleżeńską zachowywali byli mieszkańcy osiedli, najpierw manifestowali ją starsi wiekiem, potem pałeczkę pokoleniową przejmowali młodszy, którzy musieli dokończyć edukację, podjąć pracę zawodową, założyć rodziny, ustabilizować swój byt. Ukazywały się reportaże na łamach czasopism, wspomnienia, listy z prośbą o odszukanie dawnych kolegów i koleżanek. Następnie przyszła kolej na zarysy monograficzne szkół, organizacji, albumiki i albumy. Ważną rolę odgrywały zjazdy koleżeńskie, spotkania grup w klubach i kawiarniach, podtrzymywane przyjaźnie. Okazją ku nim były również kolejne rocznice wywózki na wschód, zamieszkania w osiedlach na Środkowym i Bliskim Wschodzie, w Afryce, Indiach, Nowej Zelandii i Meksyku, ewakuacji do Europy lub za Ocean. Od lat 90. „Afrykanie”, „Indianie”, mieszkańcy z osiedli rozrzuconych na innych kontynentach dawali z animuszem znaki życia również w wolnej Polsce. I choć przerzedziły się znacznie ich szeregi, to trwa dobra passa „tułaczycy dzieci”, przybywa publikacji i tablic pamiątkowych, rozkręca się akcja odbudowy cmentarzy.

W to dzieło wpisuje się także w pewnym stopniu ten zeszyt „Zesłańca”. Chciałbym do niego dołączyć przede wszystkim kilka cennych dokumentów przechowywanych w Instytucie Polskim i Muzeum gen. Sikorskiego w Londynie. Niestety, są one do tej pory mało znane, lub w ogóle pomijane, zarówno te ze specjalnej kolekcji¹, jak i z zespołów Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej, Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Szacuje się, że przez 18-19 osiedli polskich w Afryce przeszło ponad 20 tys. osób, ale przed dłuższy czas utrzymywał się w nich stan około 18,5 tys. Pierwsze transporty morskie dotarły do portów w Mombasie, Tandze i Dar es Salam oraz w południowej części wybrzeża (Mozambik). Najwięcej osiedli zlokalizowano w Tanganice, wcześniej też (1942 r.) pojawiły się w Ugandzie, potem w obu Rodezjach, na koniec w Związku Południowej Afryki, ale wielu zapamiętało również obóz przejściowy Makindu w Kenii. Osiedla różniły się wielkością, rozplanowaniem i wyglądem domków, położeniem, spełnianymi funkcjami, bo oprócz mieszkalno-gospodarczych pojawiały się specjalnego przeznaczenia,

¹ Instytut Polski i Muzeum Sikorskiego w Londynie (IPiMS), sygn. B. 174, te czki z materiałami do historii poszczególnych osiedli (Digglefold, Ifunda, Koja, Kondo, Marandellas, Masindi, Morogoro, Rusape, Tengeru), szkół, osób (Gatooma). Są także w te czkach wspomnienia, albumy (zjazd 1975 r.), zdjęcia.

szkolne². Dominowały w nich kobiety (47%), w miarę upływu czasu coraz większy udział w życiu publicznym mieli młodzi (41,5%), trudną do przecenienia był obecność mężczyzn, co widać i po składach wszelkich władz, zarządów, komitetów. A wspomniano przede wszystkim tych, którzy walczyli na frontach, zostali w Rosji, żyli (w co wierzono) w stronach rodzinnych. Około 90% stanowili mieszkańcy ziem wschodnich II RP, głównie z rodzin chłopskich i osadników wojskowych. Odczuwano niedobór osób z kręgów inteligentnych, na co wpływ miała i negatywna selekcja podczas formowania transportów wyprawianych z Iranu.

Na obcej ziemi wyrosły polskie osady, z władzami (delegatury i urzędy) polskimi (głównie w Nairobi, stolicy Kenii), ale pod opieką i dzięki finansom Anglików. Chyba jednak słusznym jest zarzut, że daleko nie wszyscy Polacy zatrudnieni w administracji wykazali się postawą społeczników, a samorządy osad nie w pełni potrafiły wykorzystać dane im możliwości, w tym poprzez rozwój spółdzielczości. Po lipcu 1945 r. mocno odczuwano obecność władz brytyjskich, pojawiły się nowe zagrożenia i niepokoje. W 1947 r. zaczęła się likwidacja osiedli polskich w Afryce, ta trwała do przełomu lat 1949-1950.

Na różny sposób można śledzić losy osiedli polskich w Afryce. W opowieściach byłych mieszkańców górują sentymenty i wspomnienia zdarzeń niezwykłych, otacza je coraz silniejsza legenda. W sprawozdaniach i raportach roi się od danych statystycznych i nazwisk, które nadają tematowi powagi i skłaniają do formowania ocen kończonych słowami uznania za trwanie oraz wysiłek organizacyjny. Do rzadkości należą teksty i zestawienia bardziej refleksyjne, nie stroniące od pytań, a także przygan, czego przykładem szkice Wiktora Ostrowskiego³. Szkoda zaś, że wciąż nie powstały monografie historyczne poszczególnych osiedli (wyjątki są bardzo nieliczne i wymagają uzupełnień) oraz syntezy, kolejne albumy⁴.

Szczególnie zaniedbane są badania nad stroną gospodarczą osiedli (produkcyjność, przygotowanie młodych do zawodu) i ich sytuacją w końcowej fazie, kiedy podejmowano gorączkowe działania, by „nie utracić” dzieci polskich. Przykładem niechaj będzie fragment notatki opracowanej przez Dział Opieki Społecznej:

Co do dalszego pobytu dzieci polskich na terenie Unii [Południowej Afryki] sądzimy, że rzeczą właściwą i pożyteczną będzie czasowo utrzymanie Domu Dzieci Polskich jako ośrodka szkolnego dla dzieci kształcących się w polskich szkołach powszechnych oraz ośrodka utrzymującego łączność z młodzieżą starszą, kierowaną do południowo-afrykańskich szkół średnich zawodowych (Technical Colleges). Pewna liczba młodzieży z Oudtshoorn była już uprzednio kierowana do Technical Colleges. Zdaniem naszym cała młodzież po ukończeniu odpowiednio

² Były także m.in. dom starców w m. Manira, sanatorium przeciwgruźlicze pomiędzy Arusha i Moshy.

³ Zawarł je w książce *Safari przez czarny ląd. Szkice z podróży po Kenii, Tanganicy, Ugandzie i wyspie Zanzibar*, Londyn 1947 oraz w maszynopisie *Osiedla polskie w Afryce Wschodniej*, IPiMS, sygn. A,18, t. 47. Były i silne zarzuty skierowane pod adresem duszpasterzy.

⁴ Wciąż najbardziej przydatną i najłatwiej dostępną pozostaje album *Tułacze dzieci. Exiled Children*, wyd. Archiwum Fotograficzne Tułaczy, Warszawa 1995. Z nowszych wydawnictw wskazać wypada tom *Polskie dzieci na tułaczach szlakach 1939-1950*, red. J. Wróbel, J. Żelazko, Warszawa 2008. Aktywność największą w tym względzie wykazuje Centrum Dokumentacji Zsyłek, Wypędzeń i Przesiedleń przy Uniwersytecie Pedagogicznym w Krakowie.

zreformowanej szkoły powszechnej powinna kontynuować naukę w miejscowych szkołach zawodowych, aby zdobyć odpowiednie przygotowanie do produktywnej pracy na terenie Unii, gdzie niewątpliwie będzie jeszcze przez czas dłuższy przebywała. Przez zreformowanie Polskiej Szkoły Powszechnej w Oudtshoorn rozumiemy dostosowanie jej programu do miejscowych szkół, intensyfikację języka angielskiego, a nawet ewentualne wprowadzenie nauczania pewnych przedmiotów w języku angielskim. Pewna część młodzieży mogłaby prawdopodobnie od razu znaleźć zatrudnienie⁵.

Dokument nr 1.

Ważne miejsce w dokumentacji zachowanej w Instytucie Polskim i Muzeum gen. Sikorskiego zajmuje opracowanie: „Stan liczebny i warunki życia dzieci polskich na uchodźctwie w Europie i poza Europą”, sporządzone w lutym 1946 r. w Londynie⁶. Elaborat składa się ze wstępu oraz działów poświęconych dzieciom polskim poza Europą (Indie, Nowa Zelandia, Meksyk, Afryka Wschodnia, Afryka Południowa, Palestyna i Liban), opiece prawnej nad sierotami, dzieciom polskim w Europie (Austria, Niemcy z podziałem na strefy: amerykańska, brytyjska i francuska, Italia, Wielka Brytania). Autorzy opracowania zaznaczyli, że opracowanie o położeniu dzieci poza Europą nie nastroczało trudności, ponieważ od kilku lat napływają stamtąd sprawozdania, a ponadto w ostatnim okresie nie zaszły tam znaczące zmiany w odniesieniu do stanów liczbowych i struktur organizacyjnych.

Dzieci polskie poza Europą

„Deportacja [sowiecka], pozornie najłżejsza forma odosobnienia ludzi „społecznie niebezpiecznych”, objęła okręgi: białostocki, lidzki, grodzieński, wileński, poleski, nowogrodzki, Wołyń i Małopolskę. Na razie wiadomo było tylko, że wywożenie ludności polskiej w głąb Rosji podzielone było na cztery etapy, z których pierwszy rozpoczął się 10 lutego 1940 r., drugi 13 kwietnia 1940 r., trzeci 26 czerwca 1940 r. i czwarty w czerwcu 1941 r.⁷ Co do ilości wywożonych rodaków brak było zupełnie danych, gdyż w chaosie trudno było rozróżnić, czy zniknięcie pojedynczych osób i całych rodzin spowodowane zostało morderstwem, czy też deportacją. Dopiero po wznowieniu stosunków dyplomatycznych między Polską a Związkiem Radzieckim w 1941 r., Ambasada RP w Kujbyszewie rozpoczęła mozolną pracę poszukiwania wywiezionych obywateli polskich, rozproszonych na olbrzymim obszarze Związku Radzieckiego. Władze sowieckie nie okazywały pomocy. Uchylały się od podawania jakichkolwiek danych dot. deportowanej ludności polskiej, a gdy wreszcie przy pewnej sposobności wymieniły cyfrę 300-350 tys., można było z góry przypuszczać, że liczba ta była znacznie większa.

Nad wyraz trudna praca Ambasady RP w Kujbyszewie wykryła, że deportowano z Polski 1.050.000 osób cywilnych, w tym 117.400 dzieci⁸. Nieza-

⁵ IPiMS, sygn. A. 18, t. 46. *Dzieci polskie w Afryce Południowej*, 4 X 1946.

⁶ IPiMS, sygn. A. 18, t. 47, *Raport Ministerstwa Opieki Społecznej, Londyn, luty 1946 r.*, maszynopis, s. 19.

⁷ To wprowadziły tylko daty czterech wielkich wywozów, ale w pozostałych formach represji sowieckiej udział dzieci był znikomy.

⁸ IPiMS, sygn. A. 18, t. 47, *Raport...*, s. 2. Statystyka obywateli II RP wywiezionych w okresie okupacji sowieckiej budzi nadal liczne kontrowersje. Szacunek do 350 tys. jest najniższym z podawanych i oparty został na sprawozdaniach wojsk konwojo-

leżnie od osób cywilnych, na terytorium Polski w tym samym czasie znalazło się 350.000 jeńców wojennych. Warunki, w jakich odbywała się deportacja oraz niesłychanie ciężka dola ludności polskiej, wśród której 117.400 dzieci polskich przechodziło nieludzkie po prostu przeżycia, zostały opisane przez same dzieci (*Za winy niepopetnione*, Irena Wasilewska)⁹. Deportowani rozmieszczeni zostali w dalekich prowincjach Rosji, nie wyłączając tajgi, a z nimi dzieliły los dzieci. W ten sposób dzieci polskie znalazły się w nast. obłastach: Mokotowskiej [ob. Permskiej], Nowosibirskiej, Irkuckiej, Janickiej [Jakuckiej?, Jenisejskiej?], Wołogockiej [Wołogodzkiej], Tobolskiej, Kieremianskiej [Kiemierowskiej?], Karapałkaskiej [Karałpałpackiej], Chorożuńskiej [Chorezmskiej?], Aktiubińskiej, Kustanajskiej i w Kazachstanie¹⁰.

Część dzieci polskich wywieziona była bez rodziców, część z rodzicami, lub też z jednym z rodziców. Liczne były wypadki, że dzieci nie mogąc znieść warunków długiej podróży z powodu chorób, głodu i zimna, umierały w czasie drogi.

Po przybyciu na miejsce wyznaczone przez władze sowieckie, dzieci w wieku od lat 10 zmuszone były do pracy i to pracy ciężkiej, jak: rąbanie drzewa w tajdze, noszenie wody z odległej od siedziby rzeki, kopanie ziemi, itd. Żywność, mieszkanie oraz ubranie dzieci świadczyły o nędzy, na jaką rozmyślnie skazały je władze sowieckie. Do jakiego stopnia dzieci odczuwały swoje nieszczęście i beznadziejność położenia, świadczą wypadki chorób psychicznych, objawiających się m. in. w formie melancholii. Choroby zakaźne (tyfus, odra i pelagra) nie były wyłączną przyczyną śmiertelności dzieci i dorosłych w Rosji. Jak wyżej wspomniano, powodem dużej śmiertelności wśród dzieci był głód, zimno, przemęczenie fizyczne i psychiczne. Na przestrzeni tylko w pierwszym roku, jak wykazują badania Ambasady RP w Kujbyszewie – zmarło 19.566 dzieci deportowanych do Rosji. Te same warunki i prześladowania ze strony władz sowieckich były powodem zgonów i wśród dorosłych.

W ten sposób znalazło się 5.764 sierot zupełnie bez opieki i 45.454 półsierot. Opuszczone dzieci były kierowane do zakładów wychowawczych, które były niczym innym, jak po prostu więzieniami. Obowiązywała je nauka w szkole prowadzonej przez władze sowieckie w języku rosyjskim. Nauka polegała przede wszystkim na uczeniu języka rosyjskiego, który obowiązywał w rozmowie między dziećmi i wpajaniu zasad doktryny bolszewickiej. Wykroczenia w szkole były bezwzględnie i boleśnie karane biciem i zakazem spożycia złej i skromnej dziennej racji żywnościowej.

Wiadomości o deportacji i przypuszczenia, co do traktowania wysiedleńców przez władze sowieckie nakazywały Rządowi Polskiemu zrobienie wszystkiego, aby ratować życie deportowanych. Akcja pomocy okazała się jednak trudną do realizacji, ponieważ począwszy od r. 1942, władze sowieckie aresztowały delegatów Ambasady RP i mężów zaufania w liczbie 109 osób, których

wych. Według środowisk sybirackich wywózki mogły objąć 1,5-2 mln osób. Dane zebrane przez Ambasadę RP w Kujbyszewie wydają się najbardziej wiarygodne w odniesieniu do dzieci, którym poświęcono wyjątkowo wiele uwagi. Próbę uściślenia wielkich liczb stanowiło zestawienie: *Represje sowieckie wobec Polaków i obywateli polskich*, Warszawa 2000 (Ośrodek KARTA).

⁹ I. Wasilewska, *Za winy niedopetnione*, Rzym 1945. Z tamtego okresu vide: Z. Sroczyński, *Stan liczebny i warunki życia dzieci polskich na uchodźstwie [!] w Europie i poza Europą*, Londyn 1946.

¹⁰ IPiMS, sygn. A. 18, t. 47, *Raport...*, s. 3. Przypuszczalnie przepisujący raport w Londynie popełnił błędy w nazewnictwie. Rejon aktiubiński to także Kazachstan.

zadaniem była opieka nad deportowanymi, a więc i dziećmi. Areszty, rzecz oczywista, utrudniły i zmniejszyły działalność opiekuńczą ambasady. Bezpośrednia opieka Ambasady nad deportowanymi ustała całkowicie w końcu kwietnia 1943 r., tj. z chwilą zerwania stosunków dyplomatycznych Rosji z Polską. Usiłowanie wykorzystania pośrednictwa państw obcych w celu niesienia dalszej pomocy deportowanym okazało się niewykonalnym, gdyż Związek Sowiecki nie dopuszczał pośrednictwa przyjaznych Polsce państw, ani pomocy Międzynarodowego Czerwonego Krzyża.

Sprawa pomocy deportowanym i problem uwolnienia jeńców Polski w Rosji znalazły się na drodze do rozwiązania, gdy Niemcy rozpoczęli działania wojenne przeciwko Związkowi Sowieckiemu. W ten sposób Rosja, stając się aliantem Polski, wznowiła stosunki dyplomatyczne w 1941 r., które umożliwiły rządowi polskiemu akcję uratowania skazanych na zagładę obywateli polskich.

Na mocy umowy polsko-rosyjskiej rozpoczęto organizować na terenie Rosji armię polską, rekrutującą się z jeńców wojennych i deportowanych, i roztoczono opiekę nad deportowaną ludnością polską. Jak wspomniano wyżej, akcję osiedleńczą musiały poprzedzić mozolne poszukiwania deportowanych, rozrzuconych po całej Rosji. W miarę jednak, jak ośrodki polskie odnajdowano, delegatury MOS [Ministerstwa Opieki Społecznej] natychmiast przychodziły z bezpośrednią pomocą materialną i moralną nieszczęśliwej ludności. Obok akcji Min. Opieki Społecznej, organizujące się w Rosji Wojsko Polskie wydatnie przyczyniało się do polepszenia doli deportowanych. Zanim jednak doszło do umożliwienia wydostania deportowanych poza teren Rosji, władze polskie musiały zorganizować w Rosji punkty opiekuńcze. Utworzono więc 83 sierocińce, w których dano opiekę dzieciom w wieku do lat 17. Pomoc materialną sierocińce otrzymywały od władz polskich. Niezależnie od pomocy polskich władz opiekuńczych, dzieci korzystały z dobrodziejstw i darów nadchodzących z Anglii, N[owej] Zelandii, Australii i innych krajów dla Polaków w Rosji, a mianowicie: odzieży, koców, obuwia, lekarstw, cukru, dżemu, mleka kondensowanego, biszkoptów, kakao, tłuszczu itp. W sierocińcach znajdujących się na terenach, gdzie stacjonowało Wojsko Polskie, podstawą utrzymania były racje żołnierskie, którymi wojsko dzieliło się z sierotami. Obok sierocińców, z inicjatywy deportowanych i przy pomocy władz polskich, powstały 43 szkoły rozrzucone po całej Rosji¹¹. Były to szkoły z programem dostosowanym do poziomu dzieci, który dzielił dzieci na grupy niezależnie od wieku. Najlepiej zorganizowana była polska szkoła w Bucharze. Składała się na nią szkoła powszechna i dwie klasy gimnazjalne. Uczniowie tej szkoły wydawali nawet „Gazetkę Szkolną”, ręcznie pisaną, w której wymieniali swoje myśli i przeżycia.

Z inicjatywy Rządu Polskiego udało się przenieść część deportowanych z północnych, klimatycznie bardzo trudnych rejonów Związku Sowieckiego do południowych jego okręgów. Okoliczności sprawiły, że Rosja wyraziła zgodę na przeniesienie polskich formacji wojskowych, organizowanych w Związku Sowieckim, na Bliski Wschód. Ewakuacja Wojska Polskiego z Rosji w ciągu marca, kwietnia, sierpnia i września 1943 r. dała sposobność na wywiezienie 42 tys. osób cywilnych, w tym 15.296 dzieci.

¹¹ Bogata, ale rozproszona literatura, z przewagą wspomnień. Jedna z pierwszych pozycji, udokumentowanych źródłowo: D. Boćkowski, *Czas nadziei. Obywatele Rzeczypospolitej w ZSRR i opieka nad nimi placówek polskich w latach 1940-1943*, Warszawa 1999.

Oczywiście, niemożność powrotu do ojczyzny zmuszała do poszukiwania terenów poza Europą. Niełatwemu zadaniu musiał sprostać Rząd Polski. Wymagało ono bowiem wyszukania odpowiednich terenów, uzyskania zgody na osiedlenie deportowanych u rządów danych krajów, sprawnej organizacji, wielkich środków materialnych na przewóz wygnańców i utworzenie im odpowiednich warunków egzystencji. Otworzyły się możliwości wywiezienia cywilnych deportowanych do Indii, Afryki Wschodniej i Południowej oraz do Meksyku. Chodziło o spieszne rozładowanie deportowanych, o usunięcie ich poza granice Rosji.

Przewidując Persję jako terytorium polskich obozów tranzytowych, dla dzieci wyznaczono sierociniec w Aszchabadzie jako punkt zborny, aby przez Persję (Iran), Palestynę, Syrię i Liban dostać się do obozów w Indiach, Afryce, Ameryce i Nowej Zelandii.

Akcje ewakuacji ludności polskiej przerwało nagłe zerwanie stosunków dyplomatycznych przez Rosję z Polską w r. 1943, skutkiem czego ok. 85 tys. dzieci pozostało w Rosji. Ile z nich jest przy życiu, oczywiście nie wiadomo, ale można przypuszczać, że jest to ułamek wskazanej liczby. Nie wiadomo, jaki spotkał los pozostałych przy życiu, ale gdy się weźmie pod uwagę, że po 6 latach z dzieci wyrosli mężczyźni i kobiety, można przypuszczać, iż są to ciężko pracujący i zdemoralizowani ludzie¹².

Dzieci polskie grupami przybywały z Rosji do Persji w miarę, jak były możliwości ściągania ich z olbrzymiego terytorium Związku Sowieckiego. W Teheranie znalazły się dzieci chore i wycieńczone; silniejsze i jeszcze normalne odczuwały szczęście i wyrażały wdzięczność swym bezpośrednim opiekunom. Przyjęcie dzieci w Persji było zorganizowane przez Rząd Polski. W Teheranie działało Poselstwo RP, Delegatura MOS i Polski Czerwony Krzyż. Obok polskich placówek urzędowych dużą pomoc okazały władze i społeczeństwo irańskie, Delegat Apostolski, Amerykański Czerwony Krzyż, wojskowe władze brytyjskie i amerykańskie, Stowarzyszenia Francji Walczącej, Komitet Pań przy Poselstwie Francuskim, miejscowa Polonia i Komitet Żydowski.

15 tys. dzieci uratowanych nie mogło pozostawać na terenie Persji, zresztą Iran nie miał stanowić kraju ich stałego pobytu. Częściowo więc przeniesiono je do Palestyny, Syrii i Libanu, które to kraje również były krajami przelotowymi dla wysiedleńców polskich. Dziś w Persji i Syrii nie ma już dzieci polskich.”

Indie

W 1943 r. na zaproszenie rządu indyjskiego i Maharadży Nawanagara [maharadży Navanagaru], na koszt Rządu Polskiego, przybyło z Rosji około 5032 obywateli polskich, w tym 2392 dzieci. Dzieci zostały rozmieszczone w: Kolhapur [osiedle Valivade] – 2026, Jamnagar [osiedle Balachadi] – 280, Panchgani – 71, Bombaju – 15; dorosłych było więcej tylko o 278 osób. „W ten sposób uchodźcy zamienili lepianki, baraki i więzienia na możliwe, a często przyzwoite mieszkania”. W raporcie znalazły się dokładne opisy poszczególnych osiedli. Utworzono także delegatury Ministerstwa Opieki Społecznej oraz Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.

¹² Opinie potoczne, krzywdzące i dla b. dzieci pozostałych w ZSRR po kwietniu 1943 r. Niezależnie od kontekstu politycznego, docenić należy opiekę nad dziećmi polskimi, prowadzoną pod szyldem Związku Patriotów Polskich.

Według danych Min. WRiOP w Indiach przebywało 1444 dzieci w wieku 7-12 lat, 816 w wieku 12-18 lat i tylko 58 w wieku do 12 lat. 224 z nich stanowiły sieroty, 256 – pólsieroty, a los rodziców 143 dzieci nie był znany. Dzieci pozbawione opieki rodzicielskiej umieszczono głównie w Zakładzie Wychowawczym im. gen. Wł. Sikorskiego w Kolhapur oraz w bloku specjalnym dla chłopców „trudnych do prowadzenia”. Razem mieszkało tam 356 dzieci, w tym 85 chłopców i 271 dziewcząt. Istniały w Indiach następujące placówki oświatowe: 1 przedszkole (66 dzieci i 3 nauczycieli), 6 szkół powszechnych (1498 + 76), 3 szkoły średnie (607 + 32). Do harcerstwa, pozostającego pod kierownictwem Głównej Komendy Harcerstwa Polskiego w Londynie, należało 971 druhen i druhów. Ponadto dzieci i młodzież korzystali z 8 czytelni, a opiekę duszpasterską sprawowało 4 księży katolickich i pastor¹³.

Nowa Zelandia

W lipcu 1943 r. rząd nowozelandzki wystosował zaproszenie dla kilkuset dzieci, przeznaczając dla nich obóz w Pahiatua. Z zaproszenia skorzystały 704 dzieci i 140 osób dorosłego personelu opiekuńczego. Wszyscy oni dotarli do osiedla w październiku 1944 r., po przeprowadzeniu tam niezbędnych remontów i wyposażeniu pomieszczeń. Z ramienia MOS został wyznaczony kierownik, natomiast komendanta mianowały władze nowozelandzkie. W osiedlu Pahiatua przebywało 305 chłopców i 411 dziewcząt oraz 105 osób dorosłych. Dzieci były w wieku: 48 do 7 lat, 569 od 7 do 12 lat i 81 od 12 do 18 lat. „Jak wykazuje stosunek liczbowy dzieci do ludności dorosłej, osiedle Pahiatua jest dużym sierocińcem, w którym znajdują się również dzieci samotne; miejsce pobytu ani zgonu rodziców tych dzieci nie zostały ustalone”. Uruchomiono jedno przedszkole (48 dzieci), dwie szkoły powszechne (529), gimnazjum koedukacyjne (76), a dla dziewcząt starszych urządzono kurs krawiecki. Działało harcerstwo i stale przebywało 2 księży katolickich¹⁴.

Meksyk

Władze Meksyku wyraziły zgodę na przyjęcie do 25 tys. uchodźców pod warunkiem pokrycia wszelkich kosztów przez rząd polski. Po wizycie gen. W. Sikorskiego w USA i uzyskanej wówczas zgodzie prezydenta Roosevelta, koszty te obciążyły budżet USA. Przyjechało jednak w Meksyku tylko 720 dzieci i młodzieży, wśród nich było 87 sierot. Struktura wieku przedstawiała się następująco: do 7 lat – 14 dzieci, w grupie średniej (do 12 lat) – 621, a starszych – 85. Pracę rozpoczęło przedszkole (14 dzieci), zorganizowano szkołę powszechną (479 uczniów) i szkołę średnią (85 uczniów); razem było w nich 578 dzieci i młodzieży. Spełniono wszelkie inne warunki organizacyjne oraz programowe¹⁵.

¹³ IPiMS, sygn. A. 18, t. 47, *Raport...*, s. 7-9. Najnowszy tekst: J. Wróbel, *Rozproszeni po świecie. Polskie dzieci w osiedlach na Bliskim i Środkowym Wschodzie, w Afryce, Indiach, Meksyku i Nowej Zelandii*, [w:] *Polskie dzieci na tutejszych szlakach 1939-1950...*, s. 66-118. Również wydawnictwa środowiska „Indian”.

¹⁴ Ibidem oraz T. Bugaj, *Dzieci polskie w krajach pozaeuropejskich 1939-1949*, Jelenia Góra 1984.

¹⁵ Dwa transporty przybyły do hacjendy Santa Rosa.

Afryka Wschodnia¹⁶

„Na 16.013 uchodźców polskich w Afryce Wsch., łącznie z Rodezją Płn. i Płdn., jest 6925 dzieci rozmieszczonych w nast. prowincjach: Uganda – 2509, Tanganika – 2404, Kenia – 49, Rodezja Płn. – 573, Rodezja Płdn. – 1390. W tej liczbie znajdowało się 1827 chłopców i 5098 dziewcząt w wieku od lat 7-18. Dzieci te przybyły do Afryki przeważnie wraz z rodzicami deportowanymi z Polski przez Związek Sowiecki. Pochodzą one ze sfer drobno-rolniczych lub wyrobniczych, w nieznacznym zaledwie procencie z rodzin inteligencji.

Min. Opieki Społ. i Min. Wyzn. Rel. i Ośw. Publ. poświęciły dużo pracy, aby zorganizować życie uchodźstwa, mając specjalnie na względzie opiekę nad dziećmi z uwagi na poziom umysłowy i kulturalny samego uchodźstwa. We wszystkich ośrodkach uchodźczych szkoła polska stanowiła najistotniejszy czynnik wychowawczy. W Afryce Wsch. gdzie przebywa znaczna ilość dzieci i młodzieży, szkolnictwo polskie z konieczności musiało być rozbudowane.

Na terenie Afryki Wsch. istnieją: 22 przedszkola, 20 szkół powszechnych, 6 szkół średnich, 14 szkół zawodowych rozmieszczonych w 15 osiedlach. Nauka w szkołach zorganizowana jest planowo i mimo istniejących jeszcze trudności w zakresie podręczników daje wyniki zadowalające.

Bardzo rozwinięte na terenie Afryki Wsch. harcerstwo polskie skupia większość dzieci i młodzieży. Organizacje świetlicowe i biblioteki, których jest po kilka w każdym osiedlu, dopełniają wysiłków w zakresie kulturalnym.”

Afryka Południowa

„W Oudtshoorn utworzono Dom Polskich Dzieci. Przebywa w nim 136 dziewcząt i 141 chłopców (na 36 osób dorosłych) wg. nast. podziału na wiek: do lat 7 – 2 (chłopiec i dziewczynka), od lat 7 do 12 – 54 (31 chłopców i 23 dziewcząt), od lat 12 wzwyż – 221 (109 i 111). Są to sieroty i dzieci samotne, tylko 5 dzieci ma na miejscu matki. Rozmieszczeni są w dwóch internatach, z których jeden jest dla chłopców, drugi dla dziewcząt i pozostają pod bezpośrednią opieką 16 wychowawców.

Szkolnictwo na tym terenie jest zróżnicowane. Ma ono charakter nauczania zawodowego, przy uwzględnieniu przedmiotów z zakresu wiadomości ogólnokształcących. Utworzone zostały państwowe szkoły powszechne, gimnazjum kupieckie, krawieckie i dwa kursy przygotowawcze do gimnazjum mechanicznego. W szkołach tych kształcą się dzieci wg. nast. ewidencji: w szkołach powszechnych – 115 chłopców i 46 dziewcząt; w gimnazjach kupieckich – 20 chłopców i 60 dziewcząt; w gimnazjum krawieckim – 17 dziewcząt, Razem 141 chłopców i 123 dziewcząt, czyli 264 osób.

Z powyższego zestawienia widać, że naukę w szkołach pobierają wszystkie dzieci prócz 13 dziewcząt, które skierowane zostały do pracy. Sprawozdania nadsyłane z Oudtshoorn oceniają pochlebnie charakter, zachowanie się i postępy w naukach. Brak podręczników naukowych, jakie odczuwały dzieci we wszystkich ośrodkach spowodował, że utworzono w Oudtshoorn powielarnie posiadanych egzemplarzy podręczników. Pod kierownictwem nauczycieli dzie-

¹⁶ IPiMS, sygn. A. 18, t. 47, *Raport...*, s. 11-12. Poświęcę jej najwięcej miejsca w dalszej części tekstu. W dokumentach wraz z Afryką Wschodnią łączono Afrykę Południową.

ci wykonały przez napisanie i powielenie 710 egzemplarzy podręczników z różnych dziedzin wiedzy, zawierających 39.740 stron.

Poza ośrodkiem Oudtshoorn, Cape Town jest drugim w Afryce Płdn., w którym najliczniejszą grupę uchodźców stanowi młodzież męska i żeńska przebywająca na studiach. W Cape Town College uczy się obecnie 27 uczniów przybyłych z Domu Polskich Dzieci w Oudtshoorn w wieku od 17–24 lat oraz 7 studentek w wieku od 19–26 lat. Na uniwersytecie w Cape Town studiuje 6 studentek i 1 student. Troje dzieci w wieku 8–14 lat uczęszcza do szkół angielskich.”

Palestyna i Liban

Wypadki polityczne, zwłaszcza polityka Rosji, przyspieszyły ewakuację rzesz uchodźców polskich z Persji do Palestyny i Libanu, co utrudniało sporządzeni dokładnych statystyk. Wcześniej w Palestynie odnotowano obecność 905 chłopców i 911 dziewcząt. „Niezależnie od tej grupy dzieci znajduje się 2047 junaków oraz 577 młodych ochotniczek wojskowych. Junacy i ochotniczki tworzą organizację wojskową w ramach Wojska Polskiego, grupującą chłopców i dziewczęta w wieku od lat 7–18. Środki utrzymania na tą kategorię dzieci dostarcza wojsko, MOS, a dziś ITC [Interim Treasury Committee for Polish Questions Edukational Branch] pokrywa koszty dożywiania, leczenia itd.

Do liczby tej doliczyć należy przeniesionych z Persji 304 dzieci, co łącznie na Palestynę i Liban daje cyfrę 4167 dzieci.” W wieku do 7 lat było 173 dzieci, w wieku od 7 do 12 – 1400 i od 12 do 18 lat – 2584; razem 4157. W drugiej połowie 1945 r. pracowały w Palestynie następujące placówki: 4 przedszkola (66 dzieci), 11 szkół powszechnych (1565 uczniów), 9 szkół średnich (1482 uczniów), 8 szkół zawodowych.

„W Libanie przebywało do czasu rozładowania Persji 160 dzieci, z czego 67 chłopców i 93 dziewczęta. Cyfra ta jest dziś znacznie większa z powodu przeniesienia polskich osiedli z Persji do Libanu.”¹⁷

Opieka prawna nad sierotami

„Ministerstwo Opieki Społecznej w Londynie, obok faktycznej materialnej i moralnej opieki nad sierotami polskimi, zatroszczyło się również o prawną ich pozycję na terenach obcych. Wszczęto więc akcję w sprawie ustanowienia opieki prawnej nad sierotami i dziećmi samotnymi, tzn. dziećmi, których sieroctwo nie zostało stwierdzone, względnie rodzice nie mają możliwości bezpośredniego sprawowania nad nimi opieki. Zgodnie z polskim prywatnym prawem międzynarodowym, opieką prawną nad małoletnimi obywatelami polskimi mogą ustanowić władze kraju pobytu pupila i wykonywać ją zgodnie z ich prawem krajowym.”

W Nowej Zelandii zorganizowano już opiekę prawną dla sierot i dzieci samotnych poprzez postanowienie Sądu Najwyższego w Wellingtonie z 25 maja 1945 r. Powołano Radę Opiekuńczą złożoną z 4 obywateli polskich i 4 nowozelandzkich. Podobny system został częściowo zastosowany w Indiach i miał być wprowadzony w Afryce Wschodniej oraz Południowej. „Troskę o uregulowanie

¹⁷ IPIMS, sygn. A. 18, t. 47, Raport..., s. 12–13; K. Kankak, Dzieje uchodźstwa polskiego w Libanie 1943–1950. Bogate materiały przechowywane są w londyńskim Archiwum ZHP.

sprawy opieki prawnej nad sierotami polskimi na wszystkich terenach przejął Dział Opieki Tymczasowej Komitetu Treasury, który rozpatruje celowość i możliwości ustanowienia takiej opieki zależnie od prawodawstwa kraju. Instytucja adopcji dotychczas nie była stosowana, mimo że obywatele amerykańscy polskiego pochodzenia wyrażali chęć przysposobienia sierot polskich.”

Dzieci polskie w Europie

Dla porównania podać można, pomijając szczegółową statystykę, dane ogólne na ten temat zawarte w prezentowanym raporcie. W Austrii znajdowało się 944 dzieci polskich (6 przedszkoli, 16 szkół powszechnych i 6 gimnazjów). W Niemczech, w strefie amerykańskiej przybywało aż 93 tys. dzieci polskich (z tego 54 tys. w 165 przedszkolach, 180 szkołach powszechnych i w 9 gimnazjach). Ponadto w strefie brytyjskiej było 56 280 dzieci i młodzieży, a w strefie francuskiej ok. 5 tys. Razem na ziemiach niemieckich, kontrolowanych przez trzy mocarstwa zachodnie, znajdowało się ponad 154 tys. dzieci i młodzieży polskiej. We Włoszech wykazano 928 dzieci i młodzieży polskiej (524 w przedszkolach i szkołach). Najtrudniej było zebrać powyższe dane na obszarach Wielkiej Brytanii. Szacowano, że do szkół polskich uczęszczało tam 564 uczniów polskich, a ponadto w szkołach angielskich było ich 273¹⁸.

Dokument nr 2: Szkoły

Niezwykle cennym jest sprawozdanie sporządzone przez Seweryna Szczepańskiego, kierownika Placówki Oświatowej Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego (WRiOP) w Nairobi za okres do 31 grudnia 1945 r.¹⁹. Na 108 stronach maszynopisu zwarte zostały nie tylko dane liczbowe, ale i oceny. Całość składa się z 8 rozdziałów: szkolnictwo powszechne (i przedszkola), średnie ogólnokształcące (z rozbiciem na poszczególne placówki) i zawodowe (przemysłowe, handlowe, rolnicze), oświata pozaszkolna, podręczniki i pomoce naukowe, szkolnictwo muzyczne, harcerstwo oraz sprawy ogólne.

I. Szkolnictwo powszechne²⁰

Wybrałem z raportu przede wszystkim charakterystykę uczniów, nauczycieli i całej społeczności osób dorosłych. Starłem się uchwycić odrębności między poszczególnymi osiedlami. Autor raportu podał 14 osiedli w układzie krajów, na terenie których się znajdowały, posuwając się od północy ku południowi. Wykaz zamykało osiedle szkolne (nietypowe) w Rongai (Kenia), nie ma natomiast osiedli przejściowych w: Makindu (Kenia), Fort Jameson i Livingston (Rodezja Północna), Gatooma w Rodezji Południowej oraz ośrodków szkół średnich.

¹⁸ IPiMS, sygn. A. 18, t. 47, *Raport...*, s. 15-19, także tabelka z danymi zbiorczymi.

¹⁹ IPiMS, A. 19 III, t. 12. Sprawozdanie S. Szczepański przesłał do Interim Treasury Committee for Polish Questions Edukational Branch. Zachowaną w aktach kopię poprzedza pismo przewodnie dr. I. Wieniewskiego, kierownika Wydziału Oświaty poza Wielką Brytanią (Londyn), opatrzone datą 14 III 1946 r.

²⁰ Tamże, s. 1-3 (przegląd szkół), 4 (uwagi ogólne), 5 (przedszkola, statystyka). W Tengeru kierownik przedszkola uczył w gimnazjum ogólnokształcącym.

Koja (Uganda). W osiedlu znajdowały się trzy szkoły powszechne, do których uczęszczały w większości dzieci osadników z ziem wschodnich, wszystkie narodowości polskiej. Zdolnych dzieci było mało, ale poza wyjątkami młodzież zachowywała się dobrze i wykazywała chęci do nauki. Mimo częstych zachorowań na malarię frekwencja dochodziła do 93%. „Nauczycielstwo pracowało bardzo sumiennie i dzięki dużemu wysiłkowi osiągnęło należyte wyniki pracy. Dają się odczuć duży brak podręczników szkolnych, szczególnie dla klas V, VI i VII oraz podręczników o treści pedagogicznej”.

Masindi (Uganda). Po wyjeździe dzieci z miejscowego sierocińca do Rongai szkoły zostały przeorganizowane, zredukowano ich liczbę z czterech do trzech. Uczniowie w 90% były dziećmi rolników i osadników z województw wschodnich II RP. „Młodzież karna, posłuszna, obowiązkowa i ofiarna, chętna do nauki i pilna. Świadczy o tym znikomy procent dzieci niepromowanych. (około 5%). Współpraca nauczycielstwa zgodna i solidarna, postawa mocna i pewna. Szkoły otrzymały w ubiegłym roku nowe budynki, ilość pomieszczeń wystarczająca”.

Ifunda (Tanganika). W osiedlu znajdowała się jedna szkoła powszechna, poziom nauczania w niej oceniano jako na ogół dobry, ocena moralna dzieci wypadła dobrze. Szkoła współpracowała z miejscową Polską YMCA (Chrześcijańskie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej) i Akcją Katolicką.

Kidugala (Tanganika). Istniała jedna szkoła, młodzież w niej się ucząca była karna i obowiązkowa. Stan zdrowotny uczniów oceniano jako zadawalający, a budynków jako bardzo dobry.

Kondoa (Tanganika, Kondoa-Irangi). Prowadzono w osiedlu jedną szkołę. „Dzieci wybitnie wiejskiego pochodzenia, ciche i spokojne. Poziom inteligencji raczej niski”. Po ukończeniu kl. VI dzieci przechodziły w większości do szkół średnich zawodowych w Tengeru.

Marogoro (Tanganika). Szkoła liczyła tylko 49 dzieci, które po likwidacji osiedla (15 grudnia 1945 r.) przeszły do placówek w Kidugali i Ifundzie.

Tengeru (Tanganika). „Największy ośrodek szkolny w Afryce. Trzy szkoły powszechne liczące 1171 dzieci mieszczą się w 36 salach szkolnych, ostatnio dobrze wyremontowanych. Młodzież na ogół pilna, pracowita i dość karna. Rozumie potrzebę nauki i wartość jej w przyszłości. Zdrowotność dość dobra. Najwięcej zachorowań na malarię, która u wielu dzieci przeszła w stan chroniczny. W ciągu 1945 r. był jeden wypadek śmierci na malarię mózgową”.

Abercorn (Rodezja Północna). „Dzięki współpracy szkoły z rodzicami oraz ścisłej opieki nad dziećmi, tak z jednej jak i z drugiej strony, zaledwie dwoje dzieci na 187 było nie promowanych”.

Bwana M’Kubwa (Rodezja Północna). Szkoła liczyła 404 dzieci i mieściła się w 11 budynkach. „W osiedlu jest bardzo mały procent inteligencji (5%), co wpływa ujemnie na wychowanie młodzieży i utrudnia pracę nauczycielstwu”.

Lusaka (Rodezja Północna). Liczba dzieci w szkole zwiększyła się o 45 przybyłych z Indii. Miały one zaległości w przerabianym materiale.

Marandellas (Rodezja Południowa). „Dzięki współpracy szkoły z rodzicami i miejscowymi RKO i Pol. YMCA urządzono szereg odczytów, pogadanek, akademii i przedstawień dla młodzieży”. Zdarzyło się kilka wypadków gruźlicy oraz powtarzającej się malarii, nabytej w Rosji.

Rusape (Rodezja Południowa). Istniała jedna szkoła powszechna licząca 203 uczniów (196 promowanych).

Oudtshoorn (Związek Południowej Afryki). Z dwóch szkół powstała jedna koedukacyjna. „Dzieci mieszkają w internatach pod opieką swych nauczycieli wychowawców. Wszyscy nauczyciele kwalifikowani. Dzieci są dobre, pilne, posłuszne, za wyjątkiem kilku chłopców trudnych do prowadzenia.”

Rongai (Kenia). Przewieziono tu dzieci z sierocińca w Masindi, więc liczba uczniów wzrosła do 267. Wszystkie mieszkały w internatach, lekcje odbywają się w kilku budynkach. „Z powodu braku dostatecznej ilości osób starszych, dzieci wykonują lżejsze prace w internacie, kuchni, jadalni i na dziedzińcu.”

W podsumowaniu S. Szczepański zaakcentował następujące kwestie:

Nauczycielstwo z bardzo małymi wyjątkami stoi na wysokości swojego zadania, pracuje bardzo sumiennie tak w szkole, jak i organizacjach młodzieżowych, szukając wszelkich środków i sposobów przyczyniających się do wychowania i kształcenia młodzieży”. Wiemy jednak z wielu innych źródeł, że dotkliwie brakowało nauczycieli wykwalifikowanych.

Młodzież szkolna należy do szeregu organizacji jak: drużyny harcerskie, gromady zuchowe, krucjata, sodalicja, kółka teatralne, literackie i sportowe, PCK, samorządy szkolne, samopomoc uczniowska i wiele innych, w których bardzo chętnie bierze udział. We wszystkich prawie osiedlach znajdują się dzieci, szczególnie wśród chłopców, którzy po przejściach w Rosji, z powodu stosunków życia gromadnego, a bardzo często z powodu złego wpływu najbliższego otoczenia, są trudni do prowadzenia. Jednak różne metody wychowania, stosowane przez nauczycieli, osłabiają wywieranie wpływu na gros młodzieży dobrej. Młodzież na ogół dobra, pilna i pracowita, chętnie garnie się do nauki i rozumie jej potrzebę i wartość”. Działo się tak mimo często trudnych warunków mieszkaniowych, niesprzyjającemu klimatowi, chorobom tropikalnym, zwłaszcza malarii. „Budynki szkolne w 80% osiedli budowane są z materiału bardzo słabego (błoto, patyki, dach kryty trawą), wymagające ciągłego remontu i nie zabezpieczają młodzieży przed wichrem, kurzem, a także deszczem”.²¹

Podkreślanie znaczenia istnienia szkół, ich należytego poziomu oraz pozytywnych zachowań uczniów miało służyć i przekonywaniu władz brytyjskich o potrzebie utrzymania placówek oświatowych.

Przedszkola

Łącznie w 12 miejscowościach (bez zlikwidowanego osiedla w Marogoro i Domu Dzieci Polskich w Oudtshoorn) przebywało w nich 383 dzieci (18 grup), a kadra składa się z 22 wychowawczyń. Liczba dzieci zwiększyła się wskutek przyjazdu transportu z Indii. Wszystkie przedszkola mieściły się

²¹ Stan taki potwierdzają wspomnienia mieszkańców, nauczycieli i byłych uczniów oraz zachowane fotografie.

w budynkach własnych, korzystano także ze świetlic RKO (Referat Kulturalno-Oświatowy Rady Osiedla) lub Akcji Katolickiej. Placówki zostały zaopatrzone w dostateczną ilość pomocy naukowych i zabawek, które otrzymywały od Polskiej YMCA, Akcji Katolickiej, War Relief Sernice, bądź zdobyły je sposobem gospodarczym. Program pracy oceniano jako bardzo urozmaicony, dzieci otrzymywały drugie śniadanie w postaci: mleka, chleba, jarzyn i owoców. Na czas zajęć ubierano się w jednakowe fartuszki. „Wychowawcy przedszkoli, aczkolwiek w dużym procencie niewykwalifikowani, pracują bardzo chętnie i korzystają z pomocy i wskazówek kierowników szkół.” W załączonej tabelce podano dane ze wszystkich osiedli. Pod względem ilości dzieci przewodziły: Masindi – 80 (tylko 2 grupy), Tengeru – 79 (4 grupy), Koja (3 grupy) – 57, zaś do najmniejszych należały przedszkola w: Abercorn i Marandellas po 13 dzieci, Rongai – 14.

II. Szkolnictwo średnie ogólnokształcące²²

W 1945 r. praca we wszystkich zakładach średnich szła trybem normalnym, zmiany w gronach nauczycielskich były nieznaczne. Nasiloną intensywność nauczania, na co wpływ miały i docierające z Europy „przykre wiadomości polityczne”. Trwało dokształcanie pedagogów, z dobrej strony pokazali się niektórzy nowi dyrektorzy, do szkół dotarło więcej wydawnictw, rozpoczęto cykle referatów na tematy pedagogiczne, prowadzono lekcje pokazowe. Efekty wychowania uznawano za zadowalający, a stan zdrowotny uczniów poprawił się. Dzieciom przerośniętym wiekowo umożliwiono szybsze przerabianie materiału.

Diggelfold (Rodezja Południowa, koło Marandellas, gdzie była szkoła powszechna). Umieszczone w tym polskim ośrodku szkolnym żeńskie liceum i gimnazjum wybijały się na plan pierwszy wśród polskich szkół średnich w Afryce Wschodniej, zwłaszcza pod względem organizacyjnym. Była to w znacznej mierze zasługa dyrektora dr. Ferdynanda Zarzyckiego, jednocześnie kierownika osiedla, z „dużą wiedzę klasyczną”. Podniósł się poziom naukowy, uzyskiwano lepsze wyniki, w tym w nauczaniu języka angielskiego. Wychowanie fizyczne obejmowało 20-minutową gimnastykę poranną i gry sportowe, zakład posiadał 4 boiska i kort. Opinia o młodzieży biorącej udział w imprezach zewnętrznych była zawsze wzorowa. Niezłe przedstawiało się zaopatrzenie w podręczniki, które powielano we własnym zakładzie, a grupa uczennic opiewała je. Nakładem gimnazjum wyszła *Encyklopedia mitologii grecko-rzymskiej i Życie Rzymian* [Życie publiczne, prywatne i umysłowe starożytnych Rzymian; do użytku szkolnego] Franciszka Terlikowskiego oraz przystąpiono do wydawania tekstów Horacego, a w następnej kolejności miano zająć się utworami Liwiusza. Wydawnictwa te zakład rozesłał do innych w Afryce oraz do Palestyny i Indii. Z kolei Rada Polonii Amerykańskiej szkół przysłała 3 tys. dolarów na pomoce naukowe do fizyki, chemii i biologii. Zajęcia nadobowiązkowe w szkołach obejmowały kursy: pisania na maszynach, robót ręcznych, introligatorski, kroju i szycia; zorganizowano wystawę robót i haftów. Podziw wzbudzał chór, o którym pisano w prasie miejscowej. Sklepik szkolny zmienił się w kantinę i przynosi piękne dochody.

²² Tamże, s. 7-25, oprócz opisów zamieszczone zostały tabele z danymi statystycznymi.

W klasach gimnazjalnych: I, IIa i IIb, III, IV i kl. I liceum uczyło się 149 dziewcząt; w liceum tylko 17. W roku następnym przewidziano profil cztero-klasowego gimnazjum ogólnokształcącego i dwuletniego liceum humanistycznego. Autor raportu nie szczędził pochwał nauczycielom i młodzieży, a za największe osiągnięcie uznał wydawanie tekstów w języku łacińskim.

Kidugala (Tanganika) z gimnazjum koedukacyjnych z obszernymi salami, mogącymi pomieścić po 35-40 uczniów, salą konferencyjną i małymi pomieszczeniami dla zajęć praktycznych. Brakowało jednak sali gimnastycznej (było małe boisko), świetlicy i gabinetu fizyko-chemicznego, zaś z 8 nauczycieli aż 6 nie miało kwalifikacji. Aktywnością wykazywała się placówka Zrzeszenia Nauczycieli Polskich, rodzice na zebraniach wygłaszali referaty z zakresu wychowania. Istniały „komórki społeczne”: koło literackie (16 zebrań w ciągu roku z referatami), sportowe, zdobnicze, amatorskie, śpiewacze. Najlepiej rozwinięte były harcerstwo i Sodaliczka Mariańska, sprawnie pracował samorząd. Przeprowadzono kursy: robót ręcznych (wystawa na koniec roku), samochodowy, scenografii, świetlicowo – teatralny. Wystawiono kilka sztuk teatralnych, powodzeniem cieszyła się zwłaszcza „Zemsta” A. Fredry (kostiumy i dekoracje przygotowali rodzice). „Pomoce naukowe zakładu są bardzo szczupłe, dlatego nauka niektórych przedmiotów czysto werbalna. Lepiej jest z podręcznikami szkolnymi. Zakład liczy 1257 podręczników. Beletrystyka za szczupła. Lektur do języka polskiego za mało. Do historii i geografii konieczne są podręczne atlasy.”

Istniały klasy: Ia i Ib, IIa i IIb, IIIa i IIIb, IV (tylko 6 osób), w nich uczyło się 25 chłopców i 118 dziewcząt (razem 143 uczniów), w tym jeden wyznania prawosławnego. Młodzież przybyła z innych osiedli mieszkała w internacie, co sprzyjało pracom pozalekcyjnym. Słabe wyposażenie częściowo rekompensowała aktywna postawa całej społeczności.

Lusaka (Rodezja Północna) miała gimnazjum i liceum koedukacyjne. „Pomieszczenia zakładów dostateczne. Jest ono prymitywne, ale sale są dość obszerne. Salę rekreacyjną stworzono z połączenia 2 sal szkolnych. Brak sali gimnastycznej, gabinetu fizyko-chemicznego. Środowisko, w jakim zakład się znajduje, jest nieodpowiednie. Życie obozowe wywiera ujemny wpływ moralny na młodzież i tym samym potęgują się trudności w wychowaniu młodzieży. System koedukacyjny w tym ośrodku okazał się nieodpowiedni.”

Grono nauczycielskie pracowało słabo, odczuwano wyraźnie niedostatek „elementu inteligentnego”, nie prowadzono lekcji wychowania fizycznego. Mimo zabiegów dyrektora nie uaktywniło się i koło rodzicielskie. W tej sytuacji praca społeczna uczniów wyglądała również skromnie, nie utworzono samorządu szkolnego. Doszło do zatargu między Komendą Chorągwi i duszpasterstwem (na tle osobistym), co spowodowało rozwiązanie dwóch drużyn. Na półroczne „oceny ujemne” dochodziły do 35%, ale stopniowo następowała poprawa, biblioteka i czytelnia dysponowały ponad 5 tys. tomów, niektóre pomoce z fizyki i chemii sprowadzono z Londynu.

Młodzież pochodziła z osiedli: Bwana M'Kubwa, Abercorn, Rusape, Mandellias, Lusaka, Fort Jamesom i Oudtshoorn. W klasach Ia i Ib, IIa i IIb, III, IV oraz kl. I licealnej skupiło się 97 uczniów i 127 uczennic (razem 214 osób,

w tym 2 wyznania prawosławnego i grekokatolik). Do kl. I licealnej uczęszczało tylko 5 osób, które postanowiono przenieść na przyszły rok do liceów w Tengeru i Diggleford.. Novum stanowiła klasa wstępna z 15 chłopcami i 3 dziewczętami, którzy nie zdali egzaminu do gimnazjum w roku ubiegłym i przerabiali powtórnie materiał kl. VI szkoły powszechnej. Zespół szkół w Lusace budził wiele zastrzeżeń, poczynając od trudnych warunków lokalowych do słabych efektów wychowawczych i nienajlepszych wyników nauczania

Masindi (Uganda). Najlicniejszy polski zakład oświatowy w Afryce, bo skupiał 353 uczniów i 19 nauczycieli, a funkcję dyrektora spełniał dr Ekkert. Gimnazjum koedukacyjne, jednak część klas przeznaczono tylko dla dziewcząt, a liceum było żeńskie. Niestety, „pomieszczenie nie zupełnie odpowiada wymogom szkolnym. Brak boiska, brak wody, brak sali gimnastycznej daje się silnie odczuwać. Młodzież w klasach wystawiona jest na zmiany atmosferyczne, ponieważ baraki, w których się mieszczą klasy nie mają ścian. W czasie ulewnych deszczów (równik) praca w szkole niemożliwa. W kilku klasach nie ma ławek szkolnych. Młodzież siedzi przy stołach wbitych w ziemię, pulpity są w stosunku do wzrostu uczniów za wysokie. Nie jest to zgodne z zasady higieny szkolnej. Również ławki ogrodowe bez oparcia i blisko ustępów szkolnych nie odpowiadają przepisom higienicznym. Wszelkie starania dyrektora zakładu u kierownika osiedla nie odniosły skutku. Dziś, gdy władze ang. przejęły dział gospodarczy osiedla trudno spodziewać się zmiany istniejącego przeszło dwa lata stanu rzeczy. Środowisko, w którym znajduje się szkoła nie jest odpowiednie. Warunki mieszkaniowe są złe, nieoddzielone od siebie pokoje, często kilka rodzin w jednym domku, brak łazienek wzd. natrysków, brak większego zrozumienia dla potrzeb szkoły u rodziców. Oto trudności, z którymi musi walczyć szkoła, aby wychować zdrowego fizycznie i moralnie członka społeczeństwa. Brak w domu męskiej ręki utrudnia specjalnie wychowanie chłopców, których liczba w gimnazjum stale wzrasta. Młodzież z osiedla Koja mieszka w internacie”.

Dobrze natomiast pracował samorząd, sekcja wydawnicza redagowała gazetkę „Na równiku”, koło teatralne wystawiło kilka utworów scenicznych („Powrót posła”, „Zemsta”, „Dziady” cz. II i IV.), sekcja muzyczna urządziła wieczór F. Szopena i S. Moniuszki. Zauważano, że młodzież w Masindi cechuje wielką ruchliwość. Hufiec ZHP liczył 4 drużyny, zbiórki drużyn, ogniska i rady drużyn odbywały się raz w miesiącu, wydawano gazetkę. Istniały kółka naukowe: literackie, przyrodnicze i krajoznawcze, wygłoszone referaty stały na wysokim poziomie. Podręczników było ciągle za mało, odczuwano również niedostatek pomocy naukowych; biblioteka liczyła około 2 tys. tomów. Ponadto pracowała świetlica Polskiej YMCA, jej kierownik prowadził teoretyczny kurs żeglarstwa. Świetlica RKO mieściła się w ogromnym, murowanym budynku ze sceną, kulisami, światłem elektrycznym i około tysiącem miejsc dla publiczności.

Znamiennie brzmi opinia: „Inteligentna część Koła Rodzicielskiego stara się pomóc szkole w dziele wychowania, większość jednak zwała ciężar wyłącznie na barki nauczycieli”. Wydaje się, że tak było w większości osad, ale prawdy tej nie eksponowano. Gimnazjum w Masinidi miało po trzy klasy I, II i III oraz dwie kl. IV, a liceum kl. I i II. Proporcje płci przedstawiały się następująco: 83 chłopców, 264 dziewcząt. Więcej niż przeciętnie było osób wyznania prawosławnego (5). Z tej charakterystyki można wywnioskować, że mimo sła-

bych warunków lokalowych i znaczących braków w wyposażeniu, obie szkoły uzyskiwały dobre wyniki nauczania; nieco gorzej było z wychowaniem. Nauczyciele prowadzili samokształcenie, lekcje pokazowe i wygłaszali referaty, m.in. na temat: „Nauczanie przedmiotów ojczyźstych na obczyźnie”. W 1945 r. odbył się pierwszy zwyczajny egzamin dojrzałości, złożyło go 16 dziewcząt.

Tengeru (Tanganika). Drugi co do wielkości polski zakład ogólnokształcący w Afryce – Gimnazjum i Liceum im. Stefana Batorego – z 314 uczniami i uczennicami, mieszczący się w 6 dużych barakach prostokątnych i 2 domkach okrągłych. Sale były jasne, ściany pobielone, posadzki cementowe, sufitów brakowało. Młodzież siedziała w ławkach dwuosobowych, za budynkami znajdowało się duże boisko. „Stosunek młodzieży męskiej do żeńskiej jest bez zarzutu. Dobrze zorganizowany samorząd organizuje wszystkie komórki pracy społecznej młodzieży.” Harcerstwo obejmowało 86% młodzieży, podobnie i Sodalicja Mariańska. Wysokim uznaniem cieszył się chór gimnazjalny, a koło scenografek przygotowywało codziennie komunikaty radiowe i wieszało je w zakładzie. „Zapał do pracy jest u młodzieży duży. Większy jednak u dziewcząt aniżeli u chłopców”. Wygląd zewnętrzny młodzieży oceniano jako staranny. Młodzież z innych osiedli mieszkała w internacie, a sieroty w sierocińcu. Zakład miał największy procent kwalifikowanych nauczycieli, w tym z: języka polskiego, łaciny, historii i matematyki. Kierunek nadawał dyrektor Edward Zawisza Czerwiński. Biblioteka liczyła ponad 500 tomów, były ponadto na stanie: 20 map, globus, mikroskop. Gabinet fizyczny, wspólny dla gimnazjum i liceum, uchodził za dobrze wyposażony.

Wszystkie klasy gimnazjalne były podwójne, a licealne pojedyncze. Nauki pobierało 65 uczniów i 260 uczennic, w tym 2 wyznania prawosławnego, 2 grekokatolików i 1 „inny”. Cieszyło zdanie zawarte w raporcie: „Zakład ten jest przez społeczeństwo ceniony”. W konkursie polonistycznym, zorganizowanym przez centrum londyńskie, uczniowie z Tengeru otrzymali najwięcej nagród (16). Świadectwo dojrzałości uzyskało 11 abiturientek i wszystkie one wstąpiły na kurs metodyczno-pedagogiczny.

Koja (Uganda). Kursy gimnazjalne istniały tu od 3 lat, egzaminy końcowe prowadzili nauczyciele z Masindi. W nowym roku miało nastąpić ich przeorganizowanie na 4-letnie koedukacyjne gimnazjum ogólnokształcące z dyrektorem mgr J. Delawską. Na potrzeby kursów oddano 2 budynki szkolne, w każdym znajdowały się dwie sale i po jednym małym pokoiku. „Młodzież nie różniła się poziomem umysłowym od młodzieży w gimnazjach i wykazywała duży zapał do pracy. Pod względem zachowania się była bez zarzutu. Do pracy społecznej garnęła się.”. Samorząd działał sprawnie, harcerstwo stało na wysokim poziomie. Podobnie wyglądało wychowanie fizyczne, prowadzone przez jedyne w Afryce polskiego nauczyciela kwalifikowanego. „Z gier i zabaw opanowała młodzież: piłkę graniczną, piłkę uszată, kwadrant, siatkówkę i tenis. Zawody międzyszkolne, trzykrotnie w ciągu roku szkolnego dały pozytywne wyniki kursantom. W czasie wakacji przewidziane są zawody tenisowe o mistrzostwo juniorów”. Niestety, malaria powodowała wysoki procent absencji. Nie istniała w zasadzie współpraca z domami rodzicielskimi i choć raz w miesiącu odbywały się konferencje wywiadowcze, to przychodziła na nie znikoma cześć

starszych członków rodzin. Korzystano z pomocy naukowych szkoły powszechnej, nie zorganizowano dożywiania. W klasach Ia i Ib, II, III uczyło się razem 36 chłopców i 88 dziewcząt, w tym jedna osoba wyznania mojżeszowego.

Rongai (Kenia). Dopiero była tu kl. I gimnazjum z 29 uczennicami i 9 uczniami, wyłącznie wyznania katolickiego. W ogóle jednak w osadzie szkolnej przebywało ponad 335 młodzieży, przeważnie sierot, w tym przeniesionymi w marcu i czerwcu 1945 r. z Masindi. „Klimatycznie jest to najzdrowsze osiedle polskie. Pomieszczenia oraz utrzymanie jest tam znakomite. Chorób infekcyjnych nie ma. Warunki pracy bardzo dobre. Kierownictwo spoczywa w ręku inspektora szkolnego p. Karola Sandera, który wprowadził tam rygor iście wojskowy. Młodzież musi sama się obsłużyć, do prania włącznie.”

Młodzież gimnazjalna „jest różnorodna”, część wcześniej uczęszczała do szkół zawodowych w Masindi. Wśród nich byli uczniowie silnie przerośnięci i nie bardzo przykładający się do nauki, więc na 38 uczniów aż 9 nie uzyskało promocji do następnej klasy. Nie prowadzono ćwiczeń fizycznych, ale urządzało wycieczki krajoznawcze, a młodzież śpiewała w chórze osiedlowym ks. Górki. Biblioteka została dobrze wyposażona, podobnie pozytywnie oceniano stan podręczników. Grono nauczycielskie stanowili wyłącznie nauczyciele szkół powszechnych. Ci zaś „...mają zbyt wiele zajęć dodatkowych, są przemęczeni i zniechęci do pracy. Konieczne zwiększenie personelu nauczycielskiego co najmniej o jednego nauczyciela z kwalifikacjami do szkół średnich. W przyszłym roku będą już dwie klasy gimnazjum”.

Jednak za mało troski przejawiano o poziom nauki języka angielskiego i nie przewidziano kształcenia pedagogicznego.

III. Szkolnictwo zawodowe²³

A. Szkolnictwo przemysłowe: gimnazjum mechaniczne w Oudtshoorn (Związek Południowej Afryki), szkoła mechaniczna w Tengeru, gimnazja krawieckie w Oudtshoorn i Tengeru, gimnazjum bieliźniarskie w Masindi. Wszystkich uczniów było w tym placówkach 296, z tego w klasach I – 177, w klasach II – 79 i w klasach III – 40. Statystyka wyznaniowa: 5 prawosławnych, mahometanin, grekokatolik. Zwracał uwagę bardzo duży procent sierot (28) i półsierot (100); razem 128 (43%). Mogło to świadczyć o gorszym przygotowaniu merytorycznym dzieci pozbawionych opieki rodzinnej, ale i o niekorzystnym wyborze szkół wobec braku presji osób bliskich (dorosłych).

Gimnazjum mechaniczne w Oudtshoorn, kl. I, 13 uczniów.

Istniało od 1 lutego 1944 r. w dwóch budynkach, dodatkowo zbudowano kuźnię, urządzono garaż i magazyn. Kadra własna składała się z nauczyciela i instruktora, a ponadto nauczali pedagodzy ze szkoły powszechnej. Oceniano, że „są pewne niedociągnięcia spowodowane niedostatkiem fachowych sił nauczycielskich, ale na to nie ma rady”. Młodzież rekrutowała się z uczniów

²³ Tamże, s. 26-42. Dokładne dane ujęte w tabelach: wykaz uczniów w poszczególnych szkołach i klasach, ich wiek, narodowość, stan rodzinny, wyniki klasyfikacji. Czy zasadne są przypuszczenia, że część osób wyznania prawosławnego i grekokatolickiego (unickiego) podawała się za katolików?

kl. VI szkoły powszechnej, którzy w roku ubiegłym z powodu słabych wyników w nauczaniu nie zostali skierowani do techników (kolegiów). W gimnazjum mechanicznym radzili sobie dobrze, nie sprawiali trudności wychowawczych. Pomocy naukowych nie brakowało, a wyposażenie warsztatów zakupiono z dużym nakładem środków finansowych (m.in. „samochód na chodzie i motor rozbieralny do nauki”). Przewidywano zajęcia: warsztatowe, zawodowe, ściśle związane z zawodem, pomocnicze (religia, język polski, historia, język obcy, ćwiczenia cielesne, słownictwo warsztatowe). Szczególny nacisk położono na język angielski, co tydzień były wyświetlane filmy dydaktyczno-naukowe, uczniowie korzystali z biblioteki Domu Polskich Dzieci i świetlicy. Subwencje miesięczne na potrzeby szkoły były za małe i tylko dzięki zapasom z roku ubiegłego warsztaty mogły pracować normalnie. Rozważano przeniesienie szkoły na teren Rodezji Północnej (Bwana M'Kubwa), ponieważ w Marandellas i Rusape znajdowało się około 30 uczniów w wieku 16-17 lat, nie uczęszczających do żadnej szkoły. Podobnie można było liczyć na kandydatów z Lusaki i Abercern.

Szkoła mechaniczna w Tengeru, kl. I i II, 72 uczniów.

Placówka ta rozwijała się bardzo dobrze, była wyposażona w odpowiednie narzędzia i sprzęt, miała kuźnię i warsztaty stolarskie, urządzenie do ładowania akumulatorów, a wszystkie remonty i przeróbki prowadzono we własnym zakresie. W roku ubiegłym personel instruktorski wspólnie z młodzieżą wykonał narzędzia nie tylko dla własnej placówki, ale zaspokoił potrzeby tego rodzaju innych szkół w osiedlu. Na zajęcia warsztatowe przypadało 84 godz., na przedmioty zawodowe – 35, na przedmioty ściśle związane z zawodem (wiadomości przyrodnicze, matematyka, geografia gospodarcza, nauka o Polsce współczesnej, higiena) – 23, na przedmioty pomocnicze (religia, jęz. polski, historia, jęz. angielski, ćwiczenia cielesne) – 34. Przeprowadzono kurs motocyklowy, pracowały harcerstwo i Sodalicja Mariańska, uczniowie odbywali przysposobienie wojskowe, grali w orkiestrze. „Widać znaczną poprawę w zachowaniu się młodzieży. Powoli wyzbywa się ona naleciałości przywiezionych do Afryki”. „Personel nauczycielski i instruktorski jest dobrany z pomiędzy najodpowiedniejszych sił będących do dyspozycji. Często nie zwraca się uwagi na posiadanie takiego, czy innego dyplomu, gdyż ludzie, którzy z ZSRR przyjechali, żadnych dokumentów nie posiadają”. Dopiero po pewnym okresie pracy można się było zorientować, czy odpowiadają oni zapotrzebowaniom. „Wielu nauczycieli i instruktorów nie posiadają wymaganych kwalifikacji, ale z drugiej strony usilną i rzetelną pracą osiagają zupełnie dobre wyniki. Zastąpić ich nie ma kim.”

Gimnazjum krawieckie w Oudtshoorn, kl. I i II, 18 uczennic.

Powstało ono w 1944 r. z kursu kroju i szycia, które prowadziła Zofia Bielska. Obowiązki dyrektorki sprawowała Elżbieta Masojadova, gimnazjum zajmowało jeden blok murowany, stałe grono nauczycielskie składało się z 3 osób z kwalifikacjami do pracy w szkole powszechnej, a zajęcia prowadzili również nauczyciele z gimnazjum kupieckiego. Odnotowano duże postępy młodzieży w nauce, podręczniki nadeszły aż ze Szwajcarii.

Uczennice wykonały w ciągu roku 30 par rękawów do kamizelek trykotowych dla chłopców z osiedla, wysłały 17 paczek z ubraniami dla Polaków

w Niemczech, robiły pomoce naukowe, prezenty i upominki, wzięły udział w wystawie dając pokaz lekcji haftu. „Otrzymują listy z Anglii, Szkocji i Ameryki, a także prowadzą ożywioną korespondencję z naszymi żołnierzami, z którymi nawiązały łączność dzięki prezentom świątecznym wysyłanym do Włoch. Poza tym utrzymują ścisłą łączność z naszymi osiedlami w Meksyku, Indiach i Wsch. Afryce”. Tylko 6 uczennic dostawało pieniądze od krewnych, pozostałe dorabiały w pracowni, by mieć środki na drobne wydatki. Od kwietnia pracownia szkolna zaczęła przyjmować odpłatne zamówienia na szycie z terenu osiedla, co sprzyjało wzmocnieniu samodzielności uczennic. „W miesiącu styczniu młodzież wyjeżdża nad morze na przeciąg 3 tygodni, gdzie należycie odpoczniesz po trudach roku szkolnego”.

Działy harcerstwo i chór międzyszkolny, „wielką usługę w nauczaniu oddają co tydzień wyświetlane filmy szkolne w osiedlu oraz epidiaskop otrzymane od Światowego Związku Polaków.” W roku szkolny 1946 r. gimnazjum krawieckie miało liczyć 3 klasy, by w 1947 r. dojść do pełnego profilu. Należało przerobić i tematy pominięte w 1945 r.

Gimnazjum krawieckie w Tengeru, kl. I-III (5 oddziałów), 236 uczennic.

Była to największa z polskich szkół średnich zawodowych, jednak potraktowano ją marginalnie w omawianym sprawozdaniu. Do 1945 r. obowiązywał w gimnazjum własny program zajęć (163 godz.), na zajęcia warsztatowe (krój, modelowanie i szycie) przeznaczano 74 godz., a na przedmioty zawodowe (materiałoznawstwo, nauka o ubiorach, organizacja przedsiębiorstw, rysunki z ćwiczeniami plastycznymi) – 25 godz. W program wpisano ponadto śpiew i gospodarstwo domowe, codziennie 10 minut gimnastyki oraz zabawy i sporty co 2 tygodnie. Można było kontestować podział godzin przedmiotów pomocniczych: religia – 4, jęz. polski – 10, historia aż 8, język obcy też 8.

Do tradycji należało urządzenie wystaw prac uczennic, które cieszyły się coraz większym uznaniem mieszkańców osiedla i Anglików („wszystkie ekspozycje całkowicie rozprzedano”). „Młodzież uczy się z zainteresowaniem, coraz bardziej wyrabia się pod względem obywatelskim”, w czasie roku szkolnego urządzone były wspólnie z innymi szkołami obchody rocznic, akademie oraz samodzielnie odegrano kilka fragmentów z „Dziadów”.

Pomimo braków w personelu pedagogicznym gimnazjum to uznawano za rozwojowe. Oczekiwano, że w przyszłym roku opuści go pierwszy „zastęp wykwalifikowanych, samodzielnych pracownic”.

Gimnazjum bielizniarstwa w Masindi, kl. I, 37 uczennic.

Szkoła została uruchomiona 1 lutego 1945 r. Istniał w niej samorząd szkolny z sekcjami: samopomocowa, imprezowa i porządkowa, a prawie cała młodzież należała do harcerstwa. Na zakończenie nauki urządzono z sukcesem wystawę prac uczennic. W przyszłym roku szkoła miała otrzymać budynek na klasę i pracownię. „Gimnazjum bielizniarskie w Masindi jest szkołą rozwojową, rokującą dobre wyniki. Usterki, jakie posiada personel nauczycielsko-instruktorski staram się w miarę możliwości usuwać.”

B. Szkolnictwo handlowe²⁴, koedukacyjne gimnazja kupieckie w: Tengeru, Masindi i Oudtshoorn. Wszystkim uczniom było w tutejszym gimnazjum 298, urodzonych w latach dwudziestych i do 1931, z przewagą roczników 1928 i 1929. Oprócz katolików było 5 osób wyznania prawosławnego i grekokatolik. Stan rodzinny: 41 sierot, 98 półsierot; 10 matek i ojców mieszkało na ziemiach II RP, 3 „w Rosji”, a 218 w Wielkiej Brytanii (tu wliczono służących w wojsku). Ta ostatnia statystyka wymagała uściślenia, bo część sierot i półsierot miała jednak zapewnioną opiekę ze strony starszego rodzeństwa lub krewnych.

Koedukacyjne gimnazjum kupieckie w Tengeru, kl. I (dwa oddziały), 80 uczniów. Otwarto je 1 lutego 1945 r., „młodzież jest karna, punktualna i obowiązkowa”. Na terenie szkoły istniały: samorząd, PCK, Sodalicja Mariańska, ZHP. Samorząd szkolny posiadał w klasach gminy z zarządami w składzie: wójt, zastępca, sekretarz, bibliotekarz, skarbnik. W każdej gminie utworzono 4 sekcje: samopomocowa, imprezowa („najżywotniejsza”), porządkowa (m.in. ozdabianie szkoły i klas), PCK. Zebrania gmin klasowych odbywały się 2 razy w miesiącu. „Szkoła pracuje wg. normalnego programu dla szkół kupieckich. Odczuwa się duże braki w podręcznikach” (nie było połowy do botaniki, zoologii i chemii), natomiast dobrze działało koło rodzicielskie.

Koedukacyjne gimnazjum kupieckie w Masindi, kl. I – III (5 oddziałów), 149 uczniów. Była to największa szkoła w tej grupie placówek polskich w Afryce, utworzona 1 lutego 1945 r. z trzyletniej średniej szkoły zawodowej. Dołączyli do niej uczniowie z przygotowaniem w zakresie 6-klasowej szkoły powszechnej z Masindi, a w czasie trwania roku również z Koji i Outshoorn. „Współpraca z domem rodzicielskim napotyka duże trudności wskutek małego zainteresowania i zrozumienia rodziców, którzy ograniczają się tylko do przybywania na wywiadówki”. W tej sytuacji wychowawcy odwiedzali uczniów w domach. Trzy budynki szkolne znajdowały się w centrum osiedla: na słupach, kryte słomą. „Sale szkolne bez drzwi, otoczone ścianą glinobitą do wysokości 1 metra, wyżej obite jutą, którą w miarę potrzeby można podnosić i regulować dopływ światła. Sale są jasne, przewiewne, wewnątrz wybielone wapnem o podłodze z cegieł. Pomieszczenia higieniczne. Szkoła posiada łącznie 6 klas, z których 5 przeznaczonych jest na sale lekcyjne, jedna zaś obita siatką drucianą służy na pracownię – 3 wewnętrzne pokoiki o ścianach pełnej wysokości są przeznaczonych na kancelarie szkoły, pokój nauczycielski i dyżurkę woźnych. W roku bieżącym młodzież całkowicie wyrównała plac wykarczowując dżunglę. Całość została obsiana rabatami kwiatowymi.”

„Gimnazjum nie posiada ani jednej siły nauczycielskiej o pełnych kwalifikacjach handlowych, co przy braku pomocy naukowych i podręczników oraz dużej odległości od centrów handlowych, niemożliwości wyjazdu z osiedla i trudności komunikacyjnych bardzo ujemnie odbija się na nauce i wynikach praktycznego szkolenia.” Nie otrzymano wag, miar, areometrów, mikroskopu, pomocy do nauczania chemii, fizyki i towaroznawstwa, najpotrzebniejszego

²⁴ Tamże, s. 42-54. Poza tabelami o składzie wyznaniowym i stanie rodzinnym, podano tabele z wynikami kwalifikacji na dzień 15 XII 1945. Zawarto w nich liczby uczniów nie promowanych i z odroczoną promocją zaznaczając, że istnieje możliwość złożenia poprawek po wakacjach.

sprzętu laboratoryjnego i odczynników. Nic więc dziwnego, że wyniki nauczania określono jako dostateczne, natomiast wychowania jako dobre. Wystawiono, z udziałem chóru, sztukę w języku angielskim „Box and Cox” oraz „Balladynę” J. Słowackiego. Zorganizowano drużyny harcerskie, 3 żeńskie i męską. W przyszłym roku liczba oddziałów miała wzrosnąć do 8, natomiast nie wspomniano nic o poprawie stanu materialnego placówki. W październiku i listopadzie 1945 r. 15% uczniów leżało w szpitalu z powodu choroby na malarię.

Koedukacyjne gimnazjum kupieckie w Oudtshoorn, kl. I – IV (4 oddziały), 69 uczniów. Gimnazjum istniało od 1 lutego 1945 r., powstało ze szkoły handlowej, w osobnych salach umieszczono 8 maszyn do pisania oraz pracownię techniki reklamy z dwoma drewnianymi oknami wystawowymi. Początki nauki przebiegały z trudnościami, niektóre z nich nie ustąpiły całkowicie w następnych miesiącach. Nie udało się zachować ciągłości języka angielskiego, narzekano na „ubóstwo języka polskiego u naszej młodzieży”, za konieczny uznano przyjazd matematyka. Kłopotów swym zachowaniem przysparzała część uczniów. „Nie są to chłopcy źli, ani niezdolni. Lekarz zakładu tłumaczy to wyjątkowo ciężkim okresem dojrzewania i wyraził nadzieję, że niedługo chłopcy ci uspokoją się i będą więcej przykładali się do nauki”. Wniosek końcowy brzmiał chyba nadto optymistycznie: „Po ugruntowaniu nowego programu gimnazjum kupieckie rokuje nadzieję na przyszłość.

C. Szkoły rolnicze²⁵: państwowa w Tengeru, jednoroczne żeńskie szkoły przysposobienia gospodarczego w Tengeru, Rusape, Lusace, Koji, Ifundzie. Łącznie 116 uczniów, ale szkoły w Lusace, Koji i Ifundzie (w tej ostatniej tylko 11 uczennic) zostały zlikwidowane w okresie od 1 marca do 1 sierpnia 1945 r. Najwięcej uczniów miała szkoła państwowa w Tengeru (37 osób), ze szkół jednorocznych tylko placówka w Rusape minimalnie przekroczyła pułap 20 uczennic. Rozrzut wiekowy uczących się był znaczny (uczennice nawet z 1918 r.), tylko jedna osoba nie była katoliczką (prawosławna). Charakterystyczne, że w tych szkołach o niskim prestiżu przeważały osoby pozbawione rodziców: na 93 osoby 18 było sierotami, a 36 półsierotami (razem 58%).

Państwowa szkoła rolnicza w Tengeru. Szkoła została zorganizowana w końcu 1944 r., a otwarta 1 lutego 1945 r. Mieściła się w dwóch budynkach, posiadała internat dla dziewcząt, świetlicę ufundowaną przez Polską YMCA i pracownię krawiecką, która służyła jednocześnie za jadalnię. Były też tam: kuchnia (wykorzystywana do praktycznej nauki gotowania), spiżarnia, magazyn, ogródki doświadczalne z uprawami. Szkoła miała możliwość korzystania z inwentarza martwego i żywego na farmie rolnej osiedla, sekcja wycieczkowa urządziła kilka odwiedzin w pobliskich farmach w okresie robót polowych. Sprawozdanie wręcz entuzjastycznie oceniało atmosferę w szkole, wyniki nauczania, zachowanie młodzieży.

Jednoroczna szkoła żeńska przysposobienia gospodarczego w Tengeru. Istniała drugi rok, pozostając pod wspólnym kierownictwem z placówką państwową, współpracując z nią w trakcie zajęć praktycznych i przy urządzaniu imprez.

²⁵ Tamże, s. 54-60. O niskim poziomie świadczy i łagodna klasyfikacja uczniów.

Na 1946 r. zgłosiła się mała liczba uczennic, więc szkoła została przeznaczona do zlikwidowania.

Jednoroczna szkoła żeńska przysposobienia gospodarczego w Rusape. Uruchomiono ją 1 grudnia 1944 r. „Początkowo szkoła spotkała się z dużą krytyką ze strony mieszkańców osiedla. W miarę jak zaczęły być widoczne wyniki pracy, stosunek ludności zmienił się na pozytywny.” Dzięki poparciu kierownictwa osiedla wydzielono specjalny lokal składający się z: sali szkolnej używanej i do nauki krawiectwa, kuchni z piekarnikiem, mleczarni, wędzarni, sztucznej wylęgarni. Z urządzeń tych korzystał również dział „Przetwórstwa” osiedla, zaś szkoła prowadziła zajęcia i we własnym ogródku. Ponadto rada osiedla wydała materiały do szycia na własny użytek uczennic. To wszystko sprawiło, że placówka wzbudzała zainteresowanie, a po roku zajęć 17 abiturienek wzniosło prośbę o uruchomieni kursu wyższego. Zajęcia trwały po cztery godziny dziennie z krawiectwa i gospodarstwa domowego, a po trzy godziny hodowane i ogrodnicze; grupy zmieniały się co 2 tygodnie. Każda uczennica jako pracę egzaminacyjną musiała uszyć suknię, a wcześniej zdjąć miarę. Na koniec roku urządzono wystawę prac uczennic z eksponatami uszitymi, działanymi, wykonanymi w ramach robót ręcznych. Mimo tych sukcesów szkoła traktowana była jako kurs jednoroczny.

Eksperyment ze szkołami rolniczymi dla dziewcząt świadczył, że istniało zapotrzebowanie na nowe placówki oświatowe, ale brakowało kadry, programów, podręczników i pomocy naukowych oraz środków finansowych. W takiej sytuacji uruchomiono szkolenie z nazwy rolnicze, w rzeczywistości nastawione na przygotowanie dorastających dziewcząt do roli przyszłych gospodyń domowych, a ciężar organizacyjny przerzucono na osiedla.

IV. Oświata pozaszkolna²⁶

Tengeru. Prowadzono tam w 1945 r. kursy zawodowe: roczny handlowo-spółdzielczy (według skróconego programu 3-letniej szkoły handlowej), 10,5-miesięczny krawiecko-hafciarski i trykociarki. Ponadto były kursy ogólnokształcące I i II stopnia (zakończono je 1 września 1945 r. ze względu na brak funduszy), 4-tygodniowy pracowników świetlicowych (wśród 13 cykli programowych także omawiający zalety i wady narodu polskiego). Bogatą ofertę miał uniwersytet niedzielny, czego przykładem pogadanka „Literatura polska na emigracji”, a koło młodzieży pozaszkolnej w ciągu roku odbyło 49 zebrań i zajęć świetlicowych.

Kidugala. I tu prowadzono kursy: handlowo-spółdzielczy, ogólnokształcący, przodowników świetlicowych. W ramach uniwersytetu niedzielnego wygłoszono m.in. referat „Idee wolnościowe a rzeczywistość Europy Środkowej”, zorganizowano wystawę fotograficzną o walkach wojsk polskich oraz przedstawienie teatralne „Warszawianka”. W ofercie zajęć pozostawał jeszcze kurs języka angielskiego dla dorosłych i młodzieży szkolnej. Orkiestra występowała na cotygodniowych podwieczorkach czwartkowych organizowanych przez kółko literackie.

²⁶ Tamże, s. 61-77. Jeden z obszerniejszych działów w sprawozdanie, w kilku osiedlach podano wykaz wygłaszanych referatów i pogadanek.

Kondoa. W tym osiedlu za najcenniejsze uznano kursy: buchalteryjny i trykotarski, kroju i szycia.

Ifunda. Uruchomiono kursy: krawiecko-hafciarski, krawiecko-trykociarski, handlowo-spółdzielczy, informacyjny dla świetliczanek, dokształcający 1. i 2. stopnia.

Koja. Nowość stanowiły kursy dla inwalidów (2 poziomy), a ponadto zorganizowano kursy dokształcający w zakresie szkoły powszechnej 3. stopnia (dzienny) i wieczorowe.

Masindi. Oferowano typowe kursy: ogólnokształcące w zakresie szkoły powszechnej 3. stopnia, informacyjny, języka angielskiego oraz zajęcia prowadził uniwersytet niedzielny.

Bwana M'Kubwa. Prowadzono różnorodne kursy zawodowych i ogólnokształcące: kroju i szycia, dokształcający 1. stopnia, dokształcający z zakresu szkoły powszechnej 3. stopnia, języka angielskiego dla początkujących i dla zaawansowanych, a 15 lipca rozpoczął zajęcia uniwersytet niedzielny (od 2 do 5 tematów miesięcznie, m.in. o higienie tropikalnej).

Lusaka. Tylko kurs handlowy i uniwersytet niedzielny (prelekcja „Dzieci i młodzież polska pod okupacją”).

Marandellas. Wyjątkowo nie podano żadnego kursu, a tylko tematy realizowane przez uniwersytet niedzielny, m.in. refleksje na temat psychiki angielskiej, o demokracji i dyktaturze.

Oudtshoorn. Wykazano jedynie kurs haftu, brakowało spotkań uniwersytetu ludowego. Z biblioteki i czytelnicy osiedlowej skorzystało w ciągu roku tylko 104 czytelników (369 wypożyczonych egzemplarzy), a w dwóch świetlicach znajdowały się: gry, czasopisma, radio i patefony, zaś w niedzielę organizowano tańce jako „wyżycie się sportowe dla obu płci”.

„Oświata pozaszkolna prowadzona jest w terenie przeważnie przez nauczycielstwo szkół powszechnych i średnich”. Dopiero w listopadzie 1944 r. Delegatura Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej w Nairobi przekazała Referat Kulturalno-Oświatowy Delegaturze Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Wysłano wówczas do osiedli instrukcje programowe, więc S. Szczepański wyraził nadzieję, że „świetlice pójdą w odpowiednim kierunku”. Miało temu towarzyszyć i skierowanie „ludzi z przygotowaniem fachowym”. Powstaje pytanie, dlaczego tak późno zainteresowano się mocniej oświatą pozaszkolną w osiedlach?

Kolejny dział sprawozdania (V) miał częściowo charakter aneksu, zaczęto go od zestawienia podręczników i pomocy szkolnych²⁷. Pomocą w ich dostawie służyła Delegatura Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w Jerozolimie, zaś wśród edytorów bardzo ważne miejsce zajmowała Sekcja Wydawnicza 2 Korpusu Polskiego. Mimo to zasób podręczników do

²⁷ Tamże, s. 78-89. Używano podręczników wydanych jeszcze w Teheranie, przeważały jednak przysyłane z Londynu. Rekordowo dużo – 3,7 tys. – znajdowało się w Afryce Wschodniej i Południowej czytanek M. Falskiego.

szkół średnich ogólnokształcących w Afryce był niezadowolający, a do szkół zawodowych „bardzo niewystarczający”. „Z niektórych przedmiotów podręcznik posiada jedynie nauczyciel, do innych przedmiotów podręczników zupełnie brak”. W roku przyszłym przewidywano rozwój kursów i szkół zawodowych oraz przejście kolejnej puli absolwentów szkół powszechnych do gimnazjów. Potrzeby zatem miały wzrosnąć, a ich zaspokojenie zależało już głównie od władz angielskich, zwłaszcza ich hojności finansowej. We wszystkich szkołach odczuwano również „silny brak pomocy naukowych, szczególnie do nauki przyrody, fizyki, chemii”. Załatwienie tej sprawy autor sprawozdania uważał za wyjątkowo ważne, nadaremnie czekano na realizację zamówień wysłanych do Polonii w Stanach Zjednoczonych. Udało się natomiast z dniem 11 lipca 1945 r. wznowić nadawanie codziennych audycji polskich w rozgłośni w Nairobi, m.in., z lekcjami języka angielskiego oraz pogadanką religijno-moralną. Wydano także 6 numerów dwutygodnika „Nauka i wychowanie” z tematami: Egipt, Grecja, Rzym, książka i jej znaczenie, Jadwiga i Jagiełło. Niestety, z braku środków 1 sierpnia 1945 r. edycję „Nauki i wychowanie” przerwano. Pocięto kompletne wyposażenie w podręczniki uczniów klas niższych szkół powszechnych.

Dział VI poświęcono na omówienie szkolnictwa muzycznego.²⁸ Placówką wiodącą w tym zakresie była Szkoła Muzyczna im. Stanisława Moniuszki w Tengeru, zorganizowana przez dyr. Jadwigę Marko. Pierwszy rok pracy przyniósł zadowolające wyniki, grono nauczycielskie powiększyło się do 7 osób, prof. Beynar utworzył w krótkim czasie orkiestrę uczniowską, która na zakończenie roku szkolnego zaprezentowała 44 utwory kościelne i świeckie. „Zapał młodzieży do studiów muzycznych wbrew przewidywaniom nie tylko nie ostygł, ale przeciwnie, wzmógł się w miarę postępów w nauce. Końcowe popisy muzyczne wszystkich klas wykazały bardzo duże postępy uczniów i uczennic, szczególnie w klasach zaawansowanych.” Jednak trudności były nadal dokuczliwe, szkoła dysponowała 7 fortepianami i jednym tylko kompletem instrumentów orkiestralnych, brakowało materiałów nutowych oraz sal szkolnych. Prowadzono kurs muzyczny dla nauczycielstwa, a uczennice klas zaawansowanych udzielały korepetycji koleżankom w sierocińcu. Łącznie było 181 uczniów (dziewcząt 143) w klasach: śpiew solowy (3 uczniów), gra na fortepianie (132), gra na skrzypcach (18), gra na wiolonczeli (2), gra na instrumentach dętych (26). Ponadto prowadzono kursy fortepianowe w Kidugali (planowano wprowadzenie programu szkoły muzycznej), Koji (lekcje fortepianu i nauka zasad muzycznych, niedzielne pogadanki z ilustracją muzyczną), Masindi.

W raporcie czytamy ponadto, że „chóry szkolne i ludowe rozwijają się pomyślnie. Specjalnie niektóre z nich, jak np. chór gimnazjów w Tengeru, chór gimnazjum Digglefolt i chór gimnazjum w Masindi osiągnęły wysoki poziom wykonawczy, dzięki czemu są w stanie propagować muzykę polską na koncertach poza osiedlem”. Wyróżniał się również chór ludowy w Koji. Teatry szkolne i ludowe wzbogaciły swój repertuar, zasoby rekwizytów i kostiumów. Dawa-

²⁸ Tamże, s. 90-95. Władze angielskie zapowiedziały przerwanie dotowania Szkoły Muzycznej w Tengeru, ale dyrektor urzędu do spraw uchodźców po obejrzeniu koncertu uczniowskiego zatwierdził dodatkowy etat i przyrzekł dalszą pomoc.

ły one przedstawienia w Nairobi (teatr z sierocińca w Tengeru) i dla miejscowego społeczeństwa angielskiego (teatr szkolny w Rongai), spełniały „doskonale swą rolę propagandową” (teatr szkolny w Koji). S. Szczepański uważał, że praca w dziedzinie teatralnej prowadzona była bardzo intensywnie, dało się zauważyć wzrost sztuk klasycznych, „co ma duże znaczenie dla wyrobienia smaku artystycznego młodzieży i starszych”. Prowadzono również tygodniowe audycje radiowe z Nairobi na temat historii muzyki polskiej (ks. W. Wargowski), promowano twórczość Fryderyka Chopina, a koncerty muzyki polskiej urządzano wraz z pogadankami w większych osiedlach. Stały kinoteatr posiadało jedynie osiedle w Tengeru, prezentowano tam codzienne programy przy bardzo dużej frekwencji (brakowało filmów polskich).

W literaturze przedmiotu bardzo dużo miejsca zajmuje harcerstwo, podobnie stało się w omawianym sprawozdaniu. „Stosunek szkolny i grona nauczycielskiego do harcerstwa pozytywny (opiekunowie drużyn), duszpasterstwa bardzo dobry, społeczeństwa zadowolający, władz angielskich dobry”. Prace, w tym kursy i obozy, prowadzono w drużynach i gromadach zuchowych, na zbiórkach odbywały się próby na stopnie i sprawności harcerskie. Na terenie wszystkich osiedli harcerstwo brało czynny udział w uroczystościach i życiu kulturalnym oraz w zbiórkach mających na celu niesienie pomocy jeńcom i ludności polskiej w Niemczech. Nawiązano kontakty ze skautingiem angielskim, odbywano wycieczki krajoznawcze, wydawano lokalne pisma harcerskie, organizowano ogniska, wieczornice, festyny i przedstawienia. Harcerstwo posiadało dobrze urządzone świetlice, ufundowane przez War Relief Services, z bogatym inwentarzem i sprzętem. „Harcerstwo jest najpopularniejszą i najżywotniejszą organizacją młodzieżową. W obecnych warunkach spełnia pozytywną rolę wychowawczą wśród młodzieży”.

Stan organizacyjny harcerstwa na terenie Afryki Wschodniej w końcu 1945 r. wyglądał następująco: 4 chorągwie, po 4 hufce harcerek i harcerzy oraz 10 mieszanych (koedukacyjnych). Prowadzono 39 drużyn harcerek i 18 harcerzy, 5 drużyn skautów i wędrowniczek, 42 gromady zuchowe. 2 kręgi starszoharcerskie (druhny), ponadto urządzono 21 izb harcerskich. W szeregach ZHP znajdowało się: 1896 harcerek, 817 harcerzy (razem 2713), 832 zuchów dziewcząt i 539 zuchów chłopców (razem 1371), 20 starszych harcerek, 10 instruktorów (w tym 8 druhen).

Są także w sprawozdaniu dokładne dane o obozach stałych (11 z 382 uczestnikami), wycieczkach na zloty angielskie, koloniach zuchowych, kursach drużynowych i wodzów zuchowych. Ogółem na terenie Afryki Wschodniej znajdowało się 7891 młodzieży polskiej w wieku szkolnym, zatem do harcerstwa należało około 52% (4114 druhen, druhow i zuchów). Jest wskaźnik niższy od podawanych w relacjach i meldunkach z wybranych osiedli (ok. 70-80%).²⁹

Ministerstwo rozsyłając raport Seweryna Szczepańskiego polecało zwrócić uwagę na rozdział VII, czyli „Sprawy ogólne”. Okazuje się, że współpraca „czynników polskich i angielskich” była omawiana na wspólnej konferencji

²⁹ Tamże, s. 96-97, dział VII. Wśród instruktorów były 4 harcistrzów (druhna i 3 druhow) oraz 11 podharcistrzów (7 druhen i 4 druhow). Wszystkie dane liczbowe zaczerpnięto ze sprawozdania.

27 lipca 1945 r. w Nairobi. Przedstawiciele polscy byli jednak tylko proszeni o wyrażania opinii, a decyzje podejmowali Anglicy w swoim gronie. S. Szczeptański zgodził się objąć stanowisko Chef Polish Educational Adviser'a przy East African Refugee Administration w Nairobi; takie zalecenie otrzymał od władz ministerialnych w Londynie. Personel Delegatury Ministerstwa WRiOP przejęły władze angielskie, z Polakami podpisano umowę o pracę, pozostawiając im dotychczasowe uposażenia. Wskazano na konieczność poczynienia jak najdalej idących oszczędności, co w pierwszej kolejności miało znaleźć wyraz w redukcji personelu administracyjnego, zwłaszcza działu buchalterii. Ostatecznie personel Delegatury składał się z 10 osób, w tym 3 wizytatorów szkół oraz instruktorów: oświaty pozaszkolnej, szkół zawodowych, harcerstwa, do spraw radia, biblioteki, podręczników i pomocy szkolnej. W dziale duszpasterstwa pozostał prowikariusz generalny ks. W. Słapa. W osiedlach niemal w komplecie zachowano personel inspektorski i liczbę nauczycieli, jednak wszystkie sprawy budżetowe przeszły do kompetencji czynników angielskich.³⁰

Autor sprawozdania opisał trudności potęgujące się w następnych miesiącach. Był zaskakiwany faktami dokonanymi w sprawie organizacji szkół i zmian personalnych, obawiał się, że władze angielskie chcą odseparować Ugandę od pozostałych krajów Afryki Wschodniej, a właśnie w tym kraju zanościło się na likwidację części placówek. Tam też należało zmusić „zrewolucjonizowanych nauczycieli i dyrektorów do posłuszeństwa władzy polskiej”. Poprawnie układały się sprawy szkolne w Tanganice, choć i tam wywierane były naciski, by zredukować liczbę szkół, nauczycieli oraz pracowników administracji, a zatrudnionym obniżyć wynagrodzenie. Szkolnictwo w Kenii ograniczono do ośrodka w Rongai, dzieci z obozu przejściowego w Makindu ulokowano tam w internatach. Nie było jeszcze niepokojących wieści z obu Rodezji.

„Reasumując powyższe informacje stwierdzam, że mimo wszelkich trudności, jakie wynikły z nowego porządku rzeczy, szkolnictwo polskie na ogół nie poniosło szwanku i młodzież pracuje pod kierunkiem nauczycieli normalnie jak dawniej. Muszę dodać, że na pewnych odcinkach praca szkolna zyskała na intensywności, a szereg szkół rozbudowało swoje oddziały, zwłaszcza zakłady średnie, ogólnokształcące i zawodowe.”³¹

Końcowe akapity raportu odnoszą się do najnowszych pogłosek o zbliżającej się repatriacji uchodźstwa polskiego z Afryki. Tymczasem oficjalnie Delegatura została poinformowana, że pobyt Polaków w osiedlach jest zapewniony w 1946 r., a może być przedłużony na pierwszy okres 1947 r. Niemniej władze angielskie odmawiały już przyjmowania niektórych zamówień, na przykład na podręczniki szkolne. Pojawił się i nowy problem, bo „ostatnio otrzymaliśmy wiadomości, że przedstawiciele „Rządu Warszawskiego” zamierzają odwiedzić osiedla polskie celem wszczęcia akcji zmierzającej do propagandy za powrotem do Polski. Stosunek uchodźstwa polskiego w Afryce do marionetkowego „Rządu Warszawskiego” jest w zasadzie negatywny. Zachodzi jednak obawa, że gdyby przedstawiciele

³⁰ Tamże, s. 98-99. Zostały podane dane osobowe pracowników Delegatury.

³¹ Tamże, s. 100-107. Autor ze smutkiem skonstatował, że po odebraniu polskiemu personelowi kierowniczemu uprawnień do dysponowania finansami, autorytet tych osób wśród znacznej części rodaków zmalał. Natomiast zaobserwowano zjawisko przymilania się urzędnikom angielskim.

„Rządu Warszawskiego” zażądali wydania sierot, znajdujących się w internatach osiedlowych, władze angielskie byłyby zmuszone zadość uczynić tym żądaniem. Wobec tego wydaje mi się, że należałoby przyspieszyć akcję National Catholic Welfare Conference w Ameryce, zdążającą do przeniesienia sierot polskich do Stanów Zjednoczonych. Ponad to, jeżeli chodzi o uchodźstwo polskie i młodzież szkolną, to w związku z niepokojącymi pogłoskami byłoby bardzo korzystnym, aby czynniki londyńskie informowały nas stale o wszelkich rokowaniach w sprawie repatriacji. Sprawa przeniesienia blisko dwudziestotysięcznej rzeszy uchodźców polskich w Afryce, w tym w połowie młodzieży szkolnej, na inne terytoria jest tak ważna, że wymaga przygotowań i organizacji, ustalonej na kilka miesięcy przed zamierzonym przesiedleniem na stałe miejsce pobytu. Informowanie w tych sprawach przyczyniłoby się do uspokojenia nastrojów w osiedlach i do ułatwienia normalnej pracy w szkolnictwie.”³²

Dokument nr 3: Sierocińce

Były one pod szczególnym nadzorem, podlegały często inspekcjom, więc zachowała się bogata dokumentacja, łącznie ze wykazami osobowymi. Załączam omówienie sprawozdań z trzech wizytacji, włączając w mój tekst cytaty z raportów Jakuba Hoffmana.

Sierociniec w Tengeru (Tanganika)³³, 198 dziewcząt i 95 chłopców, z czego 20 dziewcząt i 5 chłopców nie było sierotami, lecz dziećmi przybyłymi z innych osiedli do szkół w Tenge ru.

Posiłki. Każde dziecko otrzymuje 4 posiłki dziennie. Racje chleba są niewystarczające, więc kupuje się mąkę na tzw. czarnym rynku i piecze chleb we własnym zakresie. Są też kłopoty z dostawą jaj. Jarzyn jest dużo, bo osiedle posiada swoją farmę i wiele ogrodów warzywnych. Kuchni dietetycznej nie ma, na zlecenie lekarza dzieci otrzymują jako dietę mleko i ryż. Owoców otrzymuje się mało, ale można je dokupić bez żadnych problemów na rynku.

Śniadanie: kawa lub herbata z mlekiem, chleb z masłem, miodem lub syropem, względnie z dżemem. Drugie śniadanie: chleb pieczony we własnym zakresie z masłem, dżemem lub miodem, do tego w szkole wszystkie dzieci otrzymują mleko. Obiad: zupa gotowana na kościach lub mleczna (w piątki), mięso z jarzynami lub kluskami. Podwieczorku nie ma, na kolację ryż na mleku. Racje chleba otrzymują dzieci codziennie po południu.

Higiena i czystość osobista. Dzieci myją się w miednicach, które znajdują się po dwie w sali mieszczącej 10-12 dzieci. Jedna miednica służy do mycia nóg. Każde dziecko ma 2 ręczniki, prysznice są tylko w pierwszej grupie, mydła dużo. Praczek po 5 na grupę, bielizna pościelowa zmieniana jest raz w tygodniu, osobista dwa razy w tygodniu, moskitiery raz na miesiąc. Wszystkie dzieci mają szczotki do zębów i pastę. Każdy z nich posiada 1 koc wełniany i dwa

³² Zob.: K. Barański, *W trzy strony świata. Szkolnictwo polskie poza granicami kraju podczas drugiej wojny światowej*, Hove 1991;

³³ IPiMS, sygn. A.18, t. 47. Delegatura MPiOS, Nairobi 6 XI 1944. Inspekcję przeprowadził Jakub Hoffman.

bawełniane. Wszy na ogół nie ma, podobnie świerzbu, choć zdarzały się wcześniej takie przypadki. Występuje jaglica, ale wedle orzeczenia lekarza angielskiego nie jest ona zakaźna. Dotychczas nie było higienistek. Obecnie przekwalifikowano do tych czynności dwie siostry. Higiena pomieszczeń dobra, jednak budynki wymagają kapitalnego remontu. Kuchnie pod dachem bez ścian, co wydaje się być nieodpowiednie. Ustępy czyste.

Wychowanie fizyczne. Dzieci wstają o godzinie 6.30, gimnastyka i sport tylko w ramach programu szkolnego, brakuje piłek.

Wyekwipowanie: bielizna osobista po 3 pary, ubrań po 5-6, trzewików po 2 pary, pościel jest własnością sierocińca, ale nie indywidualna. Szaf na rzeczy nie ma, składa się na półkach.

Zasiłek na drobne wydatki – dzieci do lat 16 otrzymują po 2,5 SHS (szylinga), powyżej lat 15 po 10 SHS. Konta dzieci prowadzą wychowawczynie, które w razie potrzeby wydają pieniądze.

Ewidencje kartkową prowadzi kancelaria. Księga obejmuje rubryki: a/ nazwisko i imię, b/ imiona rodziców, c/ z kim wyjechało z Polski, d/ kto z rodziny zmarł w Rosji, e/ kto zmarł w drodze z Rosji, f/gdzie jest ojciec, g/ gdzie matka, h/ gdzie rodzeństwo i kto jest z nim razem.

Kontakty z krewnymi utrzymywane listownie, rozpoczęto akcje z Anglikami. Jeden Polak z Ameryki opiekuje się grupą dzieci. Personel opiekuńczy wynosi 17 osób, w tym kierowniczką sierocińca i 3 kierowniczki 3 grup, kwalifikacje różne. Wzajemny stosunek dzieci i opiekunów dobry. „Jak z powyższego wynika, trudności są w: 1/ dostarczeniu łaźni z prysznicami, 2/ większej dotacji chleba, 3/ potrzebne piłki, szachy, warcaby, itp. gry, 4/ wydaje mi się konieczne opracowanie programu wychowawczego, 8 regulaminów nie zastąpi programu wychowawczego.”

Sierociniec przy klasztorze s. Nazaretanek w Morogoro (Tanganika)³⁴.

Stan dzieci: 27 dziewczynek, 17 chłopców, razem 44 w wieku od lat 8 do 17. Również 4 posiłki dziennie, urozmaicone, chleba nie brakowało. Na drugie śniadanie dawano kakao, względnie ciastka pieczone z mąki otrzymanej od Anglików. Mleko było tylko skondensowane, wążle dzieci otrzymywały dożywianie. Higiena dobra, domki 5-izbowe, w izbie 4 dzieci i 1 zakonnica. „Mycie w łaźni po lekcjach w szkole, gdyż rano ani wieczorem myć się w łaźni nie wolno. Dzieci chlapią się chętnie, często. Wszy, jaglicy ani świerzbu nie ma. Lekarz dr Podhajska jest lekarzem obozowym i sierocińca zarazem”. Gimnastyka i sport tylko w szkole. Wyekwipowanie: bielizna po 3 pary, ubrań po 3, bucików para i to zdarta. Pościel zmienia się w razie potrzeby, przeciętnie co półtora tygodnia. Wszystkie dzieci posiadały walizki.

Zasiłki w wysokości 2,5 SHS trafiają do rąk wychowawczyń, w ostatnim miesiącu dzieci przekazały je na pomoc ludności Warszawy. Sierocińcem opiekował się baon saperów Brygady Karpackiej, przysyłał pieniądze. Sióstr nazaretanek było 19, jedną z nich opłacała Delegatura Min. WRiOP (etat wychowawczyni). „Stosunek wzajemny sióstr i sierot bardzo dobry. W czasie podróży i

³⁴ Tamże, pominąłem dane analogiczne jak w Tengeru.

bezpośrednio po podróży zachowanie się sierot pogorszyło się wskutek przyłączenia 40 dzieci z Isfahanu, które wysłano do rodzin. Obecnie, po odejściu tych dzieci, ustał zły wpływ wychowawczy.” „Braki i trudności: w pierwszych rzędzie potrzebne są buty. Wkrótce cały sierociniec zostanie przeniesiony do Rongai – Kenya.”

Sierociniec w Masindi (Uganda)³⁵ z internatem młodzieży uczącej się w gimnazjum państwowym, przybyłej z Koji. Mieszkało w nim 319 dzieci, z nich 246 uczyło się w szkole powszechnej, 56 w gimnazjum, 6 w szkole zawodowej, a 11 uczęszczało do przedszkola. Sierot pełnych było 142 (126 w szkole powszechnej, 11 w gimnazjum, 3 w szkole zawodowej, 2 w internacie), półsierot 119 (odpowiednio: 105, 1, 3, 10). Dzieci personelu pracującego w sierocińcu jest 69 (odpowiednia: 50, 14, 1, 2 w przedszkolu). Półsieroty ze szkoły powszechnej (87) posiadają rodziny poza Masindi, głównie w wojsku.

Odżywianie w zasadzie zadawała. Śniadanie o godz. 7, kawa z mlekiem lub herbata z cytryną, chleb z masłem lub dżemem. Na drugie śniadanie chleb z twarogiem, lub suchy ze zsiadłym mlekiem (mleko dostarczano świeże z Kampali, nie można go było gotować). Obiad o godz. 13 z trzech dań. Kolacja o godz. 18, zupa (we wtorki i piątki ryba), kawa lub herbata, chleb. Chleba starcza tylko na śniadanie i kolację, na drugie śniadanie wypiekany jest z mąki zaoszczędzonej w piekarni oraz ze specjalnego przydziału (2 przydziały mąki, 13 worków, nie nadawały się do spożycia). Kakao otrzymał sierociniec tylko 2 razy.

Higiena mieszkań i kuchni dobra. W domkach mieszka przeciętnie 18 dzieci. Na jaglicę choruje 40 dzieci rozmieszczonych w osobnych 3 domkach. Wodę do baku nad prysznicami trzeba przynosić, centralny pryszczycieczny, łaźni w całym osiedlu nie ma.

Prawie wszystkie dzieci mają po 2 pary bielizny, 3 ubrania, część tylko po 2 pary butów, 4 prześcieradła, 2 koce i 2 poszewki. Bieliznę pościelową zmienia się raz na 2 tygodnie, a osobistą raz na tydzień. „Ekwipunku higienicznego nie otrzymano, dziewczynki we własnym zakresie zrobiły.” Większość dzieci posiada koszyki, niektóre kupiły sobie walizki, szafek na ubrania nie ma. Sierociniec posiada 6 szwaczek z maszynami dla przeróbek ubrań i bielizny.

Personel: kierowniczką, sekretarką, goniec, 18 wychowawczyń oraz 3 pomocnicze, 15 kucharek, 14 praczek, 4 sprzątaczkę jadalni, 3 magazynierki, 2 drwali, kierowniczką działu gospodarczego. Z personelu wychowawczego nadają się na to stanowisko tylko 4 wychowawczynie. Zupełnie nie sprawdzają się kierownik sierocińca i kierowniczką działu gospodarczego. Dzieci uczęszczające do starszych klas szkoły powszechnej, zwłaszcza do kl. VI i do gimnazjum są przeciążone pracą. Chodzą spać przed godziną 23-24, a niekiedy dopiero o godz. 2 w nocy. Dziewczynki skarżą się na zawroty głowy. Zupełna ciemność zapada o godzinie 19, odrabianie lekcji trwa przy świetle lampy naftowej i to w niedostatecznej ilości, co powoduje zapalenie spojówek. „Wydaje mi się koniecznym przeprowadzenie zmiany programu szkolnego i dostosowanie go do warunków podrównikowych, tak, by dzieci najdłużej przebywały w szkole 4 godziny. Dzieci wracające po 5 godzinach pracyw szkole są przemęczone i nie mają apetytu.”

Kary stosuje się w postaci stania przed ołtarzykiem w jadalni w czasie

³⁵ Tamże, inspekcję przeprowadził J. Hoffman w dniach 17 i 18 XI 1944 r.

spożywania przez innych posiłku. Zdaniem inspektora nie był to dobry środek wychowawczy. Brakuje regulaminów i programów wychowawczych. „Przed odjazdem prosiłem kierownika osiedla, inż. Hallinga, by polecił: 1/ by wychowawczyni jadły razem z dziećmi posiłki, 2/ by dzieciom dostarczono widelców i noży oraz nauczono je posługiwać się nimi.”

Dokument nr 4: Harcerstwo

Wyjątkową rolę spełniało w osiedlach harcerstwo polskie. Jak poważnie władze ZHP traktowały swe obowiązki świadczy niniejsza instrukcja: Związek Harcerstwa Polskiego na Wschodzie. Zakres pracy instruktorów wychowawczych harcerstwa w Afryce.³⁶

I. „Celem pracy instruktora jest wychowawcze oddziaływanie na młodzież w ramach metody harcerskiej. W szczególności Instruktor WH [wychowania harcerskiego] musi dbać o:

- Należyty dobór i szkolenie kandydatów na kierowników pracy na wszystkich szczeblach organizacyjnych (hufcowi, drużynowi, wodzowie gromad zuchowych, zastępowi) drogą organizowania kursów, konferencji, odpraw oraz drogą stałego indywidualnego dokształcania.
- Należyte stosowanie w pracy harcerskiej wszystkich elementów prawidłowej metody harcerskiej. Dotyczy to zarówno techniki, jak i „dydaktyki” harcerskiej (system zastępowy, współzawodnictwo grupowe, stopnie i sprawności itd.). Winien to czynić przez instruowanie, prowadząc osobiście szereg zajęć harcerskich, jak zbiórki, wycieczki, zajęcia świetlicowe i temu podobne, drogą pouczania, wreszcie przez wizytowanie drużyn, gromady, zastępów.
- Pamiętając, że ostatecznym celem Harcerstwa jest wychowanie aktywnej jednostki społecznej o mocnym charakterze, jasno skryształizowanym światopoglądzie, Instruktor WH musi dbać o należyte uświadomienie i pogłębienie założeń ideologicznych Harcerstwa. Odnosi się to zarówno do odpowiedniego doboru gawęd, jak i do nakazu spełniania codziennego dobrego uczynku, jak wreszcie do całokształtu „życia harcerskiego”, wyrażającego się stosowaniem w codziennym życiu prawa harcerskiego w całej rozciągłości. Zagadnieniu temu Instruktor WH winien poświęcić bardzo dużo uwagi i troski.
- Dbą również o prawidłowy rozwój moralny i umysłowy młodzieży oraz o należyty poziom uspołeczniania w miarę jej rozwoju psychicznego. Wszelkie swoje prace Instruktor WH przeprowadza w ścisłej koordynacji z Komendantami i odnośnymi władzami szkolnymi.

II. Pamiętać trzeba, że jeszcze nie cała młodzież jest ogarnięta organizacyjnymi ramami ZHP, szczególnie w osiedlach dużych (Tengeru, Lusaka, Masindi). Instruktor WH winien dużo swego czasu poświęcać właśnie tej młodzieży, na razie winien na tą młodzież oddziaływać wychowawczo przez:

- Organizować zajęcia świetlicowych (zarówno w świetlicach harcerskich, jak

³⁶ IPiMS, sygn. A. 19. III 12, wizytator wychowania harcerskiego na Afrykę Nairobi, 24 II 1946 r.

i szkolnych oraz innych) w czasie pozalekcyjnym w formie:

- 1) Periodycznych i dorywczych dzienników mówionych, konkursów gier w izbie (pin-pong, szachy, warcaby, inne), wieczorów muzycznych (z płyt), literackich, poetyckich, dyskusyjnych, urządzenie wystaw (fotograficznych, widoków polskich, strojów ludowych itp.), gazetki ściennej i wiele innych.
 - 2) Organizowanie kółek teatralnych, krajoznawczych i etnograficznych (zaczątki muzeów afrykańskich), fotoamatorskich, filatelistycznych)
 - 3) Organizowanie warsztatów robót ręcznych w formie prac rękodzielniczych, z jednoczesnym zapewnieniem zbytu, jak: introligatorstwo, galanteria skórzana, wyroby zabawek, hafty i temu podobne).
- Organizowanie wychowania fizycznego w szerokim ujęciu i przy współpracy istniejących już instytucji oraz z zastosowaniem istniejących urządzeń WF (boiska szkolne, pływalnie, inne), w szczególności:
 - 1) Organizowanie i przeprowadzanie wycieczek szkolnych, zajęć szkolnych, uzgadniając ich program i termin ze szkołą. Mogą to być wycieczki całych klas, lub jedynie pewnych grup. Co do programu ich, mogą być naukowe, sportowe, krajoznawcze i inne.
 - 2) Organizowanie zajęć sportowych w dziedzinie dostępnych sportów, zarówno pod względem istniejących na miejscu przyborów sportowych, jak i warunków (lekka atletyka, łucznictwo, gry sportowe, inne)
 - 3) Organizowanie zawodów sportowych, przede wszystkim międzyklasowych, następnie międzyorganizacyjnych, międzyszkolnych, wreszcie wystąpień zewnętrznych.
 - 4) Wprowadzenie i rozpowszechnienie nowego działu WF, jakim jest dział gier i ćwiczeń terenowych.
 - Pomoc w organizowaniu i przeprowadzaniu wszelkich wystąpień związanych z uroczystościami narodowymi, lokalnymi, jak również branie czynnego udziału w życiu osiedli.

Przykłady wyżej przytoczone nie wyczerpują całokształtu form pracy Instruktorów WH, mają jedynie za zadanie podsuniecie niektórych z nich w celu przystosowania odpowiednich do możliwości terenowych.

III. Aby móc spełnić to liczne i trudne zadania, jakie ciążyą na Instruktorze WH, musi on być w stałym i ścisłym kontakcie z miejscowymi władzami szkolnymi. Powinien on informować je o celu i zakresie swej pracy, przy czym czynniki szkolne mogą wysuwać swoje sugestie, co do wychowania i prowadzenia prac wychowawczych objętych działem II tej instrukcji, w zależności od potrzeb lokalnych. W związku z tym kierownicy zakładów naukowych mogą według własnego uznania i zachodzących potrzeb zapraszać Instruktora WH na zebrania Rad Pedagogicznych, konferencje, odczyty, itp.

Instruktor WH powinien również być w kontakcie z Referentem Oświaty Pozaszkolnej Osiedla, w stosunku do którego winien zajmować stanowisko rzecznika młodzieży. Musi wreszcie być w kontakcie z organizacją skautową angielską, organizować kontakty młodzieżowe polsko-angielskie.

Podpisał: J. Brzeziński hm, wizytator Wychowania Harcerskiego. Delegat Ministerstwa WRiOP w Nairobi S. Szczepański 24 lutego 1946 r. przesłał powyższy „zakres pracy” jako okólnik inspektorom szkolnym, dyrektorom i kierowni-

kom szkół z zaleceniem współpracy z instruktorami wychowania harcerskiego.





Uczniowie polskiej szkoły w Masindi – 1943. Z archiwum Zofii Daniszewskiej

Delegatura WRiOP w Nairobi przesłała również pismo zawierające uwagi odnośnie wychowania fizycznego. „Specyficzne warunki klimatyczne Afryki, jak nadmierna ciepłota, zabójcze działanie promieni słonecznych w ciągu większej części dnia, wreszcie kompletny brak zarówno krytych hal do ćwiczeń gimnastycznych, jak i przyborów gimnastycznych i sportowych powodują, że polski system wychowania fizycznego, drobiazgowo opracowany i przystosowany do warunków polskich, na tym terenie jest nieodpowiedni i niemożliwy do przeprowadzenia.” Dodatkową przeszkodą było przemęczenie nauczycieli dużym wymiarem zajęć. Proponowano zastosowanie programów angielskich, uwzględniających gry, zabawy i sport na świeżym powietrzu z dołączeniem „narodówki” i palanta. Wychowanie fizyczne należało prowadzić w godzinach przedwieczornych, przeszkolić nauczycielstwo, zapewnić szkołom choćby prymitywne boiska i minimum potrzebnego sprzętu.

Dzieci polskie poza Europą

Kraj	Ilość dzieci	Chłopcy	Dziewczynki	Sieroty	Pólsieroty	Status niepewny	Ilość		
							Przed-szkoli	Szkół powszechnych	Gimna-zjów
Afryka Wsch.	6925	1644	4915	100%	20	19	6		
Afryka Płdn.	277	141	137	100%	1	1	1		
Indie	224	256	143	224	256	143	1	4	1
Meksyk	720	280	360	87					
Nowa Zelandia	718	307	411	100%	1	2	1		
Palestyna i Liban	4157	2952	1488				4	11	9

Dzieci z polskiego sierocińca w Masindi – 1943. Z archiwum Zofii Daniszewskiej

DANUTA SEDLAK

POLSKI CMENTARZ NA RÓWNIKU

Uganda

W latach 1942-1948 istniały w Ugandzie dwa osiedla: w Koji nad Jeziorem Wiktorii i Masindi. Zamieszkiwali je Polacy, którzy w latach 1940-1941 wywiezieni zostali na Syberię, do Kazachstanu i w inne rejony Związku Radzieckiego. Po zawarciu układu Sikorski – Majski i ogłoszeniu tzw. „amnestii” ponad 18 tys. osób, przeważnie matek z dziećmi i sierot trafiło do Afryki.

Ocaleni

Należałam do grupy tych szczęśliwców, których gen. Wł. Anders uratował od niechybnej śmierci. Udało nam się wydostać z ZSRR i po krótkim pobycie w Persji i Indiach dotarliśmy do Afryki. Tam rozlokowano nas w dawnych koloniach angielskich, w 22 osiedlach.



Delegacja polska składa kwiaty na grobach tułaczy na cmentarzu w Koji.
Stoją m.in. minister Jan Ciechanowski, prof. Andrzej Kunert, ks. Ryszard Józwiak.
Fot. Mariusz Solorz

Po traumatycznych przeżyciach – Afryka stała się rajem, krainą sytości, miejscem gdzie koszmar Syberii oddalił się i zatarł w pamięci, gdzie zblizniły się rany z wczesnego dzieciństwa.

Po powrocie do Polski, wiele lat tęskniłam za Ugandą i Kenią – miejscem mojego dzieciństwa – i gdy tylko wolna Ojczyzna dała mi możliwość podróżowania po świecie natychmiast znalazłam się w Afryce, by szukać śladów naszej bytności. Byłam wielokrotnie w Kenii, Tanzanii i ze smutkiem stwierdziłam, że pozostały po nas jedynie zdewastowane cmentarze. Trzeba temu zapobiec – postanowili dawni mieszkańcy osiedla Koja – do których się zaliczam i w listopadzie 2010 roku powołali Komitet Odbudowy Cmentarza. Na nasze usilne prośby szefem przedsięwzięcia został dr Hubert Chudzio z Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie.

I tak dzięki współpracy, datkom, ogromnemu zaangażowaniu o. Ryszarda Józwiaka, Sybiraków rozproszonych po całym świecie, a także włączeniu miejscowej ludności oraz wsparciu takich instytucji jak Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa oraz Urząd ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych możliwa była realizacja projektu. Udało się!



Namioty chronią przed żarem równikowego słońca. W tle Jezioro Wiktorii.

Fot. Mariusz Solorz

Uroczystości w Koji

W 70-tą rocznicę naszego przybycia do Afryki – 4 listopada 2012 roku dokonaliśmy otwarcia odnowionego cmentarza polskich tułaczy w Koji nad Jeziorem Wiktorii. Cmentarz otoczony niskim murem, posiada 96 betonowych krzyży, przeplatanych alejkami. Przy pomniku inskrypcja: „Zmarli Polacy w drodze do Ojczyzny”, a u podstawy wyryto 96 nazwisk pochowanych na cmentarzu osób. Surowy wystrój cmentarza zapewnia mu przetrwanie w równikowym klimacie.

Komitet Odbudowy Cmentarza reprezentowali: z Kanady – Irena Kus, Bronisław Szołopiak, Edward Krajewski; z Australii – Józef Czemieszewski, Michał Chłopiccki; z Polski – Hubert Chudzio, Halina Machalska, Teresa Kraus, Danuta Sedlak, Artur i Ryszard Woźniakowscy. Swoją obecnością zaszczyli nas wyjątkowi goście: min. prof. Andrzej Kunert, min. J. Ciechanowski, sekretarz Generalny Związku Sybiraków – Stanisław Sikorski, prof. Adam Dobroński, ambasador RP z Nairobi – p. Ziółkowski, konsul RP – p. Katarzyna Jaworowska.

Grupa dawnych mieszkańców osiedla powiększyła się o najmłodsze pokolenie, gdyż koledzy z Australii i Kanady przywieźli dzieci i dorosłe wnuki, by pokazać im fragment swojego tułaczego szlaku. Jak ten czas leci! Jeszcze niedawno byliśmy w ich wieku, roześmiani, radośni zapominając o śmierci bliskich na Syberii.



Uczestnicy uroczystości otwarcia odnowionego cmentarza polskich tułaczy.

Siedzą od prawej: Teresa Kraus, Bronisław Szołopiak, Halina Machalska, Ryszard Woźniakowski, Danuta Sedlak, Stanisław Sikorski i Artur Woźniakowski.

Stoją od lewej: prof. Adam Dobroński, Michał Chłopiccki. Fot. Mariusz Solorz

Na uroczystości były również tłumy tubylców, odświętnie ubrane w bajejnie kolorowe stroje. Przy ołtarzu tonącym w biało-czerwonych kwiatach Mszę św. celebrował ugandyjski kardynał Emmanuel Wamala w asyście miejscowych kapłanów i naszego misjonarza o. Ryszarda Józwiaka. Ogromne namioty udekorowane wstęgami biało-czerwonymi chroniły nas przed żarem równikowego słońca. Po okolicznościowych, przemówieniach w bogatym repertuarze wystąpiła młodzież z pobliskich szkół.

Dla podkreślenia rangi uroczystości – pracownicy naukowcy z Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie pod kierownictwem dr. H. Chudzio zorganizowali sesję naukową pt.: „Polscy Sybiracy w Afryce w latach 1942-1952”. W interesujących referatach przedstawiono tematy: Czasopisma polskie na terenie Afryki w latach 40-tych; Polskie szkolnictwo w Afryce w latach 1942-1952; Efekty prac dokumentujących polskie cmentarze w Afryce.

Na misji Don Bosco

W czasie pobytu u gościnnego o. Ryszarda Józwiaka czas mieliśmy wypełniony rozmowami trwającymi do późnych godzin nocnych. Dobrze się znamy z poprzednich spotkań w Afryce i zjazdów „Klubu pod Baobabem” odbywających się co dwa lata we Wrocławiu. Dużo było tematów. Do szczególnie ciekawych zaliczam informacje o życiu w osiedlu przekazane nam przez prof. Adama Czesława Dobrońskiego. Profesor będąc w Muzeum im. W. Sikorskiego w Londynie zapoznał się z zachowaną tam dokumentacją osiedla Koja i był zdumiony rzetelnością i bogactwem prowadzonych kronik. Jako dzieci nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że żyjemy w małym miasteczku, w którym istnieje podział pracy, gdzie wszystko jest przemyślane i zaplanowane, w którym działa szkolnictwo, służba zdrowia, transport, zaopatrzenie. Mieszkańcy starali się, by wszystkim żyło się dobrze. Bywały wprawdzie drobne konflikty, lecz służba porządkowa działała natychmiast. Rytm dnia wyznaczały nam dzieciom obowiązki szkolne, zbiórki harcerskie, zabawy.

Jakich wspomniałych mieliśmy nauczycieli i wychowawców! Pani Jadwiga Woźniakowska, Stefania Fenc, kierowniczką szkoły – p. Stefania Jurkowska i wielu innych. Wspominamy ich ze wzruszeniem i wdzięcznością, bo na stałe zapisali się w naszej pamięci. Michał Chłopicki opowiadał, jak kiedyś nauczycielka wyznaczyła im zadanie domowe: „przedstaw w skali domek, w którym mieszkaś”. Michał zapamiętał wymiary domku i teraz po latach wykonał go w skali 1:20, przywiózł z Australii i z dumą nam zaprezentował. Z uznaniem i rozrzewnieniem oglądaliśmy chatkę, w jakiej spędziliśmy kilka lat. Zwłaszcza podziw budził dach chatki – do złudzenia imitujący strzechę z trawy słoniowej, z którego na nasze moskitiery spadały jaszczurki, a czasem zabłąkał się jakiś wąż.

Wizyta w Masindi

Na afrykańskim spotkaniu byli nie tylko mieszkańcy Koji, lecz także osiedla w Masindi. Postanowiliśmy je odwiedzić, pokonując samochodem dużą odległość. Dwa lata temu droga była fatalna, a teraz jechaliśmy twardą nawierzchnią niby-autostradą wybudowaną przez Chińczyków. Na miejscu naszymi przewodnikami byli: Irena Kus, Teresa Kraus i Broniek Szolopiak.

Określili lokalizację domków – po których nie było już śladu – w których mieszkali i zaprowadzili do kościoła zbudowanego przez ich rodziców (kościół dotknięty zębem czasu wymaga remontu). Przed kościołem niespodzianka – witający bajecznie kolorowy tłum tubylców z powiewającymi biało-czerwonymi flagami.! W kościele uroczysta Msza św. z kompletem misjonarzy rezydujących w Ugandzie. Po niej, na świetnie utrzymanym, ogrodzonym cmentarzu z grobami zmarłych na choroby tropikalne rodaków zapaliliśmy przy każdym znicze przywiezione z Polski. A wieczorem byliśmy zaproszeni przez ugandyjskiego proboszcza na poczęstunek do plebani. Jechaliśmy tam przez busz w ulewnym tropikalnym deszczu. Błyskawice i zupełne ciemności były czymś niezwykłym.

Modlitwa przed posiłkiem w tych warunkach była mistycznym przeżyciem. Gościnnie gospodarz bardzo się starał, aby nasza liczna grupa wyniosła jak najlepsze wspomnienia z tych odwiedzin.

A my zauroczeni Afryką z radością obserwujemy zmiany – więcej lepszych dróg i obok glinianych chatek coraz więcej murowanych domów. Wprawdzie w domach tych spacerują sobie kozy i kury, ale to nikomu nie prze-

szkadza. Stolica Kampala też się rozrosła, są potężne gmachy instytucji finansowych, urzędów i hoteli, pojawiają się supermarkety ze świeżymi truskawkami prosto z Chin. Ale jak dawniej na skwerach spacerują marabuty. Obowiązuje ruch lewostronny. Sporo japońskich samochodów. Mnie ciągle zadziwiają motocyklowe taksówki, którymi podróżuje trójka, a czasem i czwórka pasażerów.

Plany na przyszłość

Dwa lata temu rozstaliśmy się z Ugandą z postanowieniami odbudowy cmentarza – zadanie to wykonaliśmy. Tym razem uczestnicy zjazdu zaakceptowali projekt budowy szkoły im. „Polskich Sybiraków” Grono pomysłodawców wpłaciło znaczne kwoty na rozpoczęcie budowy, jednakże właściciel terenu, który miał dać plac pod budowę szkoły – wycofał się ze swej obietnicy. Ludność miejscowa wyraziła prośbę postawienia Ośrodka Zdrowia. Główni donatorzy i komitet uznali, że nie należy wstrzymywać ideę pomocy dla ludności i zdecydowali darowane pieniądze przeznaczyć na Ośrodek Zdrowia im. „Polskich Sybiraków”.

Pod kierunkiem o. Ryszarda Józwiaka ruszyły prace, postawiono ściany i trwa budowa dachu. Za zgromadzone fundusze obiekt zostanie przykryty dachem i zabezpieczony. Ukończenie budowy zależy od pozyskania nowych sojuszników dla zdobycia środków umożliwiających realizację projektu.

Kończę z optymizmem i nadzieją, że i tym razem zgodnie z planem w 2014 roku dokonamy kolejnego otwarcia znaku pamięci w Ugandzie w której po Sybirze znaleźliśmy opiekę i poczucie bezpieczeństwa.

*

PS. Wszystkich, którzy chcą pomóc w realizacji tej szczytnej idei prosimy o wpłaty na konto:

PKO Bank Polski S.A.
76 1050 1445 1000 0090 7932 7590
na nazwisko: Hubert Chudzio
z dopiskiem: Budowa Ośrodka Zdrowia

HERKULAN WRÓBEL OFM

**PRZEZ SYBERIĘ DO AMERYKI POŁUDNIOWEJ.
OPOWIEŚĆ O OJCU JUSTYNIANIE MACIASZKU OFM,
WSPÓŁTWÓRCY POLSKIEGO OŚRODKA
DUSZPASTERSKIEGO W ARGENTYNIE**

Młodość i pierwsze lata kapłaństwa o. Justyniana Maciaszka

Justynian Maciaszek urodził się w Poznaniu 27 maja 1913 roku. Szkołę podstawową ukończył w rodzinnym mieście. Do gimnazjum uczęszczał w kolegium franciszkanów we Wronkach, a potem w Rybniku. Zarówno w szkole podstawowej jak i w gimnazjum osiągał dobre wyniki w nauce. W 1929 roku, 4 września, wstąpił do nowicjatu w Leżajsku (Prowincja Niepokalanego Poczęcia NMP). W nowicjacie poznawał obowiązki zakonne i regułę św. Franciszka. Dnia 5 września następnego roku, po ukończeniu nowicjatu, złożył śluby zakonne. Po nowicjacie ukończył gimnazjum w Sokalu i tam w 1934 roku otrzymał świadectwo dojrzałości. Studia filozoficzno-teologiczne kontynuował w Wyższym Seminarium swojej prowincji we Lwowie. Równocześnie uczęszczał na Wydział Teologiczny Uniwersytetu Lwowskiego i tam w 1939 roku uzyskał tytuł magistra teologii. Dnia 25 czerwca tego samego roku otrzymał święcenia kapłańskie w katedrze lwowskiej z rąk ks. arcybiskupa Eugeniusza Baziaka.



*

Ojciec Justynian Maciaszek OFM
(1913-1953)

Po święceniach kapłańskich przełożeni skierowali go do pracy w klasztorze w Zbarażu. Dnia 17 września 1939 roku wkroczyły do tego miasta pierwsze oddziały armii sowieckiej. Nastąpiły aresztowania ludności polskiej i pierwsze zsyłki w głąb Związku Radzieckiego. Ojciec Justynian zaangażował się w pracę konspiracyjną w szeregach Polaków walczących o niepodległą Ojczyznę. Uczył religii w kościele, gdy została ona usunięta ze szkół. Zbierał po domach dary dla uchodźców. Pomagał mu w tym o. Łucjan Łuszczki, który z początkiem wojny przybył do Zbaraża. Odtąd obaj dzielili wspólną dolę. Los ich rozłączył dopiero, gdy opuścili Związek Radziecki i znaleźli się na wolności. Ojciec Łucjan był jedynym z naocznych nielicznych świadków gehenny, którą przeżył o. Justynian w latach 1940-1942.

Dnia 14 października NKWD wpadło do klasztoru w Zbarażu aresztując o. Justyniana, a następnie w dwa tygodnie później o. Łucjana. Osadzono ich w więzieniu w Tarnopolu, gdzie czekali na rozprawę. Podczas procesu sędzia śledczy doradzał o. Justynianowi, aby przyznał się do winy. „Przyznaj się do winy, a ocalisz swoje życie. Sąd weźmie pod uwagę twój młody wiek i mniejszą karę wymierzy”. „Byłem Polakiem i kapłanem – odpowiedział o. Justynian – uczyłem dzieci modlić się po polsku”. Prokurator domagał się najwyższego wyroku kary. Zarzucił o. Justynianowi – znany zarzut – że jest wrogiem ludu pracującego. Adwokat obrońca wystąpił nieśmiało w obronie o. Justyniana. Właściwie to potwierdził oskarżenie. „Jedynie tłumaczy oskarżonego – dodał – młody wiek i niedoświadczenie”. „Jestem niewinny” powiedział o. Justynian i to były jego ostatnie słowa na procesie. Sąd skazał jego i o. Łucjana na 10 lat poprawczych obozów pracy w Rosji sowieckiej.

Zsyłka na Kołymę

Z więzienia w Tarnopolu o. Justynian został przewieziony w marcu 1941 roku do Charkowa, gdzie przebywał jeden miesiąc. Ostatnią stacją był port więzienny Buchata Nachodka koło Władywostoku. Po kilku dniach 8 tysięcy więźniów załadowano na okręt. Wśród nich był i o. Maciaszek. Okręt płynąc przez Morze Japońskie i Ochockie zawinął do portu Magadan na Kołymie. Straszne słowo – Kołyma – było na ustach wszystkich więźniów.

Ciężkie warunki pracy i słabe zdrowie o. Maciaszka doprowadziły do tego, że już po kilku miesiącach, zmienił się nie do poznania. Wyglądał na starego człowieka, chociaż miał dopiero 28 lat. Dlatego wszyscy więźniowie nazywali go „staryk”. Więźniowie polscy wiedzieli, że o. Justynian był księdzem. To dla nich w ukryciu odprawiał Mszę św. i spowiadał.

W jakiś czas po przybyciu do obozu pracy o. Justynian spuchł całkowicie. Nie mógł chodzić. W dodatku jeden z sowietów zbił mu okulary, przy pomocy których zapalał papierosy. Został odesłany do szpitala. Po wyjściu ze szpitala skierowano go do pomocy w kuchni. Warunki egzystencji były bardzo ciężkie, wręcz nieludzkie. Z Kołymy nikt nie wychodził na wolność. Ginęli tam ludzie z wyczerpania, z głodu, z nędzy. Tylko modlitwa i silna wiara w Bożą Opatrzność sprawiły, że o. Justynian przeżył Kołymę.

Pewnego dnia jeden z dozorców odezwał się do o. Justyniana. – „Maciaszek! Wnet zostaniesz zwolniony”

„Co? Rozstrzelają mnie?” – Zapytał o. Justynian.

„Nie mów głupstw. Nasz rząd podpisał umowę z waszym rządem w Londynie”. Wówczas o. Justynian wrócił do namiotu i tam dziękował Bogu za nie-

bywały cud. Władze więzienne nie udzielały żadnych informacji co do porozumienia Sikorski-Majski. Pewnego dnia załadowano Polaków na samochody i wywieziono do portu w Magadanie. Z dziesięciu tysięcy Polaków będących w obozach na Kołymie, przeżyło zaledwie około 500 osób. W porcie Polacy oczekiwali na okręt. Dnia 22 października 1941 roku odpłynęli do Władywostoku. Stamtąd udali się na południe ZSRR, gdzie tworzyła się Armia Polska, do której o. Justynian został przyjęty jako kapelan wojskowy i wyznaczony do duszpasterstwa ludności cywilnej.

Praca duszpasterska w Uzbekistanie

Dnia 9 grudnia 1941 roku o. Justynian przybył do Kaganu w Uzbekistanie. Wzruszająca była Pasterka poprzedzająca Boże Narodzenie, w której uczestniczyło wielu Polaków. W niedzielę odprawił Mszę św., w której brała udział także miejscowa ludność. W lutym 1942 roku zachorował na tyfus. Z wielkim trudem dostał się do szpitala, gdzie przebywał przez miesiąc. Po wyjściu został mianowany kapelanem w Bucharze, gdzie były rodziny wojskowych. Ojciec Justynian z wielkim zapałem zabrał się do pracy duszpasterskiej. Przygotowywał dzieci do I Komunii św., a młodzież uczył religii. Dzięki jego zabiegom u władz sowieckich otrzymał dom, w którym odprawił Mszę św. Pod koniec maja poświęcił nową szkołę w Wabkent. Po wyjeździe wojska do Iranu, Polacy z Buchary podążyli za wojskiem. Mimo tego pozostało jeszcze około 15 tysięcy w Bucharze. Ojciec Justynian zamieszkał wtedy w kołchozie w pobliżu Buchary. Na Boże Ciało odprawił Mszę św. i prowadził procesję do czterech ołtarzy. Było to wielkie wydarzenie. Takiego nabożeństwa nigdy tam nie odprawiano. Wzięli w nim udział Polacy z Buchary i okolicy, przedstawiciele władz oraz miejscowa ludność.

O tej pracy o. Justyniana tak pisał ks. K. Kantak „Ksiądz podtrzymywał ducha wiernych. Prawie wszyscy chodzili na Mszę św. i często przystępowali do Komunii św. Wszystko to wymagało dużego wysiłku ze strony księdza”. „Rower, który dała mi nasza placówka oddał wielką pomoc, ale najgorszym ze wszystkiego było uczucie beznadziejności w pomaganiu potrzebującym” – powiedział o. Justynian.

Rozumie się, że praca duszpasterska prowadzona przez o. Maciaszka była bardzo wymownym świadectwem jego ducha poświęcenia i oddania się wśród naszych księży pracujących w ZSRR. Pod koniec sierpnia 1942 roku o. Justynian Maciaszek wyjechał z Buchary do Jangi-Julu. Miał wiele kłopotów z NKWD, które nie chciało udzielić pozwolenia na odprawianie Mszy św. w szkole. Trzeba pamiętać, że w nabożeństwach tych uczestniczyli żołnierze i polska ludność cywilna, garnęli się także prawosławni, a nawet muzułmanie. Księża chrzcili dzieci, spowiadali dorosłych, rozdawali krzyżyki, obrazki i różańce.

W okresie od sierpnia do listopada 1942 roku 2 Korpus Polski wyjeżdżał z ZSRR do Iranu i Iraku. Ojciec Justynian wraz z ludnością cywilną wyjechał także. Przez krótki czas pracował w Teheranie jako kapelan 5 Pułku Artylerii Lekkiej. Duszpasterstwo wojskowe jednakże nie odpowiadało mu. Zwolnił się z wojska i otrzymał pozwolenie na wyjazd do Afryki, dokąd przewieziono znaczną część ludności ewakuowanej z Rosji Sowieckiej. W marcu 1943 roku o. Justynian odwiedził o. Łucjana Łuszczki kapelana w Centrum Wyszkolania

Armii w Kanekinie w Iraku. Było to ostatnie spotkanie obu współbraci zakonnych i przyjaciół. W drodze do Afryki zatrzymał się na krótko w Palestynie, gdzie zwiedził miejsca święte.

Praca w Afryce

We wrześniu 1943 roku o. Justynian przybył do Tanganiki, gdzie objął polską placówkę w Kidugali. Mieszkało tam kilka tysięcy Polaków, którzy wraz z Armią Polską utworzoną przez gen. Władysława Andersa opuścili syberyjskie zesłanie. Ojciec Justynian był tu nie tylko proboszczem, ale równocześnie dyrektorem utworzonego gimnazjum i liceum. Współpracował z gronem nauczycielskim, które popierało jego wysiłki na rzecz wychowania w duchu religijnym dzieci i młodzieży. Na terenie Ośrodka założył Sodalicję Mariańską, której sam był moderatorem. Zorganizował orkiestrę złożoną z młodzieży męskiej. Orkiestra uświetniała akademie organizowane z różnych okazji. Założył także Koło Ministrantów i drużynę harcerską. W pracy pedagogicznej dużą pomoc oddało założone przez niego Koło Rodzicielskie. Prowadził chór kościelny w szkole podstawowej, zawodowej i w gimnazjum. Na terenie Ośrodka działało Koło Gospodyń Wiejskich powstałe z jego inspiracji. Gorliwa praca o. Justyniana w osiedlu w Kidugali sprawiła to, że ten ośrodek należał do wzorcowych obozów pod względem religijnym i moralnym. Potwierdził to wiele razy wizytator ks. W. Słapa.

W 1947 roku o. Justynian przeniósł się na krótko do Infunda, sąsiedniego polskiego osiedla, gdzie mieszkało około 1200 Polaków. W tym bowiem czasie likwidowano już polskie osiedla w Afryce. Część ludności wyjeżdżała do Anglii, Stanów Zjednoczonych, Kanady i Polski. W Infunda o. Justynian również był dyrektorem gimnazjum, ale krótko. W sierpniu 1948 roku nastąpiła likwidacja i tego ośrodka. Oprócz pracy ściśle duszpasterskiej i pedagogicznej znajdował czas na pisanie i publikowanie artykułów w miesięczniku „Nasz Przyjaciel” wychodzącym w Nairobi.

Po likwidacji osiedla w Infunda o. Justynian napisał list do o. Generała Zakonu Franciszkanów w Rzymie, Augustyna Sepińskiego, aby zdecydowali o jego przyszłości. W oczekiwaniu na odpowiedź zwiedził osiedle polskie w Tangerze w Tanganice. Z Rzymu szybko nadeszła odpowiedź, aby udał się do pracy w Argentynie, gdzie po zakończeniu drugiej wojny światowej wyemigrowało ponad 16 tysięcy Polaków. Miał pracować wśród Polonii.

W oczekiwaniu na paszport został na krótko proboszczem polskiego osiedla w Koja w Ugandzie. W listopadzie 1948 roku otrzymał paszport i pod koniec stycznia następnego roku wyjechał okrętem z portu Mombasa do Rzymu. Tam spotkał się z o. Izydorem Chmielem, którego znał z czasów Seminarium Duchownego we Lwowie.

Praca duszpasterska w Argentynie

Pod koniec lutego 1949 roku o. Justynian Maciaszek przyjechał do Argentyny. Po drugiej wojnie światowej pozostało poza granicami Polski 14 współbraci z jego macierzystej prowincji: jeden w Japonii, siedmiu w Stanach Zjednoczonych, dwóch we Włoszech, trzech w Anglii i jeden w Argentynie. Był nim o. Justynian Maciaszek. Szybko nawiązał kontakt ze współbraćmi

pracującymi w Stanach Zjednoczonych, którzy zostali przyjęci do Prowincji Wniebowzięcia NMP z siedzibą prowincjała w Pulaski Wisconsin. Powstał projekt, aby wszystkich ojców będących poza granicami kraju zgromadzić w jednym miejscu. Mogliby oni pracować wśród emigracji polskiej albo w Argentynie, Australii czy Kanadzie. Ksiądz abp Józef Gawlina, Protektor Emigracji Polskiej, rezydujący w Rzymie, został powiadomiony o projektach bernardynów pracujących poza Polską. Poparł ten projekt i poddał myśl, założenia klasztoru w Argentynie. Potrzeby duszpasterskie w tym kraju ksiądz abp Józef Gawlina poznał w 1950 roku podczas wizytacji pasterskiej.

Prowincja Niepokalanego Poczęcia NMP w Polsce przeżywała po drugiej wojnie światowej ciężkie czasy. Wielu zakonników oskarżono o udział w konspiracji przeciw reżymowi komunistycznemu. Prowincjała i wielu ojców skazano na karę więzienia. Groziła likwidacja całej prowincji, podobnie jak to miało miejsce w Czechach i na Węgrzech. W takiej sytuacji założenie nawet jednego klasztoru w miejscu, gdzie nie sięgałyby macki komunistów, gwarantowało ciągłość prowincji. To było także wielkim atutem zorganizowania klasztoru poza granicami Polski.

Powstanie Polskiego Ośrodka Katolickiego w Martin Coronado

W Argentynie o. Justynian zamieszkał w klasztorze franciszkanów przy ulicy Alsina 380 w Buenos Aires. Tam angażował się w pracy duszpasterskiej wśród Polaków. Był kapłanem Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, Związku Harcerstwa Polskiego, Kręgu Wędrownych Zniczy, Polskiego Stowarzyszenia Uniwersyteckiego „Veritas”. W latach 1945-1950 przyjechało do Argentyny 16.020 Polaków. W tym samym czasie wyjechało z Argentyny 2.309. Pozostało 13.711. Dla tych, którzy pozostali i osiedlili się w Buenos Aires i okolicy trzeba było organizować polskie ośrodki duszpasterskie.

Jeden polski ośrodek duszpasterski prowadził ks. Jan Malinowski w Villa Lynch w kościele syrolibańskim. Ten ośrodek objął o. Justynian. Zorganizował nauczanie dzieci do I Komunii św. Nauczanie religii prowadził w domach prywatnych. W sąsiedztwie w mieście San Martin mieszkało dużo rodzin polskich. Ojciec Justynian z poparciem oddanych rodaków założył dnia 11 września 1949 roku w San Martin Towarzystwo Polskie. Założenie Towarzystwa Polskiego nie rozwiązywało wszystkich potrzeb. Trzeba było myśleć o budowie polskiego kościoła czy kaplicy. Towarzystwo Polskie miało pomagać w urzeczywistnieniu tych planów.

Pod koniec grudnia 1953 roku przyjechał ze Stanów Zjednoczonych o. Andrzej Smoleń mianowany przez generała zakonu o. Augustyna Sepińskiego przełożonym mającego powstać klasztoru i kaplicy. W Martin Coronado w pobliżu San Martin upatrzono teren pod budowę kaplicy i klasztoru. Ojciec Andrzej Smoleń zamieszkał w klasztorze Komisariatu Ziemi Świętej w Buenos Aires i rozpoczął starania u władz kościelnych o pozwolenie na budowę kaplicy i klasztoru.

W 1954 roku Kościół w Argentynie przeżywał ciężkie chwile. Prezydent Juan Domingo Peron w listopadzie rozpoczął kampanię przeciw Kościołowi katolickiemu. Dzienniki publikowały ataki na duchowieństwo. Bywało niekiedy, że księdza, który szedł ulicą, obrzucano kamieniami i obelgami.

W czerwcu 1955 roku w Buenos Aires po procesji Bożego Ciała podpalono katedrę, kościół św. Dominika i św. Franciszka. Rozpoczęły się aresztowania księży. Kardynał Jakub Copello schronił się w Martin Coronado u księży bajonesów. W dniu 18 czerwca 1955 roku w Buenos Aires rozpoczęła się rewolucja, która zakończyła się fiaskiem. W takiej sytuacji o. Andrzej Smoleń postanowił wrócić do Stanów Zjednoczonych. W drodze do USA zatrzymał się w Rio de Janeiro, gdzie spotkał się z arcybiskupem Józefem Gawliną, któremu przedstawił sytuację kościoła w Argentynie.

Niebawem, po raz drugi, we wrześniu 1955 roku wybuchła rewolucja przeciwko Peronowi, która doprowadziła do usunięcia prezydenta. Sytuacja Kościoła uległa poprawie. Doszło wówczas do obsadzenia wakujących stolic biskupich i mianowanie nowych ordynariuszy. W archidiecezji La Plata ordynariuszem został abp Józef Antoni Plaza. Delegat Generalny zakonu franciszkańskiego otrzymał pismo z La Platy z zapytaniem, czy prośba o pozwolenia na budowę kaplicy i klasztoru w Martin Coronado jest nadal aktualna, gdyż nowy arcybiskup chce udzielić swojej aprobaty.

Wiadomość ta ucieszyła wszystkich Polaków. Rozpoczęła się akcja zbierania funduszy na budowę ośrodka polskiego nie tylko w Argentynie, ale również w Stanach Zjednoczonych. W USA akcję prowadzili ją ojcowie Andrzej Smoleń i Emil Seroka, pomagał także Jan Długosz. Ojciec Andrzej Smoleń po spłaceniu długów zaciągniętych na budowę kaplicy i klasztoru zrezygnował z obowiązków przełożonego, a na jego wniosek prowincjał Eligiusz Smoliński w październiku 1958 roku przełożonym klasztoru mianował o. Justyniana Maciaszka.

Plany kaplicy i klasztoru przygotował architekt Emanuel Świewkowski jeszcze przed wyjazdem o. Andrzeja Smolenia do Stanów Zjednoczonych. Poświęcenie terenu budowę tego sakralnego obiektu odbyło się 4 maja 1957 roku. W uroczystości wzięli udział rektor Polskiej Misji Katolickiej w Argentynie, ks. Aleksander Michalik, prezes Związku Polaków w Argentynie, inż. Stanisław Śliwiński, minister Rządu Polskiego na wygnaniu, Zbigniew Żółtowski oraz prezesi polskich organizacji i rodacy z sąsiednich miejscowości. Podczas tej uroczystości ks. A. Michalik mówił o ważności i potrzebie budowy kaplicy polskiej dla życia religijnego i społecznego Polaków w Argentynie.

Prace przy budowie postępowały szybko. W niedzielę 7 czerwca 1958 roku nastąpiło poświęcenie wybudowanej kaplicy i klasztoru. Z tej okazji zebrał się wielki tłum Polaków. Młodzież i dzieci przybyły w strojach krakowskich. W uroczystości wzięli udział rektor Polskiej Misji Katolickiej ks. A. Michalik, ks. Alfons Górny, Delegat Generalny o. Pius Crivellari, księża argentyńscy z sąsiednich parafii, minister Zbigniew Żółtowski, prezesi i delegacje polskich organizacji. Po południu wszyscy oczekiwali na przyjazd biskupa ordynariusza z Morón, Michała Raspantiego, który poświęcił kaplicę i ołtarz.

Poświęcenie kaplicy i klasztoru franciszkanów w Martin Coronado było wielkim wydarzeniem w życiu Polonii w Argentynie. Była to pierwsza placówka duszpasterska jaka powstała w tym kraju po drugiej wojnie światowej. Starania o. Andrzeja Smolenia i o. Justyniana Maciaszka zostały uwieńczone sukcesem. Z chwilą poświęcenia kaplicy polskiej zaprzestano odprawiać nabożeństwa w Willa Lynch. Przeniesiono się do nowej kaplicy w Martin Coronado.

Wprawdzie klasztor nie był całkowicie wykończony, ale o. Justynian już w nim zamieszkał, aby na miejscu prowadzić rozpoczęte dzieło i doglądać budowy. Dnia 17 stycznia 1958 roku do o. Justyniana dołączył o. Rudolf Dylong, znany również jako poeta, z prowincji franciszkańskiej na Słowacji.

Po poświęceniu kaplicy i klasztoru rozpoczęła pracę Polska Szkoła Sobotnia w Martin Coronado. Początkowo lekcje odbywały się w soboty w klasztorze i w kaplicy. Pierwszymi nauczycielami byli o. Justynian Maciaszek i pani Cecylia Stachoń. Dzieci uczyły się religii, czytania i pisania po polsku. Przygotowywano je do I Komunii św. Nauka odbywała się warunkach skromnych, ponieważ brak było sal szkolnych.

Ojciec Justynian był przemęczony pracą i kłopotami ze zdrowiem, ale mimo tego prowadził nauczanie religii. W listach do o. Andrzeja pisał o tych trudnościach, ale cieszył się, że dzieci polskie gromadziły się na naukę. Dzięki poparciu o. Justyniana zorganizowano przy nowej kaplicy harcerstwo, którego był ich kapelanem. Marzył jednak o budowie szkoły polskiej z prawdziwego zdarzenia. Tego zamiaru nie zdążył jednak zrealizować. W ciągu dwóch lat zbudował kaplicę i klasztor. Była to ogromna i odpowiedzialna praca. Dokonał tego przy wielkim poparciu polskiego społeczeństwa w Argentynie oraz Polonii w Stanach Zjednoczonych, gdzie potrzebne fundusze zbierali, jak już wspomniano, ojcowie Andrzej Smoleń, Emil Seroka i Jan Długosz.

Ojciec Justynian z powodu choroby – rak krwi – nie czuł się najlepiej, mimo to nowej placówce poświęcił wszystkie swoje siły. Jego współbrat, o. Andrzej Smoleń napisał w kronice klasztornej, że ojcowie mieszkający w różnych krajach, szczególnie w Stanach Zjednoczonych, przyjadą do Argentyny, aby zamieszkać we własnym klasztorze i pracować dla Polonii. Tak się jednak nie stało.

Ostatnie dni o. Justyniana Maciaszka

Od pięciu lat o. Justynianowi dokuczało wysokie ciśnienie. Do tego dołączył się rak krwi. Troskliwa opieka lekarska niewiele pomagała. Ojciec Andrzej Smoleń wiedząc o chorobie o. Justyniana postanowił przyjechać do Argentyny, aby pomóc mu w pracy. Na początku sierpnia 1959 roku wyjechał okrętem do Buenos Aires.

W święto Żołnierza Polskiego, obchodzone 15 sierpnia 1959 roku, w Domu Polskim w Buenos Aires o. Justynian poświęcił pamiątki wojskowe. „Jego przemówienie wygłoszone głosem bardzo słabym, mówiono, że było w swej treści jakby jego testamentem” – zapisano w Kronice klasztoru. W środę 19 sierpnia o. Justynian odprawił Mszę św. klęcząc na posadzce. Był tak osłabiony, że nie mógł stać. Po Mszy św. powiedział do o. Rudolfa Dylonga, że czuje się bardzo słaby i idzie odpocząć, a za chwilę przyjdzie na śniadanie. Pani Cecylia Stachoń, która była kierowniczą Polskiej Szkoły i przygotowywała posiłki dla Ojców, zaniepokojona, że o. Justynian nie przychodzi, weszła do jego mieszkania i zastała go opartego o biurko. W tym momencie o. Justynian upadł na ziemię. Przywołała o. Rudolfa, wspólnie podniesiono go i ułożono w łóżku. Był już konający. Ojciec Rudolf Dylong udzielił mu sakramentu chorych. W tym czasie na chwilę otworzył oczy i skonał. To był gest wdzięczności i pożegnania, tak to przyjął o. Rudolf. Znamienne było to, że tego dnia o. Rudolf miał być w Buenos

Aires, ale o. Justynian prosił, aby pozostał w domu, bo może być mu potrzebny. Dlatego pozostał i był wdzięczny za tę łaskę, jaka spłynęła na jego duszę przez ten Sakrament Namaszczenia. Wezwany lekarz stwierdził zgon, bo wszelki ratunek był spóźniony. Śmierć nastąpiła o godz. 9³⁰. Wiadomość o śmierci o. Justyniana lotem błyskawicy obiegła Buenos Aires i wszystkie polskie organizacje, wywołując ogromny żal u tych, którzy go znali i cenili.

Tego samego dnia przybył do jego trumny biskup M. Raspanti z Moron i Delegat Generalny Zakonu Braci Mniejszych, A. Scipione. W godzinach wieczornych odwiedziło i pożegnało o. Justyniana wielu rodaków składając wieńce i modląc się całą noc o spokój jego duszy. Pogrzeb odbył się następnego dnia o godz. 16⁰⁰. Formalności związane z pochówkiem załatwił Rektor Polskiej Misji Katolickiej w Argentynie, ks. Aleksander Michalik. Kazanie w języku słowackim wygłosił o. Rudolf Dilong. Mówił z takim uczuciem miłości o zmarłym, że wszyscy rozumieli i płakali. Po przemówieniu Ministra Z. Żółtowskiego i prezesa Związku Polaków St. Śliwińskiego, kondukt pogrzebowy ruszył na cmentarz w San Martin. Tam Rektor Polskiej Misji Katolickiej, ks. Aleksander Michalik pożegnał o. Justyniana.

Pogrzeb o. Justyniana był wielką manifestacją wdzięczności Polonii Argentyńskiej względem tego wielkiego kapłana, patrioty, społecznik i budowniczego kaplicy i klasztoru. W pogrzebie wzięli udział przedstawiciele polskich organizacji i duża liczba wiernych. Kaplica i dziedziniec klasztorny były wypełnione do ostatniego miejsca. Śmierć o. Justyniana była wielką stratą dla całej Polonii w Argentynie. Zmarły był dobrze znany wszystkim Polakom argentyńskim. Brał czynny udział w życiu społecznym, piastował funkcję sekretarza kombatantów, był kapelanem harcerzy. Nie brakowało go nigdy na uroczystościach narodowych. Odwiedzał chorych Polaków. Pisał artykuły do czasopism „Głos Polski” oraz „Bóg i Ojczyzna”. Był nieustępliwy, gdy chodziło o zasady moralne. Otwarcie bronił Kościoła, Wiary i Ojczyzny.

Do dzisiaj pamięć o o. Justynianie w Argentynie jest żywa. Kaplica, klasztor i Polska Szkoła Sobotnia tworzą Polski Ośrodek Katolicki w Martin Coronado. Po śmierci zaczęto ten Ośrodek nazywać „Maciaszkowem” i ta nazwa utrzymała się do dnia dzisiejszego. Ojcowie Justynian Maciaszek i Andrzej Smoleń z Prowincji Niepokalanego Poczęcia NMP Zakonu Braci Mniejszych w Polsce byli założycielami Polskiego Ośrodka Duszpasterskiego Franciszkanów w Martin Coronado, w Argentynie.*

* Przedruk z książki pt. *Niezwykli franciszkanie XX/XXI stulecia*. Część druga, zebrał i opracował Salezy Bogumił Tomczak OFM, Poznań 2012, s. 315-328. Redakcja „Zesłańca” serdecznie dziękuje o. Salezemu Bogumiłowi za umożliwienie publikacji tego artykułu.

JOLANTA ANISZEWSKA

**OCALONA PAMIĘĆ. RELACJE SYBIRACKIE
ZGROMADZONE W ZESPOLE „ARCHIWUM
PAMIĘCI ŚWIADKÓW I ŚWIADECTW HISTORII”
MUZEUM ARCHEOLOGICZNO-HISTORYCZNEGO
W STARGARDZIE**

W 2009 r. Dział Historyczny Muzeum w Stargardzie rozpoczął realizację projektu „Archiwum Pamięci Świadków i Świadectw Historii”. Projekt ma charakter otwarty, materiał gromadzony jest w sposób ciągły. Równolegle do etapu gromadzenia realizowane jest opracowywanie i udostępnianie. W założeniach projektu przyjęliśmy zasadę, że relacje i inne materiały zgromadzone w „Archiwum Pamięci” będą publikowane w ramach, noszącej ten sam tytuł, serii wydawniczej Muzeum w Stargardzie.

W „Archiwum Pamięci” gromadzone są materiały będące odbiciem zdarzeń, które miały miejsce w XX w. i są związane bezpośrednio (poprzez miejsce) lub pośrednio (poprzez osoby) ze Stargardem i ziemią stargardzką. Dotyczą one przede wszystkim następujących okresów: II wojny światowej, czasu powojennego z naciskiem na lata 1945–1960 oraz okresu tworzenia lokalnych struktur „Solidarności”. Zbierając relacje staramy się definiować grupy osób, które chcemy przebadać i formułować pytania, na które szukamy odpowiedzi.

Jednym z podstawowych problemów badawczych jest poznanie procesu kształtowania społeczności lokalnej w okresie powojennym. Przymusowe lub dobrowolne ruchy migracyjne, jakie miały miejsce na Pomorzu Zachodnim przynajmniej od momentu rozpoczęcia II wojny światowej przekładają się na losy zwyczajnych ludzi. Historyczne tło tych zdarzeń, ich przyczyny i przebieg, są w ogólnym zarysie powszechnie znane. Po zakończeniu II wojny światowej, wraz ze zmianą granic, na Pomorzu miała miejsce całkowita wymiana ludności. W tym jednym zdaniu zamyka się wiele bardzo istotnych problemów i jeden z „kluczy” do szukania naszych rozmówców. Zbieramy, bowiem relacje, których nie zawężamy do czasu i miejsca. Naszych rozmówców nie pytamy tylko i wyłącznie o związki z interesującym nas obszarem geograficznym i wydarzeniami, których świadkami tutaj byli, ale i o ich wcześniejsze i późniejsze losy, bo tylko w ten sposób możemy szukać odpowiedzi np. na pytanie o to skąd pochodzili pierwsi powojenni mieszkańcy miasta i jakie życiowe drogi prowadziły ich na Pomorze, a co za tym idzie jaki bagaż kulturowy przywieźli ze sobą na ten obszar, a także o późniejszy czas asymilacji i adaptacji w nowym miejscu.

W zbiorze, którym już dysponujemy okres wojenny i pierwszych kilku powojennych lat odzwierciedlony jest poprzez trzy główne wątki tematyczne

dotyczące losów: jeńców wojennych Stalagu II D, robotników przymusowych, którzy w okresie wojny pracowali w Stargardzie lub okolicy, a także późniejszych osadników. Z tego też względu w kręgu naszego zainteresowania pozostają m.in. Polacy z Kresów Wschodnich deportowani w głąb ZSRR w trakcie II wojny światowej, a także przesiedleńcy z Akcji „Wisła”. Wśród pierwszych mieszkańców miasta wydzielić też można grupy społeczne i zawodowe, które interesują nas szczególnie. Są to m.in. harcerze, nauczyciele, kolejarze, sportowcy i działacze sportowi, animatorzy życia publicznego.

„Archiwum Pamięci” z uwagi na rodzaj gromadzonego materiału jest podzielone na dwa zespoły: „Relacje i Wspomnienia” oraz „Archiwalia”. Te ostatnie to najczęściej kopie materiałów pozyskiwanych z innych zbiorów lub spuścizny o dość różnorodnym charakterze. „Archiwum Pamięci” liczyło na koniec 2012 r. 155 jednostek, a zespół „Relacji i Wspomnień” – 140. Wywiady są jedynie jedną z przyjętych przez nas form pozyskiwania źródeł. Oprócz nich w „Archiwum Pamięci” znajdują się kopie lub oryginały materiałów o charakterze wspomnieniowym (ankiety, dzienniki, relacje, życiorysy, listy itp.). Niektóre z kopii pochodzą ze zbiorów innych instytucji (jak np. większość relacji jeńców wojennych). Celem Archiwum jest bowiem nie tylko pozyskiwanie nowych relacji, ale i zgromadzenie w jednym miejscu relacji pozostających w kręgu naszego zainteresowania, a trudno dostępnych z uwagi na miejsca ich przechowywania.

Każda z jednostek zespołu „Relacje i Wspomnienia” jest gromadzona wraz z materiałami uzupełniającymi takimi jak kopie (rzadziej oryginały) dokumentów, fotografie historyczne i współczesne, wycinki prasowe użyte przez rozmówców itp. Do każdej jednostki przypisane są także dwa formularze: ankieta oraz karta relacji. Ankieta zawiera podstawowe dane rozmówców i zgodę na wykorzystanie udostępnionych Muzeum materiałów. W ankiecie odnotowywane są także ewentualne zastrzeżenia odnoszące się do czasu i/lub zakresu wykorzystania materiałów lub ich fragmentów, zgody na wykorzystanie nazwiska itp. Ankiety z uwagi na charakter zawartych tam danych nie są udostępniane osobom korzystającym z zasobu. Zastrzeżenie to nie obowiązuje natomiast przy kartach relacji, których celem jest podanie podstawowych informacji o charakterze danej relacji (jej forma np. wywiad; kategoria np. osadnik z Akcji Wisła; hasła problemowe; krótki opis relacji itp.). Karty relacji są opracowywane stopniowo, z tego względu część zasobu jest jeszcze ich pozbawiona.

Materiał w „Archiwum Pamięci” narasta w trójaki sposób: poprzez wywiady inicjowane najczęściej przez Muzeum; przekazy zapisów lub nagrań wspomnień konkretnych osób, które otrzymujemy od nich samych lub ich rodzin; kwerendy biblioteczne, archiwalne, poszukiwania w Internecie itp. Te ostatnie często wynikają z prowadzonych przez nas prac badawczych (w ten sposób do zbioru zostały włączone np. datowane na okres II wojny światowej dzienniki i zapiski jeńców wojennych Stalagu II D narodowości włoskiej i holenderskiej oraz powstały w 1919 r. dziennik majora Albro Lefils Parsonsa, który zajmował się wizytowaniem obozów jenieckich, w których nadal przebywali żołnierze oczekujący na powrót do swoich krajów¹).

¹ Muzeum Archeologiczno-Historyczne w Stargardzie (dalej: MAH), *Archiwum Pamięci Świadców i Świadectw Historii* (dalej: *Archiwum Pamięci*), *Relacje i Wspomnienia* (dalej: RiW), sygn. 98, 114, 140.

34 Odpis Protokołu Rewizji. 35

Od 1940 roku Przewidział 3 dnia m. Skidel Ła Skedow-
 ciel na Porhar A. R. M. D. Donomat Rewizji w mieszkaniu
 Sieruda Pelagji ramier-kator w Skidlu przy ulicy Pociomka
 N. 72. W obecności świadków Janichłowicz
 przy rewizji nie nie odwołano. Podpis Urzędnika
 pomywającego Rewizje podpis Nierystelny.
 Obecni przy Rewizji Nierystelny 37

Odpis protokołu otrzymanem 56

Pelagja Sieruda 58

Odpis protokołu rewizji



Siekiera z syberyjskiej tajgi



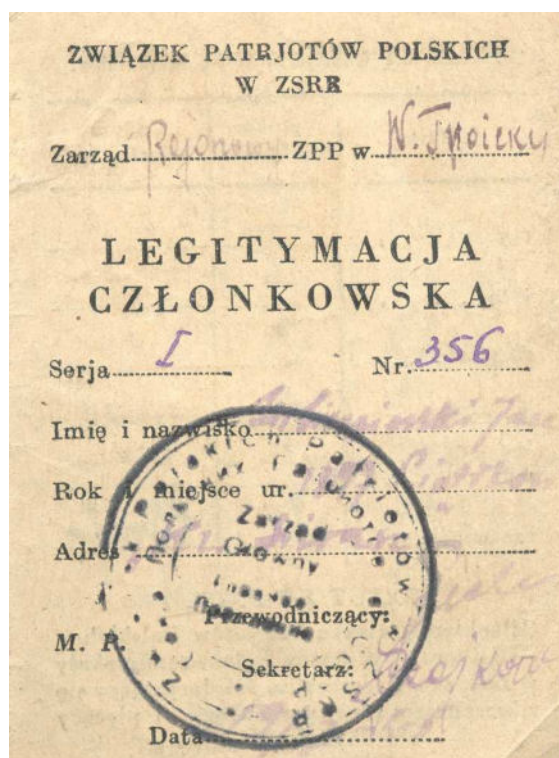
Szkoła w posiołku Bajaryk, w obwodzie tiumeńskim (dawniej omskim)



Polska szkoła, w której uczył się K. Sulimierski zesłany wraz z rodziną w lutym 1940 r. do Diegtiarska w obwodzie swierdłowskim



Polska szkoła w Kazachstanie



Legitymacja członkowska – Związek Patriotów Polskich



„Żołnierz Wolności” – numer poświęcony przysiędze polskich żołnierzy

Wywiady, które przeprowadzamy ze świadkami historii są najczęściej planowane i adresowane do określonych grup. Pierwszą z nich było środowisko stargardzkich Sybiraków. Wybór podyktowany był kilkoma względami, z których niezwykle istotna była gotowość współpracy ze strony Zarządu tutejszego oddziału Związku Sybiraków, jak i poczucie, że upływający czas działa na naszą niekorzyść, a relacje sybirackie z uwagi na stosunkowo późne publiczne zainteresowanie tą tematyką wymagają szczególnej troski i szybkiego podjęcia działań zmierzających do ich utrwalenia.

Praca nad zbieraniem relacji i późniejszym przygotowaniem publikacji nie byłaby możliwa bez ścisłej współpracy ze stargardzkim Oddziałem Związku Sybiraków. Związek udostępnił badawczo swoje archiwum, w którym znajdują się ankiety wypełniane przez jego członków w latach dziewięćdziesiątych XX wieku². Formularze te zostały opracowane w sposób schematyczny. Zawierają one podstawowe dane dotyczące zesłania: data i miejsce deportacji, informacje o rodzinie, przebieg pobytu (praca, sierocińce, zgony itp.) oraz czas i okoliczności powrotu. W oparciu o nie możliwa była charakterystyka środowiska stargardzkich Sybiraków, a także – co było niesłychanie istotne – wybór osób z którymi chcieliśmy porozmawiać. Rozmówców wskazywały nam także osoby aktywnie działające w strukturach Związku. W pojedynczych przypadkach zgłaszali się do nas Sybiracy, którzy z własnej inicjatywy chcieli udzielić wywiadu. Na podstawie ankiet wytypowaliśmy około 100 osób. Niestety część z nich ze względów zdrowotnych, zmiany miejsca zamieszkania lub z powodu śmierci nie mogła być brana pod uwagę. Z prośbą o udzielenie wywiadu zwróciliśmy się więc do 60 osób. Rozmowy zostały przeprowadzone z mniejszą grupą, co spowodowane było wieloma względami. Wśród nich najistotniejsza była bariera emocjonalna. Podzielenie się własnymi wspomnieniami było dla wielu rozmówców trudne. Niemal każdy wywiad poprzedzony był rozmową (lub kilkoma rozmowami), które pozwalały na wzajemne poznanie, a często były cierpliwą próbą tłumaczenia dlaczego tak ważne są relacje „zwykłych” – jak mówili o sobie rozmówcy – ludzi. Niewątpliwie same już nagrania notacji, w których rozmówcy powracali do często bardzo traumatycznych przeżyć, były nacechowane dużą dozą emocji, wzruszeń i łez.

Wywiady były przeprowadzane przez pracowników Muzeum (w tym historyków stażystów) oraz uczniów II Liceum Ogólnokształcącego im. Cypriana Kamila Norwida w Stargardzie, których opiekunką ze strony szkoły była Pani Wioletta Żuromska. Młodzież zgłaszała się indywidualnie i pracowała w swoim czasie poza lekcyjnym. Jej zadanie ograniczało się jedynie do przeprowadzenia i nagrania wywiadu, a także pośrednictwa w digitalizacji materiału uzupełniającego. Muzeum sprawowało opiekę merytoryczną, udostępniało sprzęt i koordynowało wszystkie działania. Przed każdym nagraniem rozmawialiśmy z młodzieżą wskazując na tło historyczne zdarzeń, o których mieli usłyszeć, a także na to jak należy przeprowadzić rozmowę, na co zwrócić uwagę, o co dopytywać rozmówców. Także świadkowie historii otrzymywali ze strony Muzeum pełną informację o tym, kto przeprowadzi wywiad. Doświadczenie pracy z młodzieżą było inspirujące dla obu stron. Dla młodych ludzi było to najczęściej pierwsze poważne zetknięcie się z warsztatem pracy historyka, a także z innym niż podręcznikowy, bardzo osobistym, a przez to niesłychanie sugestywnym przekazem historycznym. Wywiady ze świadkami historii mogą być nie tylko doskonałą lekcją przeszłości. Wymagają czynnego uczestnictwa w procesie poznawania. Bezpośrednie spotkanie z kimś, kto opowiada o swoich przeżyciach wraz z emocjonalną stroną tego przekazu jest doświadczeniem, które niewątpliwie zostanie zapamiętane przez obie strony.

² Ankiety powstawały w związku z działaniami Zarządu Głównego Związku Sybiraków.

W „Archiwum Pamięci” znajdują się na dzień dzisiejszy 43 relacje z zesłania do ZSRR, z czego 39 to wywiady przeprowadzone przez zespół pracowników lub współpracowników Muzeum. Wszystkie wywiady były nagrywane jako pliki audio. Wywiady były przeprowadzane z zastosowaniem kwestionariusza pytań, przy czym zaznaczyć należy, że był on traktowany ramowo i każdorazowo był dostosowany do przebiegu rozmowy.

Deportowanych pytaliśmy o ich życie przed wybuchem wojny, rodzinę i dom, miejsce, czas i przebieg aresztowania, drogę na zesłanie, przybycie do miejsca docelowego, przebieg pobytu, okoliczności powrotu i okres stargardzki, jeśli był czasowo związany z powrotem. Pytaliśmy także o symboliczną „walizkę”, z którą rozmówca przyjechał, a także o to jak zapamiętał początki pobytu.

Cały zgromadzony materiał jest dostępny dla badaczy, studentów, nauczycieli, czy też osób zainteresowanych tą tematyką. Znaczna część relacji sybirackich jest przepisana i udostępniana w formie wydruków, wszystkie dostępne są do odsłuchania. W oparciu o ten fragment zespołu „Archiwum Pamięci” został wydany pierwszy tom noszącej ten sam tytuł co zespół serii: *Wspomnienia pisane głodem... Relacje członków Związku Sybiraków w Stargardzie zesłanych w czasie II wojny światowej do ZSRR*. Publikacja, zrecenzowana i obszernie omówiona w 53 tomie „Zesłańca” zawiera jedynie fragmenty relacji w układzie tematycznym³.

Interesującym źródłem poznawczym, najczęściej o charakterze komplementarnym wobec relacji są pozostałe materiały zgromadzone w wielu teczkach. Specyfika losów zesłańców sprawiła, że do kraju wracali pozbawieni niemal wszystkiego. Te nieliczne przedmioty, które towarzyszyły powrotowi do kraju, są pamiątką na tyle cenną dla ich właścicieli, że nie zostały włączone do zasobu „Archiwum Pamięci”. Znalazły się tam jedynie ich fotograficzne odwzorowania lub kopie.

Niewielu osobom udało się ocalić jakiegokolwiek rzeczy, które były w ich domach. W większości podczas przeprowadzanego w pośpiechu aresztowania zostawały one wraz z innym dobytkiem na miejscu. Trudne lata na zsyłce także nie sprzyjały ich ocaleniu. To co zostało zabrane uległo zniszczeniu lub zostało wymienione na jedzenie, czy też inne bardziej przydatne przedmioty.

Pamiętki wyniesione z rodzinnego domu i z pietyzmem przechowane do dzisiaj zachowały się tylko u części rozmówców. Są to najczęściej fotografie rodzinne, pojedyncze dokumenty, czasami książki. Fotografie to z reguły typowe zdjęcia wykonane w atelier z myślą o domowych albumach. Wśród dokumentów przeważają te, które pozwalały poświadczyć tożsamość, kwalifikacje i wykształcenie.

Są także dewocjonaalia – modlitewniki, obrazki, krzyżyki – one często wkładane były jako pierwsze i najważniejsze do zabieranego w pośpiechu bagażu. Dla ich właścicieli mają wartość szczególną, są jak osobiste relikwie. Często są też jedynym namacalnym wspomnieniem utraconego, rodzinnego domu i świata, do którego nikomu z nich nie było dane powrócić.

³ B. Przesmycki, *Wspomnienia pisane głodem... Relacje członków Związku Sybiraków w Stargardzie zesłanych w czasie II wojny światowej do ZSRR*, rec., [w:] „Zesłańca”. Pismo Rady Naukowej Zarządu Głównego Związku Sybiraków, nr 53, 2012, s. 108-110.

Stosunkowo bardzo mało zachowało się rzeczy przywiezionych z zesłania, co wynikało z prozaicznych i oczywistych przyczyn. Niezwykle poruszająca jest historia podobizny Matki Boskiej wyhaftowanej podczas pobytu w łagrze przez młodą wówczas kobietę, skazaną w 1944 r. za pomoc oddziałom Armii Krajowej na 10 lat pozbawienia wolności. Autorka wspomina to tak:

Jak szłam do pracy, Matkę Boską nosiłam pod stanikiem na piersiach. A jak szłam spać to pod poduszeczkę. Mieliśmy takie podusieczki, z waty czy z czegoś nie wiem. I tak ja Ją chroniłam cały czas. I przywiozłam Ją tutaj⁴.

Wyjątkową pamiątką jest także siekierka z syberyjskiej tajgi przywieziona w zesłańczym bagażu. Dzisiaj jest ona z dużą atencją prezentowana w biurze stargardzkiego oddziału Związku Sybiraków. Na pytanie, dlaczego przywieziona została akurat siekierka nie należy szukać racjonalnej odpowiedzi. Z całą pewnością nie była niezbędna i szczególnie przydatna podczas powrotu pociągiem. W kraju była narzędziem mało istotnym i łatwym do pozyskania. W realiach tajgi była zaś synonimem przetrwania. I to zapewne zadecydowało o włączeniu jej do bagażu, przecież dopiero przekroczenie polskiej granicy dawało rzeczywistą pewność – a nie tylko nieśmiałą nadzieję – powrotu do kraju.

Ciekawym świadectwem czasu jest podręcznik do geografii wydany w 1944 r. przez Komitet do Spraw Dzieci Polskich w ZSRR przy Ludowym Komisarjacie Oświaty RFSRR. Jego kopia włączona została do „Archiwum Pamięci”. Podręcznik rozpoczyna się wersem: „Świat cały stoi w ogniu wojny...”. Zarówno miejsce jak i czas wydania przesądziły o jego charakterze. Mimo, że miał służyć do nauki geografii, nie było w nim żadnej mapy (co wydawcy tłumaczyli pośpiechem), za to w tekście znajdowała się propagandowa wykładnia najnowszej historii. W pierwszej części książki omówiono poszczególne krainy geograficzne i miasta Polski. Nie znalazła się tam żadna informacja o województwach kresowych. Nie ma ich także wymienionych w rozdziale o „Ustroju Państwowym”, mimo że pojawiają się tam nazwy głównych województw Polski⁵. Kuriozum jest tam zdanie tłumaczące – zesłańczym dzieciom, pamiętającym w wielu przypadkach przebieg deportacji i żyjącym w realiach politycznych i gospodarczych ZSRR – przyczynę obecności Polaków w tym kraju: „Zawierucha wojenna sprawiła, że pokaźna liczba Polaków znalazła się na terytorium Związku Radzieckiego”⁶.

Wśród dokumentów dołączonych do relacji w postaci kopii lub rzadziej oryginałów są świadectwa szkolne, świadectwa zgonu, dokumenty i zaświadczenia związane z wyjazdem, a także legitymacje Związku Patriotów Polskich, książeczki wojskowe itp.

Nieliczne zachowane fotografie, to najczęściej portrety indywidualne lub zbiorowe, z czego jakąś część stanowią szkolne fotografie dzieci. Rzadkością są zdjęcia przy pracy, czy w pomieszczeniach, w których zesłańcy mieszkali. Fotografie powstawały przy okazji wykonywania zdjęć w ramach tzw. paszportyzacji, albo dokumentów tuż przed wyjazdem. Do rzadkości należą zdjęcia z pierwszego okresu zesłania.

⁴ MAH, *Archiwum Pamięci*, RiW, sygn. 29.

⁵ S. Kaszewska, *Geografia Polski. Podręcznik do użytku szkół dla dzieci polskich w ZSRR*, Moskwa 1944 (MAH, *Archiwum Pamięci*, sygn. RiW, sygn. 49).

⁶ Ibidem.



Na pamiątkę wspólnych przeżyć na Syberji, grupa
 wygnaniów polskich wracających na powrót do
 ukochanej Ojczyzny.

Eugenia Boffowa
 Przybylska Bronia
 Ganirowska J. Róża Antkiewiczowa
 Jurek P. A. Skurda Tekla Katalaryna Sawasienko
 Adas R. Godlowska
 Irena J. Lucja Przybylska Zofia Piżarko
 Przybylska Marysia Janina Danuta
 Lesa Wjasa Boryk
 Ankiewicz Danuta
 Janka Przybylska

Sybir - Piotrowe - wrzesień 1945 r.

Przed powrotem do kraju... Fotografia wykonana we wrześniu 1945 r.



Danuta Szarejko nad grobem matki w Kazachstanie

Niezwykle poruszającym źródłem są osobiste zapiski, fragmenty dzienników i listy. Szczególną wartość źródłową mają te materiały, które powstały na zesłaniu lub w drodze do kraju. W teczce z relacją Feliksa Sikory⁷ znalazły się niezwykle wzruszające kopie kart pamiętnika z wpisami dzieci z sierocińca. Nieco inny w charakterze, pisany bowiem przez młodą matkę jest *Pamiętnik Stefanii Sobocińskiej*⁸. Znalazły się tam nie tylko typowe sztambuchowe wpisy znajomych i przyjaciół, ale i bardzo intymne zapiski powstałe po śmierci jej syna i po opuszczeniu Związku Radzieckiego wraz z armią gen. Wł. Andersa.

W „Archiwum Pamięci” znajduje się także teczka zawierająca korespondencję z Kazachstanu, z lat 1940-1941 oraz 1944-1946⁹. Bliższe informacje na temat historii autorki listów znajdują się w jednej z relacji¹⁰. Łącznie jest to 25 listów i kartek pocztowych, z czego dwa ostatnie zapiski są wysłane już po powrocie do Polski. Niemal wszystkie listy i kartki pocztowe, poza dwoma datowanymi na 1946 r., zostały napisane na zesłaniu przez urodzoną w 1925 r. Ludkę (Ludmiłę) Wasilewską do jej przyjaciółki, Jadwigi Wasiłojć. W grupie tej jest też list skreślony ręką jej mamy. Adresatka i jej rodzina przechowała korespondencję i po latach przekazała ją rodzinie nadawczyni. Korespondencja ta nie została wykorzystana w publikacji *Wspomnienia pisane głodem...* z uwagi na to, że jest to materiał wymagający odrębnego opracowania i publikacji. Nie-

⁷ MAH, *Archiwum Pamięci*, RiW, sygn. 32.

⁸ Ibidem, sygn. 70.

⁹ Ibidem, sygn. 40.

¹⁰ Ibidem, sygn. 26.

stety nie udało się porozmawiać ani z autorką, ani z adresatką listów (w tym przypadku realizacja wywiadu była bardzo bliska, niestety ubiegł nas los). Życiorysy obu postaci można jednak odtworzyć. O L. Wasilewskiej opowiada jej siostra¹¹, a losy J. Wasiłój są przedstawione w książce, będącej zapisem wywiadów przeprowadzonych przez dwie autorki. Publikacja została wydana staraniem Instytutu Pamięci Narodowej w Szczecinie¹². Przedrukowano tam kilka fragmentów wspomnianych listów¹³. Rodzina została zesłana w pierwszej, lutowej deportacji. Z rodzinnej Wileńszczyzny trafili do Kazachstanu. Najstarszy zachowany list jest datowany: „Sybir, 20 IV 1940”. W korespondencji wiele miejsca zajmują dziewczęce przekomarzania o to, ile która słów napisała, od kogo dostała list, do kogo napisała. Wraz z upływem czasu coraz dojrzalszy staje się nie tylko charakter pisma, ale i sam ton listów, i oczywiście ich autorka. Początkowa dziewczęca ciekawość świata, ironia i optymizm ustępują twardej konstatacji rzeczywistości. W listach, które w pierwszych miesiącach nie były zapewne cenzurowane, jest wiele praktycznych rad, sądów i spostrzeżeń.

Jednym z większych problemów oprócz tych związanych z zaspokojeniem elementarnych ludzkich potrzeb – zaspokojeniem głodu, ciepła i opieki w chorobie – był brak książek. Potrzeba zdobywania informacji ze świata, komunikowania się z innymi i czytania była szczególnie dotkliwie odczuwalna przez młodych ludzi wyrwanych z ich naturalnego, szkolnego kręgu. W liście napisanym w maju 1940 r. autorka pisze: „To by już było nieszczęściem, gdybym straciła Ciebie jeszcze i na papierze, a potem: Książka do czytania, to jest moje marzenie, ale niestety może nie do spełnienia”. A w korespondencji z sierpnia 1940 r.: „Sowieckie książki doprowadzają do ataków wściekłości.”

List z 14 maja 1940 r. pełen jest obaw o to, czy uda się utrzymać listowny kontakt i czy przyjaciółka nie podzieli zesłańczego losu. W tym przypadku strach ustępuje niemal pewności, że tak się zapewne stanie, a nadzieja racjonalizmowi skoro list zawiera wskazówki co zabrać na zesłanie:

Bardzo bym nie chciała, żebyście wyjechali, ale gdyby już Was spotkała ta konieczność, to żeby choć gdzieś blisko nas. Och, Janko, jak czasami zaczęłam myśleć, to boję się, że zwariuję. Mamusi jest bardzo trudno pisać, więc tylko dopisz się a ja już napiszę co trzeba. Jeżeli będziecie wyjeżdżać, to weźcie przede wszystkim całe ubranie, bieliznę, obuwie, do ostatniego, nawet najgorsze. Poza tym całą żywność, jaką tylko macie w zapasie i całą pościel. Z naczyńia bierzcie przede wszystkim takie nietłukące się, blaszane, miski, wiadra, kubki, łyżki, noże, czajnik. Weźcie też żelazko do prasowania, prymus, siekierę, młotek, obcęgi, łopaty i inne żelastwa. Maszynę weźcie też, mamusia niestety nie wzięła, bo powiedzieli, że za dużo bagażu będzie w podróży, więc za ciężko. Ty ze swojej strony weź swoje książki i bruliony, z papierem trudno. Pilnujcie dobrze swoich drobiazgów, bo możecie je zgubić, a takie rzeczy wszędzie mają swoją wartość.

W liście z 28 listopada 1940 r. znalazły się wspomnienia opisu drogi jaką rodzina pokonała po przybyciu pociągu do stacji docelowej:

Był bardzo wielki mróz, a na dodatek noc. [...] Z początku tylko trzęsłam się, a potem tu już nie wiedziałam czy ja mam nogi i ręce i czy w ogóle żyję. Naoko-

¹¹ Ibidem.

¹² „Nie było czasu na strach...”. Z Janiną Wasiłój-Smoleńską rozmawiają Marzena Kruk i Edyta Wnuk, Szczecin 2009.

¹³ Ibidem, s. 28-29.

ło było tak pusto, jak w jakiejś północnej bezludnej krainie. Żadnych zabudowań, ani krzaków ani drzew, nic tylko góry i śnieg. Pomyśl, na przestrzeni 45 km jeden tylko jakiś marny kołchoz w połowie drogi. Zupełnie tak jak dawniej za cara, kiedy Polaków etapami pędzili na Sybir. My przechodziliśmy to samo, tylko z tą różnicą, że nie gnali nas piechotą, pokazali kulturę. Zdaje się, że to tak dawno było, a jednak pamiętam bardzo dobrze każdy szczegół. Teraz żeby nam powiedzieli, że wracamy, to zgodziłabym się iść piechotą aż do Żangiz-Tobe w największy buran czy mróz, niech tylko dzieci wiozą.

Bardzo trudna i bolesna emocjonalnie była perspektywa pierwszych Świąt Bożego Narodzenia na zesłaniu. Na jednej z kartek znajdowały się takie zdania:

mam do Ciebie wielką, wielką prośbę. Może Ty masz choć mały kawałeczek opłatka, zesłorocznego albo nowego. [...] Włóż do koperty, to przecież nic złego, więc nie będzie żadnej odpowiedzialności jakby przypadkiem te czorty zwąchali.

Tą samą pocztową drogą, w liście z 30 grudnia 1940 r.:

posyłam ci kawałek tego, co musiało zastąpić Nam opłatek. [...]Ja w ten wieczór wigilijny w myśli przełamalam się opłatkiem i w zamian za ten prawdziwy posyłam ten sybirski.

W listach jest wiele informacji o codziennym życiu powiedzianych wprost, i mnóstwo aluzji ukrytych „między wierszami”. Sporo miejsca zajmują wzmianki o panujących nastrojach i towarzyszących im myślach:

Jeszcze mówi się o wyjeździe, ale już nie z takim zapałem jak pierw. Przy najmniej już nikt nie pakuje się. W listach, które dostaję też jeszcze znać nadzieję. Byle tylko jakoś przetrwać. Naturalnie, że zawsze będę pisała do Ciebie, nawet jak nas wytluką czort wie gdzie, chyba że nie będzie można. Bardzo ciekawa jestem co będzie dalej, gdzie jeszcze i jak długo będziemy. Najgorsza ta niepewność, może jutro, może za rok, a może dziś w nocy. Bardzo bym nie chciała żeby nas teraz przewozili tylko na inne miejsce, mogli to zrobić wcześniej.

W liście z maja 1941 r. Autorka rozpaczliwie pyta: „Co zrobić, żeby choć na chwilę zapomnieć?” A 9 czerwca 1941 r.:

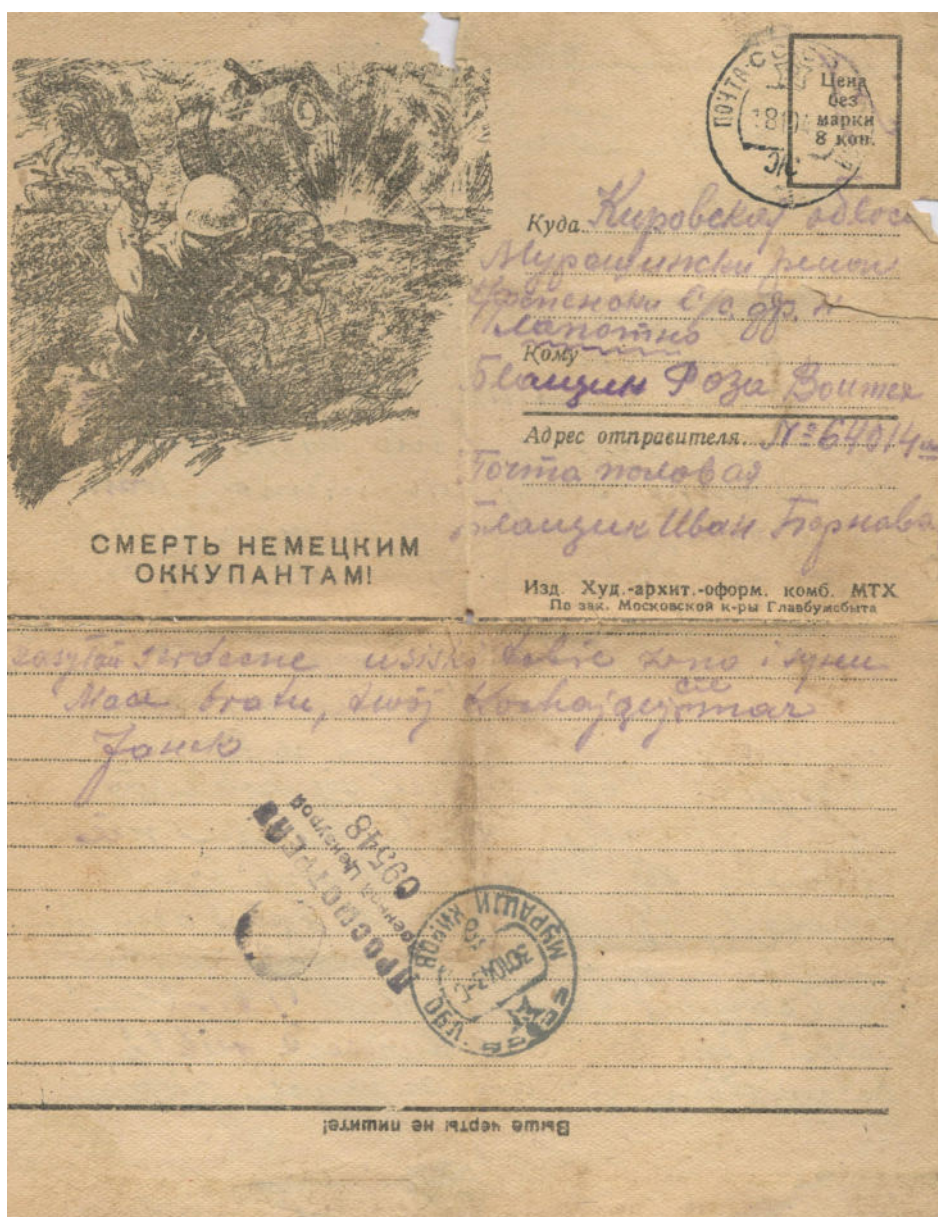
Janka, jakie paskudne zrobiło się teraz życie, nie wiem już teraz na kiedy czekać, na jesień, czy co. Nie mogę tak żyć, żeby nie czekać, a teraz wszystko umilkło i rób co chcesz.

Kolejne dwa lata to przerwa w korespondencji, listy pojawiają się ponownie w 1944 r. Część z nich jest już pisana po rosyjsku, na listach z ostatnich lat znajdują się stemple cenzorów. W liście z marca ostatniego roku wojny znalazł się fragment o cenzurze:

i nawet nie wiem dlaczego, całe pół strony zamazane, niech szlag trafi tego, kto to zrobił. To istna plaga z tymi malarzami, najciekawsze miejsca diabli biorą, czy nie uważasz tak samo?

Ten czas przyniósł także szereg zmian w otaczającej rzeczywistości, realiach politycznych i zesłańczej doli. 5 grudnia 1944 r. L. Wasilewska pisała:

Żebyś ty widziała jak my tu wszystkie wyglądamy. Poobwiązywane szalikami, chustkami, mamy na sobie wszystko, co jest tylko w domu do włożenia. Nie mogę swobodnie głową pokręcić, ale trudno, i w tym umundurowaniu zamarzamy na lód.



Żołnierski list skierowany do rodziny

Część materiałów zgromadzonych w ramach teczek z relacjami odzwierciedla losy rodzin naszych rozmówców. Wśród deportowanych byli bliscy wziętych do niewoli jeńców wojennych lub aresztowanych. Niepokój i w wielu przypadkach nieznajomość ich losów towarzyszyła wielu rodzinom nie tylko podczas zesłania, ale i przez wiele następnych lat, nawet do dzisiaj. Rodziny rozdzielały się także już na terenie ZSRR. Oprócz dramatycznych, losowych zdarzeń, czy aresztowań, powodem tego było także wstępowanie do polskiej armii. W grupie materiałów zgromadzonych w „Archiwum Pamięci” są dwie

teczki osób, które opuściły ZSRR wraz z armią Andersa i kilka teczek w których znajdują się materiały dotyczące tych członków rodzin, którzy wstąpili do Ludowego Wojska Polskiego. Są tam m.in. frontowe listy pisane do bliskich, a także list kolegi zawiadamiający o śmierci¹⁴.

Nie wszystkie materiały powstawały w okresie zesłania. Część z nich powstała po powrocie do kraju. W grupie tej są także materiały o charakterze wspomnieniowym, czasami autorstwa innych osób. W jednej z relacji znajduje się kopia „Pamiętnika”, w którym znalazły się przepisane przez Cecylię Dunał wspomnienia jej brata, który z zesłania wrócił dopiero w 1956 r.¹⁵ Został wywieziony w lutym 1940 r., w czerwcu podjął nieudaną próbę ucieczki, za co został skazany. Kolejne lata spędził w łagrach, a potem w trudowej armii. Znajduje się tam także jego odręcznie napisany życiorys¹⁶. Zawarty w nim został opis aresztowania, wywózki i późniejszego uwięzienia za próbę ucieczki. W „Pamiętniku” Autorka zamieściła także wykaz nazwisk rodzin, które wraz z nią były na zesłaniu, własne wiersze, a także historię rodziny. Znajduje się tam opis powrotu z ZSRR jej brata:

Obdarty, rude włosy, po rusku ubrany taka koszula na wierzchu, sznurkiem opasana... I powiedział dobrze po polsku „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. I wszyscy się patrzą. Co to za żebrak straszny, obdarty, i taki wynędzniały? On opuchnięty był. A on mówi: „Co wy się tak patrzycie...? Czy wy mnie nie poznajecie? To przecież ja jestem – Ludwik Kielar...” I takie spotkanie...



Kartka pocztowa wysłana do Janiny Wasilójć

¹⁴ MAH, Archiwum Pamięci, RiW, sygn. 42.

¹⁵ Ibidem, sygn. 27.

¹⁶ Ibidem. Życiorys Ludwika Kielara.

Wzmianki i krótkie informacje o wywózce znajdują się także w innych odręcznie napisanych życiorysach (w tym jeden z 1950 r.)¹⁷ i listach. Część materiałów zawierających opis przeżyć została sporządzona dopiero w latach pięćdziesiątych XX w. Z tego też czasu pochodzą artykuły lub książki, w których zamieszczone zostały pojedyncze fragmenty wspomnień osób, z którymi przeprowadzaliśmy wywiady. W stosunku do relacji zebranych przez Muzeum należy zwrócić uwagę na to, że są one zdecydowanie mniej obszerne i ledwie sygnalizujące wiele wątków¹⁸. Niektóre z nich mają charakter małych form literackich, jak np. krótki jedno stronicowy tekst „Pozostawione w pamięci” zawierający krótki opis wybranych, symbolicznych zdarzeń¹⁹. Jest to wymowny tekst o wojnie i samotności dziecka.

W maszynopisie „Wspomnienia Sybiraczki”²⁰ spisany w lutym 1997 r. znajduje się opis spotkania z jeńcami niemieckimi:

Kończył się rok 1944. [...] Przez naszą stację przejeżdżały coraz częściej transporty wojskowe, zdążające na front japoński. Z transportów tych wyładowywano również wielu jeńców niemieckich – żywych i umarłych. [...] Niemcy wyciągali do nas ręce i prosili o chleb lub cokolwiek do zjedzenia.

Częścią materiałów uzupełniających relacje są także kopie dokumentów związanych z funkcjonowaniem placówek opiekuńczo-oświatowych. Ze względu na zawarte tam dane noszą one znamiona dokumentów o charakterze genealogicznym. Jest to np. „Przemówienie św. Mikołaja w polskim Sierocińcu w Porogu Kazaczyńskim w dniu 6 grudnia 1942 r.”²¹. Autorem scenariusza był pochodzący ze Lwowa mjr Jan Glatte, księgowy tegoż sierocińca. W wierszowanym, napisanym z dużą dozą humoru tekście wymieniane z imienia i nazwiska oraz charakteryzowane są zarówno dzieci jak i ich opiekunowie, a także pracownicy sierocińca. Tekst ten został odtworzony z pamięci i spisany przez Feliksa Sikorę. Dla osób, które przebywały w tym sierocińcu jest on niezwykle wspomnieniem, dla współczesnego czytelnika jest świadectwem wielkiego zaangażowania autora, który chciał, choć w taki sposób wywołać choćby minimalny uśmiech na twarzach dzieci i dać im odrobinę normalnego dzieciństwa. Wspomnienia dotyczące pobytu w tym samym sierocińcu zostały zawarte w dwóch listach²² jego wychowanka, adresowanych i udostępnionych nam przez jednego z rozmówców.

W jednej z teczek są dwie listy zawierające nazwiska osób, które trafiły do Afryki. Był to dla nich kolejny etap tułaczey wędrówki po opuszczeniu ZSRR wraz z armią Andersa. Jedna z kopii to, wydane nakładem Dyrekcji Gimnazjum Digglefold (Płd. Rodezja) w 1944 r., „Sprawozdanie Dyrekcji Państwowego Gimnazjum Żeńskiego Ogólnokształcącego w Digglefold (Płd. Rodezja) za rok szkolny 1944.” Zawiera ono imienny spis uczennic. Druga kopia to natomiast „Lista osób pochowanych na cmentarzu w Bwana Mkubwa przesłana 13 maja 2004 r. z Polskiej Misji Katolickiej w Londynie”²³.

¹⁷ MAH, *Archiwum Pamięci*, RiW, sygn. 37, 43, 64.

¹⁸ Ibidem, sygn. 25, 26, 44.

¹⁹ Ibidem, sygn. 75.

²⁰ Ibidem, sygn. 30.

²¹ Ibidem, sygn. 32.

²² Ibidem.

²³ MAH, *Archiwum Pamięci*, RiW, sygn. 75.



Upamiętnienie tułaczy, którzy po opuszczeniu ZSRR wraz z armią Andersa trafili do osiedli polskich w Afryce – Zambia (dawna Rodezja Płn.), Bwana M'Kubwa, czerwiec 1948 r.

Część dokumentów to późniejsze potwierdzenia pracy w republikach radzieckich i dowody poszukiwania członków rodzin, a także dokumenty sądowe np. zaświadczenia o rehabilitacji.

*

Relacje zawierają wiele typowych opisów zdarzeń znanych z wielu innych wspomnień, co w żadnym razie nie umniejsza ich znaczenia. W każdej z nich znaleźć można indywidualny rys, każda z nich wnosi też coś nowego. Rozmowy, najczęściej dwu – trzygodzinne (choć oczywiście zdarzają się także zdecydowanie dłuższe) nie pozwoliły na wyczerpanie wszystkich wątków. W relacjach są odniesienia do znanych postaci i zdarzeń, ale przeważają w nich odtworzone z pamięci opisy codzienności. Pozwalają one na próbę rekonstrukcji losów tej zbiorowości. Z perspektywy Muzeum ważne było nie pytanie o to skąd pochodzili Sybiracy i jak wyglądał ich przymusowy pobyt w ZSRR, ale także problem kształtowania pamięci zbiorowej o tych zdarzeniach. Z dużym rozgoryczeniem opowiadano o przyjęciu, z jakim spotkali się Sybiracy tuż po powrocie. Problemy z akceptacją środowiska i asymilacją w nowym miejscu, a przede wszystkim „usunięcie w niepamięć”, unieważnienie ich przeżyć w oficjalnej przestrzeni publicznej potęgowało uczucie wyobcowania. Poczucie związania z nowym domem przychodziło do wielu bardzo powoli.

Informacja wydawnicza dla Prezesów Oddziałów i Kół Związku Sybiraków

Redakcja „Biblioteki Zesłańca” Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego uprzejmie informuje, że jej nakładem ukazała się książka pt. *Tunka. Syberyjskie losy księży zesłańców 1863 roku*, autorstwa Prof. dr. hab. Eugeniusza Niebelskiego z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II. Książka jest ciekawym kompendium wiedzy o losach księży na syberyjskim zesłaniu w II połowie XIX stulecia, którzy w trudnych warunkach psychicznych i materialnych zachowali godność katolickich duszpasterzy.

Przekazując tę informację pragniemy nadmienić, że jest to publikacja, którą Prezesi Oddziałów i Kół Związku Sybiraków powinni ofiarować księżom kapelanom niosącym posługę duszpasterską szerokiemu gronu społeczności sybirackiej. Przypadająca w tym roku 150. rocznica wybuchu Powstania Styczniowego to wspaniała okazja do zapoznania się z losami księży wspierającymi powstanie, zesłanymi na Syberię o czym traktuje książka Eugeniusza Niebelskiego.

*

Zainteresowani nabyciem tej interesującej publikacji książkowej powinni kontaktować się z:

**Polskie Towarzystwo Ludoznawcze
ul. Szczytnicka 11; 50-382 Wrocław;
tel. 71/321-16-10; fax:71/ 321-16-14;
e-mail: ptl@ptl.info.pl.
Cena książki 40 zł + porto.**

EUGENIUSZ NIEBELSKI

**SESJA POŚWIĘCONA POWSTANIU STYCZNIOWEMU
NA KATOLICKIM UNIWERSYTECIE LUBELSKIM
ORAZ PRZEMÓWIENIE BP. CYRYLA KLIMOWICZA**

Uroczyste obchody 150. rocznicy Powstania Styczniowego rozpoczęły jako pierwszy w kraju Lublin – międzynarodową konferencją oraz wieloma okolicznościowymi wystawami, wykładami i koncertami, włączonymi w „Lubelskie obchody 150. rocznicy Powstania Styczniowego. Lublin 2013”. Sesję zainicjował niżej podpisany, sprawy materialne i organizacyjne podjęły m.in.: urząd prezydencki Lublina, oddział lubelski PAN, Muzeum Lubelskie oraz lubelskie naukowe środowisko historyków – członkowie Komisji Historycznej PAN. Dwudniowa sesja 10 i 11 stycznia (czas wybuchu powstania według kalendarza starego stylu) rozpoczęła się na Zamku Lubelskim, a następnego dnia w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim.



Pierwszego dnia tematem wiodącym był: „Rok 1863. Walka – Kraj – Lubelszczyzna – Kościół”, drugiego – „Kościół katolicki i jego duchowieństwo wobec 1863 roku”. Z wykładami wystąpiło w sumie około 25 naukowców m.in. z Lublina, Krakowa, Kielc, Warszawy, z Rosji i Belgii (niektórzy inni nie dojechali z powodów pogodowych lub zdrowotnych). Konferencja wzbudziła duże

zainteresowanie radia i telewizji oraz różnych środowisk Lublina, pierwszego dnia szczególnie młodzieży uniwersyteckiej i szkolnej. Z aplauzem przyjęto m.in. wystąpienia: dnia pierwszego prof. Idesbalda Goddeerisa z Katolickiego Uniwersytetu w Leuven mówiącego świetnie po polsku na temat reakcji belgijskiego środowiska wobec powstania w Polsce, dr. Sergiusza Leończyka z Abakanu o losach potomków polskich zesłańców w Syberii Wschodniej, a dnia drugiego – prof. Andrzeja Nowaka z Krakowa o watkach religijnych w publicystyce emigracyjnej w latach przed powstaniem, dr. Ireny Wodzianowskiej z Lublina o represjach gen-gubernatora Murawiowa „Wieszatiela” wobec Kościoła na Litwie w 1863 oraz dr. Elżbiety Orman z Krakowa o biografiami księży powstańców zamieszczonych w „Polskim Słowniku Biograficznym”.



Obraz współczesny (olejny) ks. Stanisława Brzóska (1834-1865)
autorstwa Z. Grabskiej w posiadaniu ks. S. Falkowskiego
z parafii Nieciecz na Podlasiu.

Wielu uczestników czynnych, a także słuchaczy wyrażało już w trakcie trwania konferencji swoje pochlebne opinie o wysokim poziomie referatów i doskonałej organizacji. Miłym zaskoczeniem dla wielu były znaczki pocztowe (tzw. „personalizowane”), jako materiały sesyjne, m.in. z biżuterią patriotyczną z lat powstania oraz nieznanym obrazem ostatniego przywódcy powstania ks. Stanisława Brzóska (prezentowane w tekście). Najsympatyczniej i najcieplej przyjęto na zakończenie konferencji na KUL wystąpienie obecnego biskupa irkuckiego księdza Cyryla Klimowicza, mówiącego o Syberii i kulcie św. Rafała (Józefa Kalinowskiego). Uczestnicy ze wzruszeniem odebrali głos Kapłana,

którego rodzina także doznała zesłania, a On sam urodził się na wygnaniu. Dziś prowadzi Kościołowi na Syberii, gdzie żyje wielu potomków polskich zesłańców z przeszłych wieków.

Bp. Cyryl Klimowicz (Irkuck, Rosja)
**Kościół katolicki na Syberii i kult św. Rafała –
historia, pamięć i duszpasterstwo dziś**

Szanowni Uczestnicy Konferencji

W trakcie niniejszej sesji wiele zostało już powiedziane o Polakach, uczestnikach Powstania Styczniowego, o ich losach na Syberii i w całej Rosji. Kilka słów, jakimi pragnę się z Państwem podzielić, proszę przyjmując jako słowa Polaka, którego losy bardzo mocno związały się ze Wschodem.

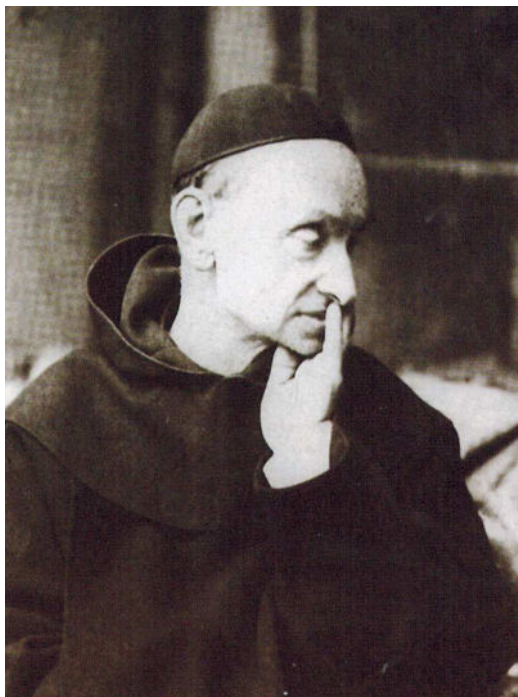
Wszystko rozpoczęło się w Kazachstanie, dokąd moja rodzina została zesłana wiele lat po wojnie i gdzie przyszedłem na świat niedaleko miasteczka Almageldy w listopadzie 1952 roku. Nawet moje imię świadczy, że Polakom na wygnaniu nie było łatwo. Rodzice ochrzczili mnie z wody, dając imię Karol. Jednakże, gdy moja mama przyszła do urzędu stanu cywilnego, by zapisać mnie w księgach, usłyszała, że żadnych „koroliej” – czyli królów – już nie ma. Stąd w urzędzie „nadano” mi imię Kiriłł – po polsku Cyryl.



Bp. Cyryl Klimowicz z Irkucka. Rysunek Pauliny Kopestyńskiej

Wkrótce wraz z mamą i starszymi braćmi wyjechaliśmy na Białoruś, na tereny do 1939 roku przynależące do Polski. Mieszkaliśmy tam do 1965. Kiedy pojawiła się możliwość powrotu do Ojczyzny, skorzystaliśmy z niej i zamieszkaliśmy na Warmii. W Polsce otrzymałem wykształcenie i zakończyłem Wyższe Seminarium Duchowne „Hosianum” w Olsztynie. Po kilku latach pracy w diecezji warmińskiej, z własnej woli, ponownie wyjechałem na Wschód, aby wesprzeć Kościół, który cierpiał z powodu braku kapłanów. Początkowo była Białoruś, gdzie pełniłem posługę jako ksiądz, a potem biskup pomocniczy w Mińsku. A od 2003 roku miejscem mojej posługi jest Irkuck i największa pod względem terytorium diecezja na świecie – diecezja św. Józefa.

Tereny tamte i ich mieszkańcy sprzed lat i obecnie mocno różnią się od siebie. Zewnętrznie Syberia nie przypomina tej, o której mówiono: „ziemia przeklęta”. Taką znali nasi zesłańcy z XIX wieku, żyjący niekiedy w warunkach urągających ludzkiej godności. Ale są świadectwa mówiące o tym, że wielu starało się stworzyć w miarę normalne warunki życia. Zależało to od prawnej kategorii zesłania, od miejscowych warunków, od zwyczajnych ludzkich relacji. Dla części wygnanych na Syberię ta ziemia stawała się z czasem miejscem, w którym można było żyć. Niektórzy zostali tam na stałe. To mimo wszystko były inne czasy i warunki, aniżeli w XX wieku czasy łagrów. Czasy przerażające.



Patron Sybiraków i odradzającego się Kościoła na Wschodzie
św. Rafał Kalinowski

Dziś postrzegamy Syberię jako perspektywiczny region. Pomimo surowego klimatu z pewnością nie jest ona „lodową pustynią”. Poziom życia wzrasta i zwłaszcza w dużych miastach nie tak bardzo różni się od europejskiego. Obecnie Syberia jest regionem dynamicznego rozwoju. To świat komputerów,

nowoczesnych samochodów, elektroniki. Jest to kraj młodzi, wielu uniwersytetów. Władze tworzą przeróżne programy, by zachęcić mieszkańców do angażowania się w rozwój tego terenu. Oczywiście jest także świat biedy, braku perspektyw, pracy – zwłaszcza na prowincji.

Od czasów pierestrojki dokonuje się także głęboka przemiana duchowa w ludziach. Wraca wiara w Boga; odradza się Cerkiew, Kościół katolicki. Jednakże po dziesiątkach lat prześladowań i zniszczeń ludzie wciąż znajdują się na początku drogi wiary, wielu w stadium poszukiwania.

Kościół na Syberii dziś ma za zadanie wyjść do tych, którzy nie znają Boga, ale też pomóc powrócić do swych korzeni. Nasza posługa to praca u podstaw. Ludzie często nie znają chrześcijańskiej tradycji, czasami te tradycje mieszają się z innymi, tworząc swoisty synkretyzm różnych religii, a czasem także zabobonów i przesądów. Rozpoczynamy bardzo prosto, czasami od podstawowych modlitw i znaku Krzyża. Z jednej strony posługa Kościoła na Syberii jest bardzo tradycyjna – tworzymy tradycyjne parafie i staramy się katechizować naszych parafian, zarówno dzieci, jak i dorosłych. Z drugiej jednak trzeba dostrzec i specyfikę syberyjskiego Kościoła. W pewien sposób jest to Kościół misyjny.



Kościół w Wierszynie zbudowany na początku XX w. Fot. E. Niebelski

Diecezja irkucka zajmuje przeogromny obszar – ponad 10 milionów km², to 30 razy więcej niż obszar Polski. Na tak rozległym terenie pracuje zaledwie 37 kapłanów, 3 braci i 62 siostry zakonne. Stąd i specyfika naszej posługi. Tam gdzie są kapłani na stałe, duszpasterstwo można nazwać regularnym i tradycyjnym. Jednakże do niektórych miejsc kapłan dociera sporadycznie. Wówczas i możliwość wychowania człowieka w wierze jest znacznie mniejsza.

Wspólnoty zazwyczaj są niewielkie, liczące po kilkadziesiąt, rzadziej kilkuset parafian. Ludzi przyznających się do wiary katolickiej jest znacznie więcej, ale często jest to formalna przynależność. Bywa, że ktoś przyznaje się do wiary na podstawie chrztu, ale zdarza się, że nazywa siebie katolikiem, ponieważ katolikami byli rodzice, a on sam jest człowiekiem nieochrzczonym.

Nasza posługa odbywa się przeważnie w języku rosyjskim, jest to język liturgii i katechizacji. Niegdyś w Rosji panowało przeświadczenie, że katolik to Polak. Obecnie nie można już tak powiedzieć. Nasi parafianie to obywatele Rosji z bardzo zróżnicowanym pochodzeniem. Niewielu jest wśród nich czystych etnicznie Polaków, większość nie zna języka polskiego. Obecnie Kościół w Rosji, to nie Kościół polski. Musi być i pozostaje Kościołem uniwersalnym, a takim w rzeczywistości jest Kościół katolicki.

Wyjątkiem jest wioska leżąca 130 km od Irkucka – Wierszyna, gdzie Liturgia sprawowana jest po polsku. Nazywana jest „polską wioską”. Założyli ją Polacy, którzy w 1910 roku osiedlili się na Syberii, poszukując lepszego życia. Mieszkańcy Wierszyny do dziś zachowali język polski (specyficzny dialekt będący połączeniem języka polskiego – starodawnej wiejskiej gwary – z rosyjskim). Jednakże już katechizacja wymaga używania języka rosyjskiego, aby wykładane treści były zrozumiałe dla słuchaczy.

Mówiąc o Kościele w Rosji, należy podkreślić wielką rolę Polaków w zachowaniu i rozwoju wiary katolickiej. To oni w swoich rodzinach przekazywali język, tradycje narodowe i rodzinne, wśród których wiara zajmowała szczególne miejsce. W wielu parafiach to właśnie ludzie z polskimi korzeniami mocno zaangażowali się w odrodzenie wspólnoty. Tak było w Irkucku, Władywostoku, Krasnojarsku i jeszcze w wielu innych miastach naszej ogromnej diecezji.

Życie religijne koncentruje się zazwyczaj wokół parafii. Jednakże nie oznacza to, że jej centrum zawsze jest świątynia. Po prostu prawdziwych kościołów mamy niewiele. Często ludzie gromadzą się w kaplicach. Dla potrzeb duszpasterskich na kaplice zamieniane są oddzielne domy bądź nawet mieszkania w blokach. Często miejscem spotkań modlitewnych są domy naszych parafian.

W posłudze Kościoła na Syberii ważną rolę odgrywają świeccy. Przy tak znikomej liczbie duszpasterzy potrzeba ludzi odpowiedzialnych za wspólnotę. W jakimś zakresie ma to również uwarunkowania historyczne. Na Syberii od dawna ważne miejsce w zachowaniu wiary katolickiej odgrywali gorliwi parafianie. W trudnym okresie prześladowań, gdy zupełnie nie było kapłanów, wiarę przekazywano w rodzinach. Funkcje religijne obejmowali najbardziej „doświadczeni” w dziedzinie wiary ludzie. To oni udzielali chrztu „z wody”, modlili się przy zmarłych.

Tak w wielkim skrócie przedstawia się obecna sytuacja Kościoła na Syberii. Powróćmy jednak do głównego tematu obecnej sesji naukowej, do tematu Powstania Styczeniowego i losów jego uczestników. Irkuck bardzo mocno jest związany z tamtymi czasami. Do Irkucka i w jego okolice trafiło wielu zesłańców, by tutaj odbywać karę. Szczególne miejsce wśród nich zajmuje Józef Kalinowski, dziś wyniesiony na ołtarze i czczony jako św. Rafał.

Urodził się w Wilnie 1 września 1835 roku i otrzymał na chrzcie imię Józef. Kształcił się w Instytucie Szlacheckim, 2 lata w Szkole Agronomicznej, a następnie w Akademii inżynierii wojskowej w Petersburgu, uzyskując tytuł inżyniera i stopień porucznika. W roku 1859 współpracował w projektowaniu linii kolejowej Kursk-Kijów-Odessa.



Kościół katolicki pw. Wniebowzięcia Matki Bożej w Irkucku,
którego poświęcenie odbyło się 8 grudnia 1884 roku. Fot. E. Niebelski

Po wybuchu w Polsce Powstania Styczniowego zwolnił się z wojska rosyjskiego i przyjął obowiązek w podziemiu – został Ministrem Wojny w rejonie Wilna. Aresztowany 24 marca 1864 roku został skazany na karę śmierci, którą zamieniono mu na przymusowe prace na Syberii przez 10 lat. Przebywał na robotach w Usolu, potem zamieszkał w Irkucku. Cechował się mocą ducha, cierpliwością i miłością towarzyszy wygnania, potrafił wlać w nich ducha modlitwy, po-

magać materialnie, dobrym słowem budzić nadzieję i pokój. Po zwolnieniu z wygnania w 1874, przebywał w Paryżu, a roku 1877 wstąpił do Zakonu Karmelitów Bosych w Austrii i przyjął imię zakonne: brat Rafał od św. Józefa. Oddał ducha Bogu dnia 15 listopada 1907 roku w klasztorze w Wadowicach, który założył i był jego przeorem. Za życia i po śmierci cieszył się wielką sławą świętości.

Jego związek z Syberią sprawił, że jest dziś czczony również w diecezji św. Józefa. W oddalonym o niemal 100 km od Irkucka Usolu-Syberyjskim, gdzie odbywał swą karę zesłania, duszpasterzują obecnie ojcowie karmelici, do których zakonu św. Rafał należał. W 2002 roku przybyły tam również siostry karmelitanki i obecnie wypełniają swoje powołanie do modlitwy i życia zamkniętego, jako jedyny zakon klauzurowy. Ich obecność i posługa sprawia, że osoba św. Rafała stała się bliska naszym parafianom. Św. Rafał, jako ten, który sam przyszedł Syberię, stał się patronem ludzi mieszkających na tej ziemi.

Nie był to jedyny zesłańiec – uczestnik Powstania Styczniowego, którego losy wiążą się z irkucką ziemią. W te rejony Syberii zesłano także wielu innych powstańców. Szczególnym miejscem jest leżąca na terenie Buriacji wioska Tunka, miejsce zesłania katolickich księży, oskarżonych o udział w powstaniu. Osiedlono w niej 156 duchownych. W Tunce przez pewien czas był na zesłaniu także Józef Piłsudski. Mówił już o tym prof. Eugeniusz Niebelski.

Chcę wyrazić mu moją wdzięczność, że dogłębnie opracował ten temat i przedstawił w swej książce „Tunka. Syberyjskie losy księży zesłańców”. Dziękuję za realistyczne przybliżenie tego tematu i ogrom wykonanej pracy. Wspomnę chociażby o kwerendzie w irkuckich archiwach, gdzie z dużym trudem zdobywa się materiały, zwłaszcza na tak drażliwe jeszcze do dziś tematy.

Tunka to dziś zaniedbana wioska, w której, o dziwo, temat Polaków-zesłańców jest żywy. W miejscowej szkole znajduje się sala pamięci – niewielkie muzeum, w którym o Polakach jest dość pokaźną ekspozycja. Na miejscowym cmentarzu symbolicznie wydzielono polską, katolicką i „księżowską” część. W planach jest budowa pomnika na cześć pochowanych tam kapłanów. Sprawa jest dyskutowana przez przedstawicieli polskiego konsulatu w Irkucku, miejscowych władz i przedstawicieli Kościoła katolickiego. Chcielibyśmy, aby to miejsce, dość licznie już odwiedzane przez turystów z Polski, stało się także miejscem pielgrzymek syberyjskich katolików, przypominającym o polskich kapłanach – zesłańcach.

Trzeba zwrócić uwagę jeszcze na fakt, że w codziennej praktyce życia i duszpasterstwa nie jest łatwo powracać do tematu zesłańców i katorgi. Wśród naszych parafian procent ludzi polskiego pochodzenia nie jest dominujący, a i sami Polacy nie zawsze chętnie powracają do tematu katorgi. Wiedzą, jaka była przeszłość ich dziadów i ojców, ale nie koncentrują się na niej. Dotykając tematu zesłańców, ludzie często podkreślają ich pozytywny wkład we wszechstronny rozwój Syberii. Więc także pamięć o zesłańcach nie może być podstawowym tematem nauczania Kościoła. Mam nadzieję, że zostaną dobrze zrozumiani.

Jako Kościół staramy się odznaczać szczególne daty i wydarzenia związane z zesłańcami i towarzyszymy miejscowym Polakom w obchodach tych wydarzeń. Kościół często jest inicjatorem takich spotkań. Jednakże musimy też pamiętać, że tematyka nauczania Kościoła jest dużo bogatsza i jej centrum jest orędzie zbawcze Chrystusa.

W kulcie św. Rafała Kalinowskiego można dostrzec mocny związek

z Syberią – że mieszkał na tej ziemi, tutaj się trudził, modlił. Kult ten ukazuje św. Rafała bardziej jako mieszkańca Syberii niż zesłańca. Św. Rafał jest postrzegany nie jako męczennik zesłania, ale bardziej jako człowiek, którego charakter i duchowość kształtowały się w surowych syberyjskich warunkach. Mieszkańcy Syberii starają się to dostrzegać.

Ponieważ obecny Kościół na Syberii jest stosunkowo młody, także i kult św. Rafała dopiero się rozwija. Najsilniejszy jest w parafiach prowadzonych przez karmelitów, zwłaszcza w Usolu-Syberyjskim nad Angarą. Oni swoją obecnością i charyzmatem siłą rzeczy podkreślają rolę ich współbrata – Sybiraka. Św. Rafał bliski jest też parafianom z Irkucka, gdyż przez 4 lata mieszkał w tym mieście i był związany z polskim kościołem, który zachował się do dnia dzisiejszego i w którym znajdują się jego relikwie. Dość mocno czczony jest także w Ułan-Ude za Bajkałem.

Samo nabożeństwo do św. Rafała rozkrzewia się dwoma drogami. Jedną z nich są wspólne modlitwy w parafiach, zazwyczaj związane ze wspomnieniami liturgicznymi. Inną drogą jest osobista pobożność, w której dominuje temat świętego – Sybiraka. Ludzie obierają go sobie za patrona, jako mieszkańca tamtej ziemi.

W ten sposób trudne tematy z niełatwych stron historii są lepiej poznawane i przekazywane z pokolenia na pokolenie. Z przegranego powstania i trudów zsyłki wyrósł święty. Czyż to nie zwycięstwo?

**Oferta wydawnicza
dla Oddziałów i Kół Związku Sybiraków
oraz Szkół im. Zesłańców Sybiru**

Nakładem serii wydawniczej „Biblioteka Zesłańca” Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego we Wrocławiu ukazała się książka pt. *Polacy w guberni archangielskiej w XIX i XX wieku*, pod red. naukową Antoniego Kuczyńskiego i Mirosława Marczyka. Publikacja stanowi pokłosie międzynarodowej konferencji zorganizowanej przez Zarząd Krajowy Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” oraz Ośrodek Badań Wschodnich Katedry Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Wrocławskiego. Szeroki chronologicznie zakres książki uwzględnia zesłania Polaków na obszary guberni archangielskiej w XIX stuleciu (powstanie listopadowe i styczniowe) oraz stanowi bogate kompendium wiedzy odnoszące się do sowieckich deportacji w okresie drugiej wojny światowej a także w pierwszych latach po jej zakończeniu.

Tematyczny pluralizm publikacji decyduje o jej wartości naukowej oraz wypełnia lukę w badaniach nad losami Polaków w tej części rosyjskiego imperium. Wśród członków Związku Sybiraków jest wiele osób, które przebywały na zesłaniu w obwodach archangielskim i wołogodzki. Już choćby z tego powodu książka powinna znaleźć się w podręcznym księgozborze Oddziałów i Kół Związku Sybiraków, w bibliotekach szkół noszących im. Zesłańców Sybiru a także trafić do osób i ich rodzin, których zesłańczy los łączył się z tymi rejonami Związku Sowieckiego. Zachęcamy do sięgnięcia po lekturę tej naprawdę wartościowej książki.

*

Zainteresowanych nabyciem książki polecamy kontakt:

**Polskie Towarzystwo Ludoznawcze
ul. Szczytnicka 11; 50-382 Wrocław
Tel.71/321-16-10; fax: 71/ 321-16-14
e-mail: ptl@ptl.info.pl**

RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje w pewnym sensie do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz do serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane są także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth, przewodniczącej tamtejszej Komisji Historycznej oraz systematycznie drukuje je rocznik „My Sybiracy” wydawany przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacimy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. (red.)

*

Ludwika Turowska – *Sześć lat na zesłaniu*

Urodziłam się 7 stycznia 1930 roku w Kupiatyczach k/Przemysła. 10 lutego 1940 roku jeszcze spaliśmy gdy o godzinie 3.00 rano żołnierze radzieccy wtargnęli wraz z miejscowymi władzami do naszego domu i zaczęli krzyczeć, „*wstawaj, ciepło ubierajsja*”. Nie dali swobodnie chodzić po mieszkaniu. Gdy z młodszą siostrą chciałam pójść do ubikacji, a miałam wówczas 10 lat, żołnierz wycelował karabin i sam nas zaprowadził. Rodzice i starsze rodzeństwo wzięli, co mieli pod ręką, i jako tako ubrani opuściliśmy nasz dom rodzinny. Wszystko odbywało się w pośpiechu, bo ciągle nas popędzano.

W Przemysłu – Bakończycach zamknięto nas w wagonie towarowym, którego drzwi zaryglowano od zewnątrz. Było nas 6 osób – mama i tato, siostry Zofia, Władysława oraz brat Stanisław. Byli też i inni podobni nieszczęśnicy. Jechaliśmy w nieznanie przez około 2 miesiące, przy prawie 40 stopniowym mrozie. Gdy pociąg zatrzymywał się, ale było to bardzo rzadko, wtedy otwierano drzwi wagonu, aby usunąć ciała zmarłych. W wagonie było tłoczno, duszno i smutno. Nie dawano jeść, ani pić. Jak rodzice chcieli dać wody dzieciom, to przez małe okienko wagonu spuszczały na zewnątrz jakieś naczynie, aby zaczerpnąć trochę śniegu. Zdarzało się jednak i tak, że wartownik przecinał linkę a naczynie ze śniegiem zostawało na zewnątrz. Był jeszcze jeden sposób na zmoczenie ust wodą. Na śrubach wagonu osadzał się wewnątrz szron i myśmy

po kolei je lizali, ale tylko raz jeden, aby wszystkim wystarczyło, i znowu trzeba było czekać, aby szron pojawił się ponownie. To był jedyny ratunek dla dzieci. Ubikację mieliśmy taką, że mężczyźni wydłubali w podłodze wagonu dziurę i służyła ona dla wszystkich – dzieciom i dorosłym.

Gdy transport dotarł do celu, czekały tam już na nas sanie, na które przede wszystkim lokowano starców i dzieci. Kto co miał, owijał tym dzieci. Sanie powiązano sznurami i tak uformowano długą kolumnę chyba ze 40 sań i zaczęliśmy dalszą podróż. Na nich siedziały przede wszystkim dzieci, dorośli szli pieszo za kolumną. Był bardzo duży śnieg więc sanie wytoczyły jeden tor, więc konie nie mogły zjechać. Wieziono nas bardzo długo. Gdy zatrzymano się gdzieś na odpoczynek Państwo Szalowie stwierdzili, że brak im jednego dziecka. Konie stratowały je do tego stopnia, że ludzie idąc za saniami nie zauważyli nawet szmatki po nim. Ojciec dziecka od razu oszalał i dopiero po roku dołączył do nas.



*

Ludwika Turowska

Zawieźli nas na posesję Wietlany i rozlokowali w barakach, po jednej rodzinie w izbie. W pomieszczeniu znajdowało się jedno prymitywnie zbite z desek łóżko oraz stół. W baraku mieszkało 20 rodzin. Na korytarzu stała kuchnia, która słabo się nagrzewała i trzeba było długo czekać w kolejce do zagotowania chociażby wody. My dzieciaki chodziliśmy do szkoły. Był srogi mróz, a ja biegałam do szkoły prawie boso. Gdy zrobiłam kilka kroków, kucałam i nogę zawijałam w spódniczkę, a miałam taką szeroką góralską. Robiłam znowu kilka kroków i następną nogę owijałam, powtarzając to parokrotnie.

Latem też chodziliśmy do szkoły, a po lekcjach trzeba było iść do lasu ścinać drzewa, które były bardzo duże. Dorośli też pracowali przy wyrębie. Naszym przydziałowym pożywieniem była woda i 20 dkg chleba na dziecko. Pracujący mieli pół kg chleba, ale był to sam piolun, przez co chleb był czarny jak ziemia. Z głodu ludzie dostawali kurzej ślepoty. Wracając nocą z pracy, zbaczali z trasy, bo po zachodzie słońca nic nie widzieli. Bywało, że do rana zamarzali. Pomimo ślepoty musieli chodzić do pracy. Jeżeli ktoś coś przeszkrobał, komendant posiołka zamykał do aresztu, a było to na porządku dziennym.

Po przyjeździe do posiołka tatuś zachorował i nie mógł nawet uklęknąć by odmówić pacierz i chodzić do pracy Mamusia została więc jedynym żywicielem rodziny, a było nas 6 osób. Często podejmowała się ciężkiej pracy w lesie, aby dostać dodatkowo kilka dkg chleba. Na następny rok zaczęto karczować las. W związku z tym każdej rodzinie przydzielono miejsce po wykarczowanym drzewie i tam można było posadzić ziemniaki. Poletko to nie miało więcej aniżeli 1 m². Mamusia dostała gdzieś 2 ziemniaki, poczkowała je i posadziła. Ziemniaki jakimś cudem urosły. Kiedyś dostaliśmy z Polski paczkę, a w niej pół kg masła, 3 cebule i 4 główki czosnku. Tatuś powiedział wówczas do starszej siostry: idź przynieś trochę ziemniaków, a ona przyniosła zaledwie dwa. Tatuś zaś rzekł, że to za mało, ona natomiast rozplakała się i powiedziała, że gdy dzisiaj wszystko zjemy, później nie będziemy mieli co jeść! Ugotował więc tata te ziemniaki, omaścił je masłem i cebulą, wymieszał to wszystko razem i posmarował tym chleb. Wierzcie mi, że do dziś mam w ustach smak tych ziemniaków. Obecnie nawet po czekoladzie nie czuję takiego smaku. Nigdy w życiu nie zapomnę tych głodowych dni, ciężkiej pracy oraz codziennej pogardy.

Myśleliśmy wszyscy, że nigdy nie wrócimy do domu. Komendant też ciągle nam powtarzał: „jak swego ucha nie zobaczysz, tak i Polsczy nie zobaczysz”. Po utworzeniu armii przez gen. Władysława Andersa wyjechaliśmy do kołchozu. Tam też była bieda. Wszyscy musieliśmy pracować niezależnie od wieku. Głód był okropny. Zbieraliśmy po śmietnikach łupiny z ziemniaków a w młynie można było od czasu do czasu dostać łuskę z prosa. Po ugotowaniu jej i roztarciu pieczono placki na kuchennej płycie. Jak chodziliśmy za potrzebą fizjologiczną to załatwialiśmy z krwią, bo łuska kaleczyła jelita.

Po skoszeniu zboża chodziliśmy na pola zbierać kłosa, mimo tego, że brygadzysta stale nas przepędzał. Wędrowaliśmy też na pola gdy wykopano już ziemniaki. Pamiętam jak kiedyś przyjechał na koniu brygadzysta i batem siekł nas po plecach, a odebrane ziemniaki wyrzucił! Na wiosnę zbieraliśmy też zmarznięte kartofle. Był to już jednak sam krochmal gdy się je rozmroziło, z którego robiliśmy kisiel. Oprócz tego jedliśmy łobodę i oset. Później trochę się poprawiło. Pracowaliśmy na tak zwane „trudodnie”. Były to określone normy, które trzeba było wyrobić w ciągu dnia. Nieraz jednak trzeba było pracować przez kilka dni, aby wyrobić jeden ów „trudodzień” i za każdy z nich otrzymywaliśmy 20 dkg zboża. Jak była to pszenica, to gotowano ją lub jedliśmy surowe ziarna. Mimo to człowiek był nadal głodny.

I tak było do 1946 roku. Wróciliśmy wszyscy do kraju. Tatuś cały czas nie pracował, lecz zawsze się modlił, aby mógł wrócić do Polski i na polskiej ziemi zostać pochowanym. Dzięki Bogu tak się stało. Zaraz po powrocie zmarł i pochowany został w ojczystej ziemi.

*

Anna Charchan – W 1949 na Sybir nas zesłali...

6 stycznia 1949 roku nad ranem dom, w którym mieszkałam z mamą Katarzyną Szydłowską i dwojgiem moich dzieci (syn Jan miał wówczas 2 lata, córka Stanisława – 5 lat), okrążyli rosyjscy żołnierze. Do wnętrza weszli dwaj z nich i poinformowali, że mamy się natychmiast spakować, ponieważ zabierają nas z tej wsi. Nie tłumaczono więcej nic, a na pytanie dokąd nas zabierają padła odpowiedź „daleko”! Szybko ubrałam dzieci i spakowałam ciepłe ubrania. Nie wolno było zabierać żadnych dokumentów. Wyprowadzono nas na podwórze, gdzie czekała furmanka i przewieziono do „selrady”. Były już tam inne polskie rodziny, które też miały być wywiezione.

Po zgromadzeniu wszystkich będących na liście do zesłania przewieziono nas pod eskortą żołnierzy do Stryja. Tam przebywaliśmy około 3-4 tygodni. Warunki życia były trudne. Trzymano nas w budynkach ogrodzonych wysokim drewnianym płotem. Nie można było podchodzić do ogrodzenia i patrzeć przez szparę. Słyszać było tylko szum miasta. Zakwaterowano nas w dużych salach. Spaliśmy na podłodze na cienkiej warstwie słomy. Dwa razy w ciągu dnia przynoszono gorącą wodę, zupę i kawałek chleba. Raz w tygodniu wieziono nas do łaźni samochodami ciężarowymi pokrytymi plandeką.

Po 4 tygodniach przewieziono wszystkich na bocznicę kolejową i umieszczono w wagonach. Długi eszelon wyruszył w nieznaną drogę na początku lutego 1949 r. Były to wagony towarowe z półkami do spania, z dziurą w podłodze służącą do załatwiania potrzeb fizjologicznych. Było tak zimno, że woda w butelce trzymana „pod pazuchą” w nocy zamarzała. Po miesiącu jazdy w ciasnocie, głodzie i chłodzie pociąg zatrzymał się. Nie wiedzieliśmy gdzie jesteśmy. Wyszadzono nas i kazano zabrać wszystkie bagaże. Ludzie wysiadali i słaniali się na nogach osłabieni miesięczną jazdą bez możliwości wyjścia z wagonów. Mieliśmy się udać do najbliższych położonych zabudowań, które wskazali nam żołnierze. Było zimno i leżał bardzo obfity śnieg. Posadziliśmy z mamą dwójkę dzieci na kufer z naszym dobytkiem zabranym z domu i próbowałyśmy dotrzeć na wskazane miejsce. Mama ciągle się przewracała z osłabienia. Przeraziło nas to, co zobaczyłyśmy, gdy dotarłyśmy pod wskazany budynek. Była na nim umieszczona tablica z napisami w nieznanym nam języku i nieznanym alfabetem – chyba chińskim lub japońskim.

Zewsząd słyhać było płacz, bo nikt nie wiedział gdzie jesteśmy? Następnego dnia zwołano zebranie i powiedziano nam, że jesteśmy nad Amurem w Chabarowskim Kraju, na granicy z Chinami. To był punkt rozdzielczy dla zesłańców. Stąd rozpoczęło się rozwożenie rodzin według kryterium przydatności do różnych prac. Rodziny ze względu na wiek jej członków były kierowane do pracy w tajdze, w kołchozie lub na okoliczne budowy. Po tygodniu ja z mamą i dwójką małych dzieci zostaliśmy przewiezieni do posiołka Suchoputnyj Aeroport pod Chabarowskiem. Przeznaczono nas do pracy przy budowie lotniska i osiedla dla pilotów oraz pracowników lotniska, które miało być zbudowane przez zesłańców. Suchoputnyj Aeroport znajdował się około 20 km za miastem Chabarowsk. W posiołku (osiedlu) znajdowały się baraki, w których umieszczono zesłańców. Było tam 10 baraków. W każdym baraku znajdowało się 20 kajutek o wymiarze 2,5x3m. W nich mieszkała jedna rodzina.

Na terenie posiołka było biuro NKWD. Raz w tygodniu musieliśmy odznaczać tam swoją obecność. Osiedle nie było ogrodzone. Mogliśmy się po nim swobodnie poruszać, ale nie wolno nam było od niego oddalać się. Nie mieliśmy żadnych dokumentów. Na pierwszym zebraniu enkawudzista poinformował wszystkich mieszkańców, że pozostaniemy tu do śmierci. Stąd nie ma ucieczki bo nie mamy dokumentów, a kontrole w mieście odbywają się bardzo często. Wręczył też każdemu przydział do pracy. Mama została przydzielona do prac wykończeniowych na lotnisku, a ja do budowy domów dla personelu lotniska. Do pracy zawożono nas samochodem ciężarowym, a po jej zakończeniu przywożono do posiołka .



Chabarowsk. Wesele Polki Pauliny Partyki. Druga od prawej Anna Charchan.
Z przodu Jan i Stanisława Charchan

Był początek kwietnia, a tam panowała jeszcze sroga zima. Warunki bytowe były okropne. Byliśmy głodni, bo nikt nie troszczył się o to, co mamy jeść. Za pracę jaką otrzymywaliśmy, musieliśmy się sami utrzymać. W posiołku był jeden sklep spożywczy, ale prawie nic w nim nie było. Żeby coś kupić trzeba było jechać do Chabarowska. Jechało się tam po otrzymaniu przepustki wydawanej przez NKWD. Przepustka była wystawiona na określony dzień i godzinę. Po powrocie trzeba było oddać ją do siedziby NKWD w posiołku.

Straciliśmy nadzieję na powrót do Ojczyzny lub do swoich miejscowości, z których nas wywieziono. Wieś Czyszki, z której nas wywieziono, do 1939 roku była w granicach Polski. Znajdowała się 30 km od Przemyśla (był to dawny powiat Nowy Sambor, województwo Lwów). Po 17 września 1939 roku znaleźliśmy się na terytorium ZSRR. Czyszki zamieszkiwały rodziny polskie i ukraińskie. Nieliczne rodziny polskie opuściły wieś po 1945 roku i wyjechały do Polski. Większość rodzin polskich pozostała jednak na ziemi swoich przodków. Później prawie wszystkie zostały wywiezione w głąb ZSRR. Zesłańcy otrzymywali status „*spiecpieriesełca*” (zesłańca na specjalnych prawach)

i byli ludźmi pozbawionymi wszelkich praw obywatelskich – nie posiadali żadnych dokumentów tożsamości, przymusowo pracowali i podlegali ciągłemu nadzorowi NKWD.



Rodzina Charchanów po powrocie z zesłania (luty 1957 r.).

Stoją od lewej: Stanisława, Michał, Anna i Jan.

W środku siedzi Katarzyna Szydłowska

Najciężej żyło się nam za czasów Stalina. Panował wtedy okropny terror i prześladowania. Dopiero w 1956 roku (po wydarzeniach poznańskich w Polsce) pojawiła się szansa na powrót do Ojczyzny. Nie mogliśmy od razu powrócić do Polski. Brakowało mojego męża Michała Charchana. Został on bowiem aresztowany i skazany jako więzień polityczny na 10 lat. Karę odbywał w ła-

grach w okolicach Archangielska. Po zwolnieniu z łagru przyjechał do nas do Chabarowska.

Będąc razem, rozpoczęliśmy starania o powrót do Polski. Było to przedsięwzięcie nader trudne. Wierzyliśmy jednak w powodzenie podjętego trudu. Dowiedzieliśmy się bowiem, że Polska przyjmuje w ramach repatriacji Polaków przebywających w Związku Radzieckim. Nie od razu jednak pozwolono nam na wyjazd. Trzeba było mieć tzw. „wyzow” – czyli zaproszenie od krewnych z Polski. Pokonaliśmy jednak i tę trudność. Zaproszenie do powrotu przysłała nam moja kuzynka z Przemyśla. Za zaoszczędzone pieniądze kupiliśmy, też nie bez trudności, bilety kolejowe i cała rodzina przez punkt repatriacyjny w Terespolu szczęśliwie powróciła do Polski.



*

Anna Charchan

Wyjechaliśmy z Chabarowska 19 stycznia 1957 roku i 30 stycznia 1957 roku znaleźliśmy się na przejściu granicznym. Do Przemyśla dotarliśmy 1 lutego 1957 r. po 8 latach zesłania. Każdy członek mojej rodziny miał na start życiowy w Polsce garnuszek metalowy, łyżkę i 1 zmianę bielizny. Z tym zaczęliśmy życie w Polsce. Było bardzo biedne, ale jakże byliśmy szczęśliwi, że jesteśmy w Ojczyźnie.

*

Teresa Gospodarczyk – Wywiezieni na Sybir

Wspomnienia z pobytu na Syberii (Kazachstan) napisałam na podstawie relacji mojej teściowej Natalii Gospodarczyk oraz jej syna, a mojego męża, którzy zostali wywiezieni na zesłanie 10 lutego 1940 roku ze Stanisławowa, a powrócili do Polski w połowie czerwca 1946 roku. Przez wiele lat czas zatarł szczegóły, a mój wiek (83 lata) i stan zdrowia spowodował, że nie jestem w stanie przypomnieć sobie wszystko, co opowiadali mi po powrocie do Ojczyzny. Jedno z tego co pamiętam najbardziej, to że byli szczęśliwi z tego powrotu.



Natalia Gospodarczyk zmarła w Tczewie
14 marca 1973 r. w wieku 80 lat

Przed II Wojną Światową mój teść Stanisław Gospodarczyk wraz z żoną Natalią oraz synem Stanisławem mieszkali w Przemyślu (ul. Słowackiego, obecnie nr 88 – przyp. J. R.). Teść był zawodowym żołnierzem i po otrzymaniu nominacji na stopień kapitana służył w Centrum Szkolenia Łączności w Przemyślu, gdzie był znanym i cenionym wykładowcą. W 1938 roku został przeniesiony jako organizator szkolenia oficerskiego z Przemyśla do Stanisławowa (obecnie Iwanofrankowsk na Ukrainie).

W końcu sierpnia 1939 roku wraz z oddziałem został odkomenderowany na nadgraniczne tereny zachodnie. Gdy wybuchła II Wojna Światowa walczył do dnia kapitulacji Warszawy, a następnie dostał się do niewoli niemieckiej i całą okupację przeżył w oflagu w Murnau do 1945 roku. Po zakończeniu wojny będąc poważnie chorym został przez władze koalicji angielsko-amerykańskiej przewieziony do lazaretu w Szwajcarii, a następnie w 1947 r. przyjechał do Żywca, gdzie zmarł w szpitalu po dwóch tygodniach i tam został pochowany na cmentarzu parafialnym. Miał wówczas 52 lata.



Stanisław – syn Natalii Gospodarczyk
jako dziecko przebywał również na zesłaniu

Z chwilą wybuchu wojny jego żona Natalia z 13-letnim synem Stasiem (moim późniejszym mężem) ukrywała się po znajomych, zmieniając często miejsce pobytu, jednak wkrótce została aresztowana i wywieziona w głąb ZSRR. Dnia 10 lutego 1940 r. podjechała pod dom oficerski w Stanisławowie podwoda z NKWD i po pewnym czasie na dworcu kolejowym nastąpiło ładowanie tych rodzin do bydłych wagonów wyścielonych, a raczej posypanych słomą. W wagonach znajdowały się całe rodziny – po około 40 do 50 osób w każdym z nich. Z opisów wiemy, jak wnętrza tych wagonów były przygotowane. Dziura w środku podłogi i dwie półki wzdłuż ścian bocznych, na które ładowali się sprawniejsi i bez małych dzieci.

Moja teściowa była przezorna i już wcześniej suszyła chleb i przygotowała ciepłą odzież. Zabrała ze sobą znaczne toboły, bo nie mając małych dzieci i korzystając pomocy 13-letniego wówczas syna Stasia mogła sobie poradzić z większym bagażem, jak również ze zdobyciem miejsca na półce. Tak żyli ci umęczeni ludzie jadąc przez osiem tygodni w nieznaną dostając bądź nie raz dziennie zupę „wodniarkę” (kapusta i brukiew, bo ziemniaków było w niej mało) i kilka wiaderka letniego „czaju”.

Kolejność tułaczki w transporcie i przerzucanie ich w miejscowościach pośrednich umknęła mej pamięci, lecz pobytom dłuższym była mała osada Prestogorkowa w okolicy Kurganu. Zatrudnieni byli w gospodarstwie kołchozowym położonym w stepie z marnymi zabudowaniami. Było kilkanaście wychudzonych i kłaczystych krów. Znacznie więcej koni, ale brak świń i drobiu. Ludzie poza jednym budynkiem administracyjnym, mieszkali w ziemiankach, głęboko wkopanych w ziemię z jednym oknem w drzwiach wejściowych, które miały osłonę z desek przed wejściem. W środku była sień wiodąca do izby i chlewa dla krowy. Kury miały kącik w izbie mieszkalnej. Dla zesłańców był ogromny barak z przegrodami działowymi, komin i kuchnia. Teściowa zabrała ze sobą dużo wełny, bo świetnie umiała robić na drutach, co po kilku dniach pomogło jej nawiązać kontakt z wdową, która sama mieszkała w ziemiance, gdyż mąż i syn zabrani zostali do wojska. Później obaj zginęli. Teściowa chodziła do pracy w spichrzu, gdzie łątała worki lub szyła ręcznie worki z podartych wojskowych plandek. Zarabiała dodatkowo na jedzenie robiąc z włóczki piękne czapeczki dziecięce i wszelkie inne rzeczy, głównie dla dzieci, po które przyjeżdżali „władcy” z okolicy.

Stasia natychmiast po przyjeździe zawieziono w okolice Kurganu nad rzeką Tobol. Było to pustkowie, bez nazwy, step dla wypasu koni i stacja poczty. Wyznaczono go do obsługi koni na oddalonej w stepie stacji pocztowej. Staś był chłopcem wyrosniętym i oprócz tego należało do niego obrządzanie koni, koszenie trawy i ich karmienie. Transport poczty odbywał się wyłącznie konno. Była to miejscowość tak odległa, że nie dotarła tam nawet wiadomość o tworzonej Armii Kościuszkowskiej i dowiedział się o tym dopiero po bitwie pod Lenino. Na placówce gdzie go zatrudniono byli sami Kozacy, niezdolni do służby wojskowej. Byli dla niego bardzo serdeczni. Często wspominał dziadka Saszę, który nie zjadając swojej porcji, oddawał mu resztki. Był bezzębny, to też skórki chlebowe przypadały Stasiowi. Praca polegała na tym, aby codziennie jeździć wierzchem z listami w zaplombowanych workach, jechał sam pokonując odległość 60 km do następnego punktu. Nie jeździli nocą, bo dróg nie było, jeździli więc na wycucie. Co kilometr był wkopywany słup, którego w czasie wichury stepowej lub zawiei nie było jednak widać. Drzew nie było żadnych, a tylko rozsypane w przestrzeni kępy krzaków.

Ogromnym zagrożeniem były wilki. Każdy jeździec dostawał za pokwitowaniem kindżał, jako jedyną ochronę przed atakami wilków. Stasia bagnecik jest w pamiątkach wnuka Tomka. Zabił nim jednego basiora, gdy ten wczepił się kłami w szyję konia. Nie przebił koniowi tętnicy, a Staś zdążył kładąc się na szyi konia podciąć gardziel wilkowi. Przed wilkami uciekał często. Staś miał za zadanie odwożenie poczty do stacji komunikacji wodnej umieszczonej nad Irtyszem. Jechało się 120 km raz tylko zmieniając konia. Bywało nieraz, że konie

kluczyły i zawsze same wracały na trasę, której przecież nie było widać. Konie były małe, włochate, ale bardzo wyczuwały niebezpieczeństwo i znały trasę przejazdu. Tam Stasio nabrał miłości do koni, co idzie za nim przez pokolenia.

Organizacyjnie rok obejmował dwa okresy. Trzy letnie miesiące jeździło się „taczanką” i wtedy wiozło się dodatkowe worki z różnymi paczkami. Bardzo ciężko było konikowi, więc zwykle Staś szedł obok pieszo. Przez dziewięć miesięcy jeździł wierzchem, co koń lepiej znosił. Każdy ślad przejazdu był po godzinie całkowicie zawiany piaskiem, który falował w przestrzeni. Przeżył dwa wypadki – jeden walką z wilkami mocno poraniony on, ale gorzej poraniony był koń. Dotarł do celu pieszo, ciągnąc konia. Drugi wypadek przeżył jadąc na koniu po oblodzonych zboczach i wpadł razem z koniem między kry do Irtyszu.



Teresa Gospodarczyk – synowa Natalii Gospodarczyk

Jak wspomniałam wcześniej nikt przez pięć lat nie wiedział nic o wojnie, bo nie było gazet, a przesyłki były plombowane i nie można było nic przeczytać. Kozacy na stanicach poza jednym, który umiał czytać – byli analfabetami. Pierwszą wiadomość o formującym się wojsku polskim Staś otrzymał po bitwie pod Lenino. Dostali wtedy dodatkową porcję jedzenia.

Do kraju wracali przez obóz zbiorczy na Ukrainie, gdzie dostali dokumenty na przejazd. Wrócili w połowie czerwca 1946 r. mając w worku kilka szmat, 2 cynowe garnuszki, 2 takie same talerze, 2 łyżki, 1 nóż, bagnetek a z dużych zasobów biżuterii, którą zabrali z sobą jadąc na zesłanie pozostał złoty łańcuszek z medalikiem – pamiątka chrztu.

Po powrocie Staś rozpoczął naukę, ukończył szkołę średnią, zdał maturę. Dzięki nie ujawnianiu swego pochodzenia, przy pomocy znajomych z Warki wyrobił sobie zaświadczenie, że ma pochodzenie chłopskie i dlatego dostał się bez problemu na studia. Ukończył Politechnikę Gdańską w 1952 roku. Pracował w Instytucie Elektryfikacji i Mechanizacji Rolnictwa w Starym Polu na stanowisku kierownika działu. Już często od powrotu z zesłania chorował na owrzodzenie żołądka i astmę (jak ojciec). Zmarł 14 marca 1978 r. w Tczewie mając 51 lat.

Teściowa przed wojną była nauczycielką języka francuskiego i po powrocie mocno schorowana chciała podjąć pracę, ale nie otrzymała jej ani w szkolnictwie, ani jako tłumacz. Uczyła prywatnie francuskiego. Jak wróciłam z robót w Niemczech w Gdańsku poznałam Stasia. Rozumieliśmy się przez zbliżone losy. Pobraliśmy się w 1952 roku. Początkowo zamieszkaliśmy w Malborku, a od 1962 roku w Tczewie, gdzie otrzymałam mieszkanie w związku z przeniesieniem w pracy. Z nami mieszkała teściowa. Zmarła w 1973 roku w wieku 80 lat. Razem ze Stasiem pochowana jest w Zbliwie, gdzie od 1969 r. w rodzinnym grobowcu spoczywała nasza starsza córka (14 lat). Ja zostałam z młodszą córką, obecnie zamężną, która ma 2 synów i mieszka w Turzy.

Niniejsze wspomnienia dedykuję swoim wnukom, aby pamiętali o tragedii, która spotkała Polaków i przekazywali je pokoleniom oraz Panu Jerzemu Rożko z Przemysła, który przez 50 lat wytrwale dążył do ustalenia losów swego chrzestnego ojca, jego rodziny i cel ten osiągnął.

KRONIKA

- **OGÓLNOPOLSKA KAMPANIA EDUKACYJNA
FUNDACJI KRESY-SYBERIA „10 LUTY 1940 –
PAMIĘTAJMY O SYBIRAKACH” – EDYCJA 3**

Po raz kolejny, śladem dwóch poprzednich lat, Fundacja Kresy-Syberia w dniach 01-14.02.2013 r. zrealizowała ogólnopolską kampanię edukacyjną „10 luty 1940 – Pamiętajmy o Sybirakach”. W latach 1940-41 w czterech masowych deportacjach z terenów Kresów Wschodnich II RP zostało wywiezionych setki tysięcy polskich rodzin. Pierwsza deportacja, która miała miejsce w nocy 10 lutego 1940 należała do najtragiczniejszych. Członkowie Fundacji Kresy-Syberia, jako wnuki i dzieci Kresowian i Sybiraków, stale pamiętają o tych wydarzeniach. Zależy nam przy tym, aby o dacie ważnej dla każdego polskiego Sybiraka – niezależnie gdzie rzucił go ostatecznie los: 10 lutego 1940 – „dacie – kluczu” pamiętali wszyscy Polacy.

**10 LUTY 1940
PAMIĘTAJMY O SYBIRAKACH**

73 ROCZNICA DEPORTACJI POLAKÓW NA SYBIR

Szczegóły 3 edycji ogólnopolskiej kampanii społecznej
www.10luty1940.pl

Wirtualne Muzeum Kresy-Syberia
wspiera karta BZ WBK Kresy-Syberia.

ORGANIZATOR KAMPANII:
Fundacja
KRESY-SYBERIA
www.kresy-syberia.org

SPONSOR GŁÓWNY KAMPANII:
WBK Bank Zachodni WBK

PARTNERZY KAMPANII:
ams Stowarzyszenie
Filmowców
Polskich

Poprzez kampanię edukacyjną „10 luty 1940 – Pamiętajmy o Sybirakach” pragniemy przypomnieć o tej dacie wszystkim Polakom i ludziom na świecie. Niech pamięć o Sybirakach trwa w naszych sercach. O tych, którzy wrócili, jak i o tych, którzy na zawsze zasnęli na nieludzkiej ziemi. Tegoroczna edycja kam-

panii pragnęła ukazać jak ogromny wpływ na losy wielu setek tysięcy polskich rodzin miały masowe deportacje obywateli polskich do ZSRR. Ich konsekwencje trwające do dziś. Ukazać pogmatwane dalsze losy osób represjonowanych, ich obecne rozproszenie po świecie. Stąd na stronie kampanii dostępne były i są fragmenty relacji Sybiraków nagranych przez Fundację na całym świecie.

W celu szerokiego rozpropagowania idei kampanii zaktualizowana została strona internetowa poświęcona temu wydarzeniu www.10luty1940.pl, gdzie dostępny był jej szczegółowy program, materiały informacyjne. Cieszy nas, że po raz kolejny do uczestnictwa w naszej kampanii dołączyły także instytucje i organizacje pozarządowe z całej Polski zajmujące się tematem Sybiraków w skali krajowej, jak i lokalnej. W tym roku należeli do nich m.in. Instytut Pamięci Narodowej, Muzeum Wojska w Białymstoku, Centrum Dialogu Przełomy ze Szczecina, Muzeum II Wojny Światowej, Centrum Dokumentacji Zsyłek, Deportacji i Wypędzeń z Krakowa, Centrum Kulturalne w Przemyślu, Małopolskie Kuratorium Oświaty, delegatura w Tarnowie, ZHR w Płocku.

Z ich inicjatywy, a także Fundacji Kresy-Syberia w okolicach 10 lutego odbyło się szereg interesujących wydarzeń poświęconych upamiętnieniu losów Sybiraków – wystawy, pokazy filmowe, warsztaty edukacyjne, konferencje. W Warszawie Fundacja zorganizowała przy wsparciu Stowarzyszenia Filmowców Polskich interesujący pokaz cyklu filmów dokumentalnych „Zbrodnia na Kołymie” w reżyserii Józefa Gębskiego w dniu 9.02.2013 r. oraz w rocznicę deportacji spotkanie historyczno-artystyczne poświęcone losom Sybiraków, a następnie także polskich dzieci – uchodźców w Nowej Zelandii. Zostało ono połączone z promocją książki o ks. Wilniewczycu autorstwa ks. Andrzeja Chibowskiego. Cieszy nas, że w szeregu organizowanych w ramach kampanii uroczystości nie zabrakło członków Związku Sybiraków wraz z rodzinami, a także wielu osób w różnym wieku którzy pragnęli poznać historię obywateli polskich represjonowanych w czasie i po II wojnie światowej przez sowietów. Duże wsparcie zyskałyśmy dla naszej oddolnej inicjatywy także ze strony różnych środowisk, poprzez Internet, rozpowszechnienie materiałów informacyjnych o kampanii.

Serdecznie dziękujemy Wszystkim za wsparcie dla naszych działaniach i już teraz zapraszamy na 4 edycję kampanii „10 luty 1940 – Pamiętajmy o Sybirakach” w lutym 2014 r. Jednocześnie zapraszamy do przesyłania wszelkich informacji poświęconych organizowanym w Polsce i za granicą wydarzeniom poświęconym upamiętnianiu losów Sybiraków, które odbędą się w toku 2013 r. Będziemy je publikować na stronie kampanii, aby docierały do jak największej liczby zainteresowanych, a edukacja trwała cały rok.

Aneta Hoffmann

- **NAGRODA LITERACKA DLA ANATOLA DIACZYŃSKIEGO
W STALOWEJ WOLI**

„Gałązka Sosny” to miejska nagroda przyznawana w Stalowej Woli od 1999 roku. Pierwotnie była to nagroda czysto literacka i miała szerszy zakres terytorialny, później ograniczony do samego miasta. Utworzona została z inicjatywy ówczesnego prezesa Oddziału Rzeszowskiego Związku Literatów Pol-

skich, Wiesława Zielińskiego. Ówczesne władze miasta poczytywały sobie przyznawanie nagrody ludziom pióra za uświetnienie i honor dla lokalnej społeczności, toteż inicjatywę przyjęto pozytywnie. Zyskało to też gorący aplauz tutejszego nadsańskiego Stowarzyszenia Literackiego „Witryna”, założonego pod opieką i patronatem Oddziału Rzeszowskiego ZLP, obejmującego dziś swym zasięgiem spory obszar, głównie tereny dawnej Ziemi Sandomierskiej po wschodniej stronie Wisły.

* * *

W tym roku była to już 14 z kolei wręczenie Gałązki, w kategorii literatura zgłoszono 3 osoby piszące z literackiego kręgu „Witryny”, które wydały swoje utwory w poprzedzającym roku 2012. Spośród nich nagrodę otrzymał znany nam już z łamów naszego czasopisma Anatol Diaczyński, za całokształt twórczości, ze szczególnym uwzględnieniem wydanego w ubiegłym roku utworu prozatorskiego, zbioru opowiadań pt. *Tętent koni przez wieki*,

Autor, jak może pamiętać szanowni czytelnicy, jest w tutejszym krajo-brazie literackim nader ciekawą i nieco egzotyczną postacią, jest bowiem repatriantem z Kazachstanu, a obecnie mieszkańcem nadsańskiej Stalowej Woli w Ziemi Sandomierskiej, długoletnim członkiem tutejszego literackiego Stowarzyszenia „Witryna” oraz, od 15 lat, członkiem Oddziału Rzeszowskiego Związku Literatów Polskich.

Wywodzi się z rodziny polskich przesiedleńców z tzw. Marchlewszczyzny na Ukrainie sowieckiej, z której jeszcze przez wojnę wypędziły ją, podobnie jak mnóstwo tamtejszych Polaków, rozkazy Stalina. Dzieciństwo i młodość przeżył więc wraz ze swoją przesiedleńczą (właściwie zesłańczą) rodziną w dalekim, sowieckim wówczas Kazachstanie – ogromnym kraju, który budzi w Polsce nader egzotyczne skojarzenia. Był świetnym niegdyś jeźdźcem i myśliwym, pozostaje dziś dla nas doskonałym znawcą realiów azjatyckiego Środkowego Wschodu. Repatriacja do Polski to owoc jego wieloletnich, zaciekleńskich i upartych starań i od dzieciństwa piastowanych w sercu marzeń o wyśnionej, utraconej Ojczyźnie.

Jest autorem kilku głośnych książek o życiu polskich zesłańców w Kazachstanie, o historii Środkowej Azji..., i rasowym prozaikiem, z krwi i kości, tworzącym jędrne, soczyste „dania literackie”. Wielka szkoda, że poza Podkarpaciem nie był dotychczas znany na arenie literackiej w większym stopniu, poza środowiskami repatriantów i kresowian, jak np. Związek Sybiraków, którego jest członkiem. Toteż bieżące informacje o nim i jego twórczości pojawiają się w czasopiśmie Związku Sybiraków „Zesłaniec” i w literackim czasopiśmie „Lublin”, z którym też współpracuje jako tłumacz rosyjskojęzycznej poezji, które widzą w piszących osobach z tego środowiska ważny łącznik z historycznymi realiami naszych wschodnich sąsiadów, także w sferze kultury.

Największą popularność w latach 90tych przyniosły mu publikacje o polskiej diasporze kazachstańskiej, głównie książka pod wymownym tytułem *To my jesteśmy, Polsko*. Sam autor uważa ją za główną pozycję swojego dorobku literackiego i największą zasługę literacką. Wydano ją także u naszych wschodnich sąsiadów, w języku rosyjskim i ukraińskim, do tego ostatniego przyłożył rękę zmarły w ubiegłym roku pisarz i poeta z Kijowa, Jurij Zawhorodnij, twórca przekładu. Oto przegląd jego A. Diaczyńskiego w tej kategorii: *Myśmy do ste-*

pów unieśli Ojczyznę, Szczecin 1994; *Stepowe legendy. Powieści i opowiadania*, Białystok 1997; *To my jesteśmy, Polsko!*, Stalowa Wola 2000; *Po kraju, którego już nie ma*, Stalowa Wola 2002. Dotyczy to także wspomnieniowej już książki wydanej w języku rosyjskim: *O tych, pozabytych, skazicie choć słowo*, Stalowa Wola 2006

Dzieciństwo i młodość spędzone w Kazachstanie uczyniły z Diaczyńskiego autora opowiadań nawiązujących do krajobrazu, obyczajów, tradycji i folkloru tamtych stron (choć inspiracje i tematyka jego twórczości nie ograniczają się bynajmniej do tego). Kraj ten, w którym Pisarz przyszedł na świat ponad pół wieku temu w przemieszczającej polskiej rodzinie – mroczne czasy stalinizmu uczyniły (wbrew woli samych zainteresowanych) „tygłem kultur”, mieszaniną rozmaitych nacji ze Wschodu, Zachodu, a nawet Północy byłego sowieckiego imperium. Dodajmy do tego świadectwa ziemi, odkrywane przez archeologów – ślady licznych, nieobecnych już tam dzisiaj starożytnych i wczesnośredniowiecznych ludów, stepowych szczepów wędrownych różnej rasy

i pochodzenia, o których świat poza historykami dawno już zapomniał. Proza Diaczyńskiego wciąż, w wielu jego utworach, oddycha tym środkowoazjatyckim powietrzem, niesie ze sobą rozpalone nad suchym stepem słońce, gorzkawy zapach stepowego piołunu..., i przybliża nam tamten krajobraz, który znaleźliśmy dotychczas jedynie z rosyjskiej prozy Morisa Simaszki, np. ze zbioru opowiadań pt. *Jemszan* (w przekładzie R. Stillera i J. Litwiniuka).

Polski czytelnik zna to wszystko w bardzo niewielkim stopniu, więc utwory Diaczyńskiego mają też do odegrania wielką rolę popularyzacyjną, przybliżają bowiem czytelnikowi niezwykle bogatą historię tego terytorium i, poza przemieszczającymi się tam, sam autochtoniczny na tym obszarze naród Kazachów – jego genezę, transformacje i trudną współczesność. Pojawia się w nich literacko przetworzony motyw wykopalisk archeologicznych, w których autor niegdyś uczestniczył (*Kolczuga* ze zbioru *Legendy stepowe*), albo też stanowią one punkt wyjścia do snucia opowieści sprzed tysięcy lat, dobrze historycznie udokumentowanych, ale mieszczących się na pograniczu literatury fantastycznej, i taką właśnie opowieść odnajdujemy w jego ostatnim zbiorze *Tętent koni przez wieki* (2012 r.)

Zapowiedzią tej tematyki był już wcześniejszy zbiorek *Legendy stepowe*, w konwencji fantazji, styku współczesności i egzotycznego dla nas świata środkowoazjatyckiej, owianej legendą historii. Pewne analogie można odnaleźć w twórczości prozaika wojennego pokolenia, Ksawerego Pruszyńskiego, – tam także pojawia się senna fantazja zderzająca się z rzeczywistością, a także konfrontacje z kulturami Azji Środkowej. Można powiedzieć, że Diaczyński podjął się podążania tym tropem, niegdyś popularnym w naszej literaturze, potem nieco zagubionym.

Na przestrzeni lat 2005-2008 zobaczyliśmy także nieco innego Diaczyńskiego. Wydał on bowiem dwa tomy opowiadań, które uderzają odmiennieścią od jego poprzedniego pisarskiego dorobku. *Nadchodzi wieczór, więc pożartujemy*, Stalowa Wola 2005 oraz *Nadchodzi wieczór 2*, Stalowa Wola 2008. W tych swoich „wieczorach” zmienił on na naszych oczach, chociaż na pewno nie na zawsze, swoje pisarskie *emploi*, objawiając się jako rubaszny humorysta i satyryk.

Obecny tomik, za który został nagrodzony Gałązką Sosny – *Tętent koni przez wieki* – to powrót do tematyki kazachstańskiej, do zainteresowań historycznych i do motywów *historical fantasy*. Ale pojawiają się tu także humor i satyra, które czytelnik już poznał z cyklu zbiorów *Nadchodzi wieczór...*

Sam autor już kiedyś, dużo dawniej (10 lat temu) kandydował do Gałązki Sosny, ale zrezygnował, gdy przyszło mu stawać w szranki z etnografem i regionalistą księdzem Wilhelmem Gajem-Piotrowskim. W tamtym roku zgłoszony był za wspomnianą wyżej książkę *To My jesteśmy, Polsko*, którą nadal uważa za donioślejszą pozycję swojego literackiego dorobku. Stąd obecnie, odbierając nagrodę, zabrał głos i wspomniął o niej. Podsumował też miniony okres i stwierdził, że dzisiaj literat stoi w obliczu przeszkody, która wcześniej nie była tak dotkliwa: brakiem sponsoringu i mecenatu społecznego. A literaci z powinności to z reguły ludzie, którym się nie przelewa.

Diaczyński często wspomina dzieciństwo, kiedy to jako młody kołchozowy odmieniec zarazony bakcylem literatury spędzał każdą wolną chwilę w niewielkiej kołchozowej bibliotece. *Ani jednego dnia bez książki* – mówi parafrazując powiedzonko pewnego starożytnego greckiego artysty.

Takie były początki. Książki były oczywiście w języku rosyjskim i takie były początki literackie Diaczyńskiego, trudna repolonizacja językowa twórczości nastąpiła dopiero później. Pisał wtedy także niezłe wiersze (po rosyjsku i po polsku), jego wzorem był Lermontow i perski poeta, znany w całej Środkowej Azji Omar Chajjam. Dokonuje obecnie także przekładów poetyckich z rosyjskiego, kilka z nich pojawiło się we wspomnianym już czasopiśmie „Lublin”.

W prozie rosyjskiej takim wzorcem stał się M. Gogol, szczególnie wpływ wywarły jego gawędziarskie *Wieczory na chutorze w pobliżu Dikańki*. Ze środkowoazjatyckiej twórczości literackiej fascynował się kazachskim wieszczem Abajem Kunanbajewem, później kirgiskim Czingizem Ajtmatowem i gruzińskim Nodarem Dumbadze, a także rosyjskojęzycznym miłośnikiem Azji Środkowej Morisem Simaszko, autorem powieści i odpowiedzi historycznych. O wyborze prozatorskiej drogi literackiej zdecydowało rozczytywanie się młodzieńca w powieściach XIX-wiecznego mistrza powieści historycznej Waltera Scotta i wirtuoza krótkiej formy nowelistycznej, Guya de Maupassanta, do których wkrótce doszedł amerykański mistrz prozy satyrycznej, Mark Twain. Zainteresowanie prozą fantastyczną rozbudziło w nim po raz pierwszy opowiadanie *Przygoda w niebie* rumuńskiego pisarza Mircei Eliadego... a potem także rosyjska nowelistyka fantastyczna, najpierw z opowiadań niesamowitych, tak popularnych w literaturze wieku XIX (jak np. słynna *Dama pikowa* A. Puszkina; ponadto poza wspomnianym już Gogolem należy wymienić Aleksego Tołstoja. Następnie poprzez prozę M. Bułhakowa (*Mistrz i Małgorzata*) do literatury sf. wieku XX-tego, z Kiryłem Bułyczowem i braćmi Strugackimi na czele.

Odkrywanie polskiej literatury rozpoczęło się od *Trylogii* Sienkiewicza, wielokrotnie czytanej „od deski do deski”, potem także Krzyżaków oraz jego opowiadań i bajek. Głód polskiej literatury doprowadził do Mickiewicza i romantyków, ale także do fantastycznej powieści „szkatułkowej”. *Rękopis znaleziony w Saragossie* Jana Potockiego, której wpływ na młodego Diaczyńskiego trudno przecenić. Doszły do tego później opowiadania środkowoazjatyckie wspomnianego już Ksawerego Pruszyńskiego, oraz opowieści fantastyczne

z Dalekiego Wschodu znakomitego pióra Wojciecha Żukrowskiego (np. zbiorek *Nieśmiały narzeczony*). Z satyryków polskich najwięcej ma do zawdzięczenia popularnemu niegdyś Sławomirowi Mrozkowi.

Takie były podstawy, które ukształtowały jeszcze w Kazachstanie sylwetkę literacką Diaczyńskiego. Z westchnieniem mówi teraz o niewesołym fakcie, że pewnie tamtym było łatwiej, bo obecnie główną troską na głowie współczesnego polskiego literata jest poszukiwanie sponsorów. Los literata w jego odzyskanej, wyśniewanej Ojczyźnie nie jest pod tym względem usłany różami. – *Mówi się „trudno” i kocha się dalej* – dodaje na koniec z nieco smutnym uśmiechem zmęczonego człowieka.

Mirostław Grudzień

- **MIĘDZYNARODOWA SZKOŁA MUZEOLOGII
„ROSJA – XX WIEK: DIALOG POKOLEŃ”, PERM-36,
FEDERACJA ROSYJSKA**

W dniach 24 czerwca-3 lipca 2013 r. w okolicach Uralu, w małej wsi Kuczino, oddalonej 120 km od Permu, odbywała się Letnia Szkoła Muzeologii. Jej organizatorem było Memorialne Centrum Represji Politycznych PERM-36. Miejsce nie zostało wybrane przypadkowo. Tu bowiem, przez wiele lat istniał obóz przymusowej pracy Perm-36 (ros. *Пермь-36*). Początkowo zsyłano tu więźniów, głównie żołnierzy Armii Czerwonej z niemieckich obozów jenieckich, osoby które próbowały przedostać się na Zachód lub uznane za wrogów ZSRS. Trafiali tu również księża i zakonnicy. Po śmierci Stalina, w łagrze znalazły się osoby „odpowiedzialne” za „okresy błędów i wypaczeń”. W latach 70. i 80. zamknięci tu byli dysydenci i opozycja polityczna. Pierwsi więźniowie polityczni trafili do obozu w lipcu 1972 roku. Ostatni opuścili go w 1987 roku na podstawie ułaskawienia. W obozie odsiadywał wyrok m.in. znany rosyjski działacz na rzecz praw człowieka Siergiej Kowalow oraz urodzony na Suwalszczyźnie litewski dysydent Balys Gajauskas. W Perm-36, w niewyjaśnionych okolicznościach, w trakcie głodówki, w 1985 roku zmarł ukraiński poeta Wasyl Stus. Po 1988 roku część budynków zaadaptowano na szpital dla psychicznie chorych. W latach 90. na terenie byłego łagru powstało muzeum, mające na celu upamiętnienie represji politycznych z czasów ZSRS. To jedyne w Federacji Rosyjskiej muzeum zorganizowane na terenie byłego łagru. Teren podzielony był na dwie części: mieszkalną i pracowniczą. Oprócz budynków administracyjnych, zachował się jeden z czterech baraków mieszkalnych. Dziś jest w nim pokazywana ekspozycja stała: plansze wystawiennicze przedstawiające historię obozu, pamiątki związane z życiem i pracą więźniów. W czasach funkcjonowania obozu przetrzymywano tam ok. tysiąc zeków, w każdym baraku mieszkało 250 osób. Wszyscy pracowali przy wyrębie lasu.

W piątej już edycji szkoły, udział wzięli nie tylko muzealnicy rosyjscy, ale również dwoje pracowników Muzeum Wojska w Białymstoku. Osobą, dzięki której się tam znaleźliśmy był członek „Memoriału”, kierownik Muzeum Historii Represji Politycznych NKWD w Tomsku – Wasilij Chaniewicz, a prywatnie potomek Polaków, dobrowolnych osiedleńców z Polski, którzy osiedli w Rosji i założyli tam wieś Bielostok. Tematem przewodnim tegorocznej szkoły była pamięć. W trakcie 10-dniowych zajęć odbywały się wykłady i dyskusje

poświęcone socjologii, polityce i kulturze pamięci oraz pamięci o traumie. Nas szczególnie zainteresowały kwestie socjologiczne, czyli np. problem badania audytorium/zwiedzających, tak, aby poznać potrzeby i preferencje widzów i zgodnie z tymi oczekiwaniami budować instytucję. W czasie warsztatów i pracy w grupach mogliśmy wymienić się doświadczeniami z pracy muzealniczej, poznać zasady funkcjonowania muzealnictwa rosyjskiego. Pracownik Muzeum Wojska – Bogusław Kosel zaprezentował uczestnikom projekt oraz koncepcję budowanego w Białymstoku Muzeum Pamięci Sybiru. Program zajęć był bardzo intensywny, gdyż rozpoczynały się one o 10 rano, zaś kończyły około 21-22 wieczorem. W trakcie szkoły została zorganizowana wycieczka do Permu. Zwiedziliśmy miasto i obejrzelśmy zbiory kilku muzeów. Zwieńczeniem programu było przygotowanie projektu muzealnego: wystawowego, bądź edukacyjnego. Przygotowaliśmy – razem z Wasilijem Chaniewiczem – m.in. koncepcję przedsięwzięcia Białystok-Biełostok, w której planujemy realizację dwóch ekspozycji. Pierwsza, w Polsce, stałaby się częścią Muzeum Pamięci Sybiru, poświęconą dobrowolnemu osadnictwu na Syberii. Wykorzystanie artefaktów pozyskanych na Syberii, oryginalnych pamiątek, narzędzi uatrakcyjniłoby przekaz muzealny. W zamian pomogliśmy naszym rosyjskim przyjaciołom w przygotowaniu multimedialnej wystawy pokazującej historię osady, jej korzenie oraz dzisiejszą, polską diasporę. Taka współpraca, bez wątpienia niosłaby za sobą korzyści dla obu stron.

Podkreślić należy, iż zainteresowanie udziałem w tych warsztatach jest w Rosji dość duże, gdyż tylko w tym roku ilość zgłoszeń dwukrotnie przekroczyła liczbę miejsc. Certyfikat ukończenia szkoły otrzymały 22 osoby. Plonem wyjazdu było nawiązanie kontaktów z pracownikami muzeów rozlokowanych wokół Uralu, szczególnie, iż kilkoro z nich wspominało, iż w swoich zbiorach muzealnych natrafiali na *polonica*. W perspektywie planujemy podpisać porozumienie o współpracy z Memorialnym Centrum Perm-36, co zapoczątkuje prezentacją rosyjskiej wystawy o Polakach w Permie.

Muzeum odwiedza rocznie około 40 tysięcy osób, czyli biorąc pod uwagę, że najbliższe większe miasto położone jest 120 km dalej oraz to, że zimą ta okolica jest praktycznie niedostępna, to naprawdę dużo. Mówi się, iż PERM-36 to jedyny obóz pracy na świecie, do którego idzie się dobrowolnie. W pełni należy zgodzić się z tym stwierdzeniem!

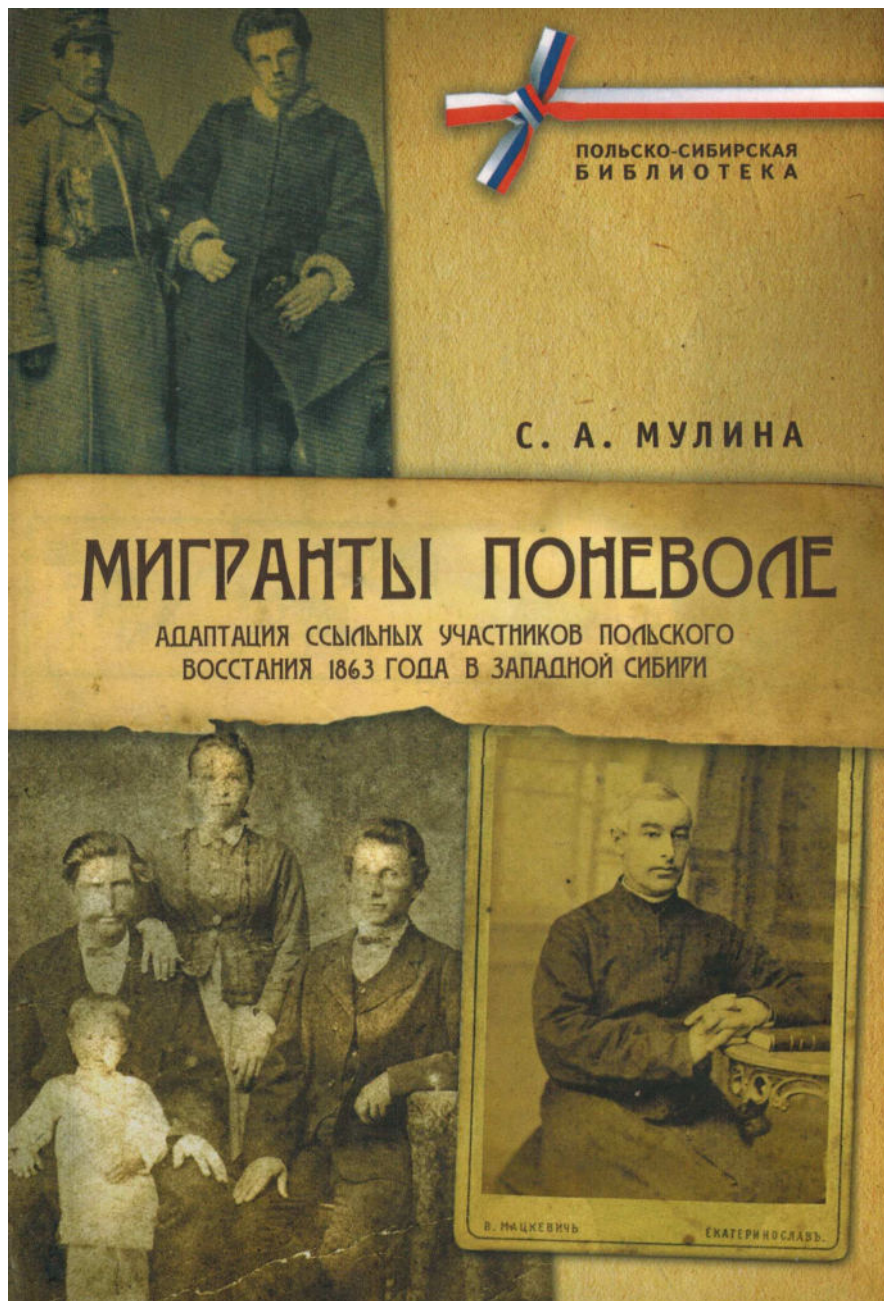
Sylwia Trzeciakowska

• WRĘCZONO NAGRODY „PRZEGLĄDU WSCHODNIEGO” 2012

Już po raz dwudziesty wręczono prestiżowe nagrody kwartalnika „Przeгляд Wschodni”. Ceremonia edycji jubileuszowej odbyła się tradycyjnie w Sali Balowej Pałacu Potockich na Uniwersytecie Warszawskim w wyjątkowo mroźny, jak na początek kalendarzowej wiosny, dzień 23 marca 2013 roku.

Za najlepszą publikację naukową poświęconą problematyce wschodniej wydaną w 2012 roku, mocą postanowienia jury, nagrodę w kategorii „Dzieła Krajowe” otrzymała dr Anna Engelking z Warszawy za książkę *Kotłochownicy. Antropologiczne studium tożsamości wsi białoruskiej przełomu XX i XXI wieku*,

opublikowaną przez Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Jest to, będące wynikiem ponad 10-letnich badań terenowych, obszerne, społeczne, historyczne i antropologiczne studium, będące kluczem do zrozumienia współczesnej Białorusi.



Okładka książki dr Swietłany Muliny z Omska nagrodzonej przez „Przegląd Wschodni” w kategorii „Dzieła Zagraniczne”



Słownik biograficzny o Polakach w Tomsku autorstwa W. Chaniewicza
nagrodzony w kategorii „Dzieła Zagraniczne”

W kategorii „Dzieła Zagraniczne” nagrodzeni zostali ex aequo: dr Swie-
tłana Mulina z Omska za pracę *Migranty poniewole: adaptacja ssylnych ucza-
stników polskowo wosstania 1863 goda w Zapadnoj Sibiri* [*Migranci przymu-
sowi: adaptacja zestańców – uczestników polskiego powstania 1863 roku*

w *Zachodniej Syberii*], wydaną przez Wydawnictwo „Aleteja” w Sankt Petersburgu oraz Wasyl Chaniewicz z Tomsku za pracę *Poliaki w Tomskie (XIX-XX ww.)*. *Biografii [Polacy w Tomsku (XIX-XX w.)*. *Biografie*], opublikowaną przez Tomski Państwowy Uniwersytet Pedagogiczny. Pierwsza z nagrodzonych książek jest znakomitą monografią poświęconą polskim zesłańcom, a dotyczącą obszaru dotychczas w sposób niewystarczający opracowanego, w oparciu o nową kwerendę źródłową. Natomiast W. Chaniewicz, urodzony w syberyjskiej wsi Białystok, badacz dziejów tamtejszej Polonii, a zarazem działacz Memoriału, zebrał wyjątkowy materiał biograficzny, dotyczący różnorodnych losów Polaków związanych z jednym miastem rosyjskim, Tomskiem.

Nagrodą w kategorii „Dzieje Polaków na Wschodzie” uhonorowano dr Helenę Krasowską z Warszawy za książkę *Mniejszość polska na południowo-wschodniej Ukrainie*, wydaną przez Instytut Sławistyki Polskiej Akademii Nauk. Autorka, zajmując się obszarem dotychczas niebadanym, na podstawie rozległych badań terenowych, opracowała wnikliwe studium historyczne, społeczne i kulturowe mniejszości polskiej zamieszkującej obwody doniecki i zaporoski, mające walor nowatorski zarówno pod względem naukowym, jak i praktycznym.

Nagrodę w kategorii „Popularyzacja tematyki wschodniej” otrzymała dr Agnieszka Biedrzycka za *Kalendarium Lwowa 1918-1939*, Wydawnictwa „Universitas”. Na podstawie bogatej bazy źródłowej, w tym rozproszonych materiałów prasowych, autorka opracowała ogromne informatorium, bez którego od-tąd nie będzie możliwa naukowa refleksja nad międzywojennym Lwowem.

Jubileuszową nagrodę Specjalną „Przeglądu Wschodniego” 2012 za całokształt badań, edycji i twórczości naukowej otrzymali dwaj badacze o imponującym dorobku naukowym: prof. Stanisław Alexandrowicz z Torunia, historyk specjalizujący się w dziejach Wielkiego Księstwa Litewskiego i kartografii oraz prof. Jerzy Kowalczyk z Warszawy, historyk sztuki, którego jednym z ważniejszych kierunków badań jest architektura późnobarokowa w Rzeczypospolitej ze szczególnym uwzględnieniem sztuki na dawnych Kresach Rzeczypospolitej. Obaj, dzięki kilkudziesięcioletnim rozległym pracom naukowym, wnieśli ogromny wkład w rozwój polskich badań wschodnich.

Nagrody „Przeglądu Wschodniego” za rok 2012 wspomogli: Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa oraz Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia. Patronat medialny sprawowało Polskie Radio dla Zagranicy – Radio Polonia.

Uroczystość poprzedziła koncelebrowana msza święta w intencji zmarłych Laureatów Nagrody „Przeglądu Wschodniego” odprawiona w kościele ss. Wizytek przy Krakowskim Przedmieściu. Jubileusz zwieńczył koncert utworów Stanisława Moniuszki, Karola Mikuli i Stanisława Niewiadomskiego.

Nagroda ustanowiona została w 1993 roku, wkrótce po powołaniu do życia „Przeglądu Wschodniego”, czasopisma poświęconego historii Europy Wschodniej od średniowiecza po czasy współczesne, będącego kontynuacją podziemnego „Obozu”. Dotychczas nagrodę tę, we wszystkich kategoriach, otrzymało 112 osób.

Ewa Ziółkowska

REGAŁ Z KSIĄŻKAMI

- ***Polacy w guberni archangielskiej w XIX i XX wieku*, pod red. naukową A. Kuczyńskiego i M. Marczyka. Seria wydawnicza: „Biblioteka Zesłańca”, Polskie Towarzystwo Ludoznawcze, Wrocław 2012, s. 374.**

Książka jest plonem konferencji naukowej poświęconej mało dotychczas przebadanej problematyce losów i liczebności polskich zesłańców na terenie Rosji europejskiej. Wiedza nasza ogranicza się w zasadzie do wąskiego przeciągu czasowego po procesie Filomatów, gdy część z nich w tym Tomasz Zan, Adam Mickiewicz, Jan Sobolewski i Ignacy Domeyko odbywała karę w centralnej części Imperium. Tymczasem cały obszar przestrzenny od ziem kolejnych rozbiorów włączanych do państwa rosyjskiego aż po skały Uralu i góry Kaukazu pozostaje słabo przebadany. Dobrze, że obecnie z inicjatywy Uniwersytetu Wrocławskiego, ściślej jego Ośrodka Badań Wschodnich zorganizowano konferencję poświęconą tej problematyce. Tym samym rozpoczęto etap intensywnych badań nad słabo dotąd opracowanym działem wiedzy o przebywających na zesłaniu lub pracujących czy służących karnie w rosyjskim wojsku Polakach w europejskiej części państwa carów. Omawiana publikacja skupia się na terytorium guberni archangielskiej, czyli na ziemiach leżącym na samej północy Rosji pomiędzy Finlandią a północnym Uralem.

Ziemia ta, choć zagospodarowywana od XVI wieku, z dużym portem umożliwiającym transport morski, była terytorium trudnym, o ostrym, mroźnym, a zarazem wilgotnym klimacie sprzyjającym rozwojowi wielu chorób. Śmiało obszar ten może być porównywany z klimatem północnej Syberii. Surowy klimat, nierównomierne i w sumie niewielkie uprzemysłowienie Ziemi Archanioła Michała sprawiały, że warunki zesłania były tam szczególnie trudne. Tym większa zasługa organizatorów konferencji, plonem której jest ukazanie historii zesłańców na wspomnianym, słabo przebadanym terytorium, na przestrzeni dużego odcinka czasowego. Długie trwanie polskiego trudnego pobytu w tym kącie Rosji europejskiej jest świadectwem – jak wskazują przedstawione materiały – żywotności negatywnych, imperialnych tradycji istniejących, a nawet rozwijanych w czasie przemiany carstwa w Związek Socjalistycznych Republik. Ustrój Rosji się zmienił, metody karania Polaków przez kolejne władze pozostały nadal bardzo podobne. I prawie takie same były warunki przymusowego życia zesłańców na nieludzkich ziemiach.

Osiemnaście referatów zamieszczonych w tomie *Polacy w guberni archangielskiej w XIX i XX wieku* obejmuje tematycznie okres czasu od lat 1860 to znaczy od kar zesłańczych z powodu burzliwych i krwawych wydarzeń poprzedzających powstanie styczniowe, przez lata drugiej wojny światowej, po rok 1946 przyjęty jako rok powrotu zesłańców do ojczyzny, już Polski Ludowej.

Tom ma – jak okazują zgromadzone referaty – formę otwartą, sięga bowiem od czasów Filomatów aż do wojennych przeżyć świetnego neurologa Stanisława Wawrzyńczyka i jego losów zesłańczych w późnych latach czterdziestych, przez 1949 rok, w którym zostaje on osadzony w Workucie. A w następnych latach walczy nasz lekarz z chorobami zakaźnymi w innych obozach na terenie rejonu archangielskiego i Syberii. Do Polski uwolniony z zesłania wraca dopiero po śmierci Józefa Stalina i pewnych zmianach w Związku Radzieckim ale i w Polsce. Jest to już po roku 1956, co umożliwia mu nie tylko powrót do kraju, ale i pracę w wyuczonym zawodzie specjalisty neurologa. Tym samym tekst Zofii Strzyżewskiej o polskim lekarzu, zesłańcu i akowcu wychyla się poza czas drugiej wojny światowej i pokazuje jak nasze losy opierają się chronologii historycznej. Jak cierpienie, ale i praca dla innych wykracza poza zdawałoby się zamknięty okres wojennej polskiej doli i jak trudno ludzkie, nasze polskie losy, zamknąć |w szufladzie sztywnych dat.

Ta rozpiętość czasowa referatów obejmująca całe stulecie trudnej i dynamicznej historii naszego kraju i narodu, układ chronologiczny drukowanych tekstów sprawia, że w zasadzie mamy do czynienia nie ze zbiorem luźnych, ogłoszonych w czasie trwania konferencji tekstów, ale ze specyficznym typem monografii, która ma wielu autorów, dużą rozpiętość tematów, bogatą bazę źródłową, przy równocześnie bardzo jednolitym zamyśle merytorycznym i wymowie naukowej książki.

Publikację otwiera rozprawa Ludmiły Kononowej o polskich zesłańcach przybyłych na ziemię Archanioła Michała po wizycie w Warszawie cara Aleksandra II, którego przywitano w stolicy Królestwa Polskiego nieomal entuzjastycznie, ale który rozczarował polskie społeczeństwo oczekujące zwiększenia autonomii Królestwa Polskiego. Dwa niecałe lata po tej wizycie powstaje w Warszawie pierwszy komitet spiskowy posiadający liczne niewielkie koła, a pierwsze demonstracje publiczne zorganizowała buntująca się młodzież w czerwcu 1859 roku. Rok później z okazji pogrzebu generałowej Sowińskiej wystąpienia są już liczne. Narzucone dodatkowe egzaminy na Akademii Medycznej wzburzyły koła młodzieży studenckiej. Sytuacja międzynarodowa sprzyjała niepokojom. Namiestnik Gorczakow ściągnął do stolicy dodatkowe oddziały wojskowe. Zaczęły się demonstracje. I zatargi z policją. Zimą 1861 roku doszło do starć zbrojnych i z policją i z wojskiem. Pierwsi skazani uczestnicy powstania styczniowego trafili właśnie na północ Rosji. Ich przybycie odnotowuje Kononowa. Otwierają oni długi szereg powstańców styczniowych skazanych na pobyt na terenie północnych ziem Rosji europejskiej. Praca Kononowej wzbogaca naszą wiedzę o powstańcach styczniowych. Do tej pory polskie prace podkreślają zdecydowaną przewagę młodzieży szlacheckiej wśród represjonowanych uczestników zająć lat 1860-1865. Tymczasem najwięcej według rosyjskiej badaczki jest wśród zesłańców młodzieży mieszczańskiej, na pierwszym miejscu pod względem liczby plasują się według jej badań warszawiacy to 33% zesłanych, na drugim miejscu 9% to mieszkańcy Lublina, ale są i z innych miast. Czyżby to oznaczało, że w okolice Archangielska zsyłano przede wszystkim uczestników wydarzeń 1860 i 1861 roku tak interesująco opisanych przez Kraszewskiego w *Dziecięciu Starego Miasta* ?

Część z zesłańców przebywała w obozach – pisze Kononowa – duża ich liczba była pod stałym nadzorem policji notuje. Dotarcie do policyjnych archi-

wów sprawiło, że referat przekazuje nam obszerną, szczegółową, wiedzę o pobycie Polaków na zesłaniu w guberni archangielskiej, o warunkach życia skazańców w tym kącie Rosji, nadzorze śledczym, kontroli korespondencji i tym podobnych przykrościach doświadczanych codziennie przez przebywających tam karnie Polaków.

Zwraca uwagę w omawianym tomie rozprawa Zbigniewa Wójcika przypominająca nam, iż na Ziemię Archangielską powoływał się już Mickiewicz, gdyż dwaj jego koledzy Jan Sobolewski i Jan Haydatel pracowali tamże przy pracach hydrobudowlanych. Pierwszy z nich zostawił tam swoje kości w niewiele lat po przyjeździe. Wójcik pracowicie ustalił, że nasi rodacy przyczynili się zwłaszcza do poznania warunków przyrodniczych wysp Nowej Ziemi, autor referatu podkreśla wkład polskich badaczy w wiedzę o tamtym terenie. Przede wszystkim zesańca Adama Piwowara, a także i pracę badawczą akademika Bery i szefa wyprawy Cywolki kierujących naukowymi ekspedycjami. Przyczynili się oni do poznania klimatu i geografii wyspy. Zawdzięczamy owym pionierskim ekspedycjom pierwsze mapy tamtego rejonu. Interesujące w referacie Wójcika są informacje o tym, jak Uniwersytet Warszawski dbał o swoich studentów, dzięki czemu na przykład Konstanty Wołosowicz mógł prowadzić na zesłaniu badania i na ich podstawie nawet obronić w Warszawie rozprawę kandydacką.

Czas drugiej wojny światowej także Polacy w Workucie – przekonuje autor – spędzali pracowicie zbierając okazy flory, a jeden z zielników trafił nawet do zbiorów Uniwersytetu Wrocławskiego. Karały bowiem Polaków władze, ale ludzie miejscowi często okazywali im życzliwość, stąd zesłańcy starali się okazać wdzięczność i służyć nieludzkiej ziemi swoją życzliwością i wiedzą przekonują badania Wójcika.

Ciekawym i rzetelnym w omawianym tomie – już z innego zakresu czasowego – jest artykuł Adama Dobrońskiego oparty na trudno dostępnych i mało znanych dokumentach archiwalnych Rządu Londyńskiego. Znany i ceniony badacz historii XIX wieku tym razem śledzi dzieje Delegatury Ambasady RP w Archangielsku i przyległych terenach w latach początkowych drugiej wojny światowej. Układ Sikorski – Majski umożliwił powołanie tej placówki, która miała pomóc Polakom tam przebywającym i zarazem kontrolować przechodzące przez port w Archangielsku zaopatrzenie dla powstającej polskiej Armii. Szefem placówki został kpt. Józef Gruja drugi sekretarz Ambasady. Jego raporty i do Ambasady i do Rządu RP pokazują z jakimi trudnościami musiał się zmagać kapitan, jakie przeszkody stawała działalności Ambasady lokalna radziecka administracja.

Z tekstu Dobrońskiego wynika również, że interwencje i nasze i Rządu Jego Królewskiej Mości u centralnych władz ZSRR niewiele przynosiły skutku mimo gładkich frazesów i zapewnień o życzliwości i chęci przyjscia Polakom z pomocą. Nędza i trudny klimat sprawiały, że przebywający tam nasi rodacy starali się za wszelką cenę zmienić miejsce pobytu, przenieść się bardziej na południe. Zabiegał o to i sam II Sekretarz Ambasady, ale mimo szczegółowych danych o liczbie i rozmieszczeniu skupisk polskich – nie mógł tego dokonać bez aktywnej współpracy władz regionu, które słownie tylko deklarowały chęć pozbycia się niechcianych przybyszów. Wobec stwarzanych trudności przez władze regionu kapitan zapytywał rząd w Londynie czy jest sens utrzymywania agendy

Ambasady na tamtym terenie. Tekst Dobrońskiego przekonuje, iż Rząd Londyński miał dobre rozeznanie i w liczbie i w problemach Polaków rozszaniach na przestrzeni między Finlandią a północnym Uralem. I podejmował energiczne kroki by nieść rodakom pomoc i przywrócić ich w krwiobieg narodowego i światowego bytu. Tekst referatu uzupełnia Aneks, będący w zasadzie oddzielnym opracowaniem – jest to bowiem opis ciekawego fragmentu biografii nauczyciela Gimnazjum w Drohiczyne Jana Płataka, jednego z wielu Polaków wywiezionych w czasie okupacji radzieckiej na zesłanie w okolice Archangielska. Następnie po krótkim pobycie w Armii Andersa, skierowanych do Wielkiej Brytanii w celu zasilenia alianckich formacji lotniczych. Taka była właśnie droga filozofa i nauczyciela Jana Płataka. Udało się Dobrońskiemu w tej rozprawie połączyć Podlasie i jego historię z polityką i historią światową.

Artykuł Iriny Dubrowiny z Rosji przedstawia mało znany zespół łagrowy nad Małą Wschodnią Dwiną. Oparto go na materiałach archiwalnych, przez co wzbogaca naszą wiedzę dotyczącą losów Polaków w tym rozległym zespole łagrów i należy do ważnych uściśleń łączących znaną przestrzeń łagrową z przestrzenią jeszcze niezbadaną.

Z tekstem Dobrońskiego koresponduje szczegółowy referat Albina Głowackiego o akcji przesiedlenia Polaków z tamtego zakątka, podjętej przez Związek Patriotów Polskich w ZSRR. Akcję poparły najwyższe władze państwowe i obwodowe kraju. Głowacki relacjonuje sposoby organizacyjne przesiedlenia, podaje liczby skupisk polskich, odnotowuje liczbę dzieci w sierocińcach obwodu. Akcja organizacyjnie się powiodła, choć nie bez pewnych problemów. Polacy z północnych regionów zostali przewiezieni na Powołże i Ukrainę, ale ich los znacznej poprawie nie uległ. Trafili w klimat łagodniejszy, ale to wszystko. Duży wpływ miała wojna, ale chyba i pewna niemoc administracyjna. Północ pozbyła się problemu, południe niechętnie podjęło nowe obowiązki. Głowacki notuje, że wynędzniałych zesłańców wspomagały zasobami swoich wojennych piwniczek miejscowe Ukrainki broniąc tym samym o głodowej śmierci kobiety i dzieci

W sumie książka *Polacy w guberni archangielskiej w XIX i XX wieku* dostarcza dużej wiedzy faktograficznej, ale też wymaga od czytelnika samodzielnego oglądu problemów i własnych refleksji. Czas bowiem omawiany w publikacji był niezwykle trudny i nie jest, zwłaszcza lata 1939-1956 jeszcze dobrze poznany. Lektura nie jest łatwa, gdyż nie chodzi przecież tylko o martyrologię narodową, ale i o związki jednostkowych losów z polityką europejską a nawet światową, czego przykładem i dzieje polskiego lekarza i gimnazjalnego nauczyciela. Także pewne mity obiegowe szczegółowe badania stawiają pod znakiem zapytania, jak na przykład głęboka ponoć niechęć między nami a Ukraińcami w czasie II wojny. Budzi też refleksję fakt, że port w Archangielsku, względnie bezpieczny i znacznym stopniu pośredniczący w zaopatrzeniu i ZSRR i Armii Polskiej w broń, amunicję oraz prowiant nie wpływał w sposób znaczący na losy przebywających tam Polaków. Jednym słowem książka staranna edytorsko nie jest lekturą rozwiązującą i wyjaśniającą wszystkich problemy polskiej egzystencji na Ziemi Archanioła Michała, ale na pewno otwiera nowe, perspektywy badawcze istotne dla historii najnowszej.

Barbara Noworolska

- Anna Rudawcowa, *Wiersze z Sybiru*, postł. Jerzy Fiećko, Gliwice 2013, s. 56.

Na tomik *Wiersze z Sybiru* składają się utwory napisane przez Annę Rudawcową podczas zesłania do Kazachstanu w latach 1940- 1945. Zbiór został wydany ponad dwadzieścia lat po śmierci zesłanki dzięki staraniom jej syna, Bohdana Rudawca. Poetka wraz z dwójką dzieci w kwietniu 1940 roku została wywieziona z Grodna w głąb Związku Radzieckiego, zaś jej mąż – aresztowany przez NKWD i zamknięty w obozie. Pomimo ciężkich i niewolniczych warunków Rudawcowa w czasie zesłania angażowała się w życie kulturalne, organizowała spotkania mające na celu wzajemne wspieranie się oraz, a może przede wszystkim, pisała wiersze, co narażało ją na szykany ze strony sowieckiej władzy. W 1946 roku wróciła do Polski i osiadła w Gliwicach. W buciku syna, Bohdana, przewiozła stworzone przez siebie utwory, które w okresie PRLu nie mogłyby być wydrukowane. Mąż poetki pozwolenie na powrót do ojczyzny otrzymał dopiero w 1953 roku.

Zbiór *Wiersze z Sybiru* stanowi zapis czy też swoiste świadectwo traumy, jaką doświadczała wspólnota zesłańców w głąb Rosji. Kazachstan w wierszach Rudawcowej jawi się jako kraina niewolniczej pracy, niezasłużonej kary, ciężkich warunków do zamieszkania, wiecznego głodu oraz śmierci. Wspomnienie życia w ojczyźnie oraz poczucie tożsamości narodowej pozwala mieć nadzieję na kres cierpienia oraz staje się sposobem znoszenia katorżniczych warunków egzystencji. Poetka w wierszu *Do braci* los, który spotkał prześladowanych Polaków, określa jako „zły”, zaś doświadczenie zsyłki jako zapadnięcie w „żelazne tryby”. Rudawcowa w tym utworze (jak również w innych) podkreśla, iż los, jaki spotkał wygnańców stanowił karę za niepopelnione winy. W *Siostrze-Tułaczce* opisała los zesłanych jako doświadczenie utraty bliskich osób, podróży ku dzikim krainom, samotności oraz krzywdy, pamięci idealizującej przeszłość w Polsce. Życie przed wkroczeniem wojsk sowieckich w *Wierszach z Sybiru* jawi się jako bytowanie w świecie idealnej harmonii człowieka z naturą, a zatem jako opozycja do ciężkiej egzystencji w Kazachstanie, gdzie przyroda stanowi nieustanne zagrożenie dla życia i bezpieczeństwa. Los kobiety zesłanej poetka porównuje do losu szlachcianki, która utraciła majątek; „Księżniczki w łachmanach”. Rudawcowa miała świadomość, że to, co spotyka Sybiraków, znajduje się poza wszelkimi wyobrażeniami osób na zachodzie Europy. Toteż w kołysance *Kraj z Baśni* przywołuje obrazy utraconej ojczyzny. Sen dla dzieci zesłanych stanowi ucieczkę od świata pełnego dusz zmarłych, dzikich i niebezpiecznych zwierząt, przeraźliwego zimna. W wierszu *Noc Sylwestrowa* Rudawcowa nakreśliła piękny i wzruszający obraz przeżywania ostatniego dnia roku 1941 na zesłaniu. Dla wygnańców ów rok był czasem cierpienia, początkiem apokalipsy. Nowy Rok niesie ze sobą obietnicę zmiany i wybawienia, ale czy aby nie złudnej? Poeta wierzy w ocalenie, chociaż wydaje się ono irracjonalne i niemożliwe. Powrót do domu i kres męki porównuje do cudu zmartwychwstania. W utworze *13 kwietnia* przedstawiła dzień, w którym do drzwi jej domu w Grodnie zapukało NKWD, a tym samym rozpoczęło się jej wygnanie i cierpienie. Los, na który została skazana, porównuje do wyroku śmierci, zaś siebie samą określa mianem męczennicy. W *Oczach Matki* został zobrazowany ciężar macierzyństwa na zesłaniu. Doświadczenie wygnania, głodu, trwogi powoduje utratę czułości i chłód zauważalny dla dzieci. Sybirak, jak

zaznaczyła poetka, wraz z trwaniem bytowania na zesłaniu traci zdolność odczuwania emocji; „Oczy waszej Matki / Już nie zaśmieją się i nawet... nie zapłaczą”. Chata zesłańca to miejsce nędzy, głodu i zimna, w której pomimo wszystko należy przetrwać, ocaleć, aby powrócić do ojczyzny:

Nie! Przetrwać wszystko – głód i mróz piekący
 Nie mówić nic, nie skarżyć się nikomu,
 Jak wściekły pies zaszczuty, zdychający,
 Ostatkiem sił chcę dowlec się do domu!

Wybawienie z losu zesłańca dla Rudawcowej jest jednoznaczne z powrotem do Polski, który z kolei porównywany jest do powstania z grobu. W święcie Wielkanocy poetka odnajduje nadzieję i przepowiednię ocalenia, gdyż zesłanie porównuje do ukrzyżowania. W wierszu *Golgota* poprzez odwołanie do ewangelicznego przekazu została przedstawiona wizja wygnania jako konania na krzyżu. Poetka nie utożsamiała Sybiraków z Chrystusem, ale w analogii pomiędzy nimi upatrywała nadziei na kres cierpienia. Podobnie w *Improwizacji Wigilijnej* Rudawcowa odwołuje się do opisu narodzenia Jezusa, by ukazać podobieństwo pomiędzy jego doświadczeniami a wygnańców. W *Budowie* wzywa zesłanych do Kazachstanu, aby nie poddawali się oraz dążyli do odbudowania siły, człowieczeństwa i poczucia przynależności narodowej. Natomiast w wierszu *Umarli wracają* porównuje więźniów po otrzymaniu amnestii do ludzi wychodzących z dantejskiego piekła, przed którymi piętrzy się trud poszukiwania utraconej rodziny. Poetka w imieniu wspólnoty zesłanych (w *Litanii Wygnańców*) kieruje do Matki Boskiej jako Królowej Polski błaganiami o ratunek. Natomiast w *Sądzie ostatecznym* wznosi prośby do Boga, aby wprowadził w końcu sprawiedliwość lub chociaż współczuł Sybirakom. Rudawcowa oskarża Polskę w utworze *Oskarżam* o ściąganie cierpienia na obywateli, aby stworzyć apologię ojczyzny jako wzoru wolności i służenia wartościom. Marzenie senne (opisane w *Snie o Polsce*), przypominające życie przed wojną, dla poetki stanowi źródło tak silnej błogości, że przestaje odczuwać żal za doświadczenie wygnania i wojny. Chociaż w *Liście do Jangi Juli* zostało zarejestrowane przekonanie wygnańców o tym, że warunki egzystencji na zesłaniu są nieznanne i zupełnie obce osobom, którego jej nie przeżyły; nieludzkie. W wierszu *Powrót* z 1946 roku, zamykającego cykl *Wiersze z Sybiru*, Rudawcowa zobrazowała w niezwykle wzruszający sposób radość z powrotu do Ojczyzny. Koniec zesłania i odzyskanie utraconej Polski stanowi spełnienie nadziei wybawienia, które w krainie zimna i głodu jawiło się jako niemożliwe.

Wiersze Rudawcowej stanowią niezwykle piękne i wzruszające świadectwo oraz zapis doświadczeń osoby zesłanej w głąb Rosji w czasie II wojny światowej. Dodajmy, że ich tworzenie wymagało wielkiej odwagi, gdyż narażało na szykany ze strony NKWD. W zbiorze *Wiersze z Sybiru* odnajdujemy utwory przeznaczone dla dzieci oraz wpisujące się w tradycję martyrologiczną. Poetka niejednokrotnie odwołuje się do przekazów ewangelicznych o życiu Jezusa, aby zobrazować doświadczenie wygnania. Wiara w powrót do ojczyzny i religijność zostały przedstawione w utworach Rudawcowej jako jedyne źródło zrozumiałości, sensowności i nadziei na ocalenie Sybiraków. Umożliwiały przetrwanie w krainie spełniającej się apokalipsy.

Katarzyna Fedorowicz

- **Anna Gomóła, *Jan Michał Witort. Wprowadzenie do antropologii pokolenia „ludzi naukowych”*, Wydawnictwo Exemplum, Uniwersytet Śląski w Katowicach, Poznań – Katowice 2011, s. 255.**

Książkę Anny Gomóły można traktować jako nową propozycję metodologiczną spojrzenia na dorobek naukowy i poglądy polityczne Jana Witorta. Dotychczasowe publikacje, dotyczące jego pracy i życiorysu, znamy przede wszystkim z artykułów Antoniego Kuczyńskiego i Zbigniewa Wójcika, zamieszczonych w „Ludzie” (t. 81, 1997, s. 209-252) i „Wrocławskich Studiach Wschodnich” (t. 2 (1998), s. 176-179). Powołując się na ustalenia obu badaczy, Anna Gomóła wybrała jednak inną drogę rozpatrywania postaci Witorta. Zaczepnięte w podtytule określenie „ludzie naukowci” zostało zapożyczone z publikacji Zygmunta Wasilewskiego. Inspiracją dla autorki była książka *Warszawa współczesna w dwunastu obrazkach* (Lwów 1903), w której zawarł on charakterystykę osób parających się działalnością naukową. Spośród liczącej ponad 200 pozycji bibliografii Witorta, A. Gomóła wykorzystała przede wszystkim trzy opracowania; jego autobiografię, rękopis *Znad brzegów Morza Białego* oraz niepublikowane listy do Antoniego Kaliny. Zgromadzone materiały, służące do rekonstrukcji biografii i historii pracy naukowej Witorta, poddała liczącej kilkadziesiąt stron analizie w rozdziale „Antropologia autobiografii” (jako jedno z uzasadnień tytułu przytacza zdanie E. Kasperskiego, że „refleksja antropologiczna jest rodzajem zbiorowej autobiografii naszego gatunku” (s. 57).

Trzeba podkreślić, że dla znawców jest to ważna część książki. Autorka sięga tu po metody zaczerpnięte z innych nauk humanistycznych, które wyjaśniają lub podkreślają wiarygodność „modelu losu badacza kultury”. Zwraca przy tym uwagę, że *Autobiografia* jest „dokumentem podstawowym dla analizy stawania się badaczem i naukowcem w epoce, w której badania naukowe nie były synonimem działalności uniwersyteckiej, ale znakiem postawy badawczej, cechującej pewną część inteligencji ukierunkowanej na pełnienie misji patriotycznej w warunkach szczególnych niestandardowych, ale wymagających ściśle określonych predyspozycji” (s. 24).

W dalszej części autorka zadaje sobie pytanie, czy Witort uważał się za badacza o statusie porównywalnym z pozycją uczonego uniwersyteckiego (zgodnie z przyjętym wcześniej przez nią podziałem osób, którym nie można przypisać formalnych wyznaczników naukowych, począwszy od dyplomu ukończenia studiów, przez zdobywanie kolejnych stopni i zatrudnienie w placówce naukowo-dydaktycznej lub ośrodku badawczym). Czyni to jednak w innej perspektywie, niż zwykliśmy spotykać w większości książek biograficznych.

Zarówno w podtytule, jak i w dalszych częściach publikacji, autorka konsekwentnie używa słowa „antropologia”. Zaproponowana w pracy metoda analizowania problemu pozostaje w zgodzie z deklarowanym przez nią kierunkiem zainteresowań, których jest znawcą. Oczywiście, przyjęta konwencja posiada swoje konsekwencje, przede wszystkim w wyborze materiału badawczego, dotyczącego sytuacji modelowych, obejmujących tylko część biografii Witorta. Rozdziały temu poświęcone obejmują przez wszystkim dzieciństwo, lata szkolne, studia, samokształcenie, wczesną działalność patriotyczną, więzienia i zesłania, pracę oświatową oraz współpracę z czasopismami. Publikacji Witorta

podano przy tym niewiele, zważywszy na jego imponujący dorobek. Kto by więc chciał dowiedzieć się czegoś nowego o badaczu, nieznanego z ogólnodostępnych publikacji, poczuje pewnie pewien niedosyt, dla kogo zaś autobiografia, wspomnienia czy listy będą podbudową dla rozważań metodologicznych, nie rozczaruje się (dotyczy to chociażby ciekawego uzasadnienia wykorzystywania dokumentów osobistych, analizowanych za pomocą metod stosowanych w naukach humanistycznych).

Po przeczytaniu książki, pewien niedosyt poczułam również i ja, choć nie jest to zarzut wobec autorki. Z dużą uwagą przeczytałam rozdziały „Więzienia i zesłania” oraz „Być uczonym”, ze względu na moje osobiste zainteresowania jego przyjacielem Sewerynem Grosse. Jednak tu właśnie dostrzegłam pewne niejasności w postępowaniu Witorta. W dużym skrócie problem ten rysuje się następująco:

Spośród ocen polskich badaczy zajmujących się etnografią ludów pozaeuropejskich, dość często przywoływane jest zdanie Witolda Jewsiewickiego, zawarte w publikacji *Polacy jako badacze i obserwatorzy kultury Azji Środkowej i Kazachstanu* (w: *Historia kontaktów polsko-rosyjskich w dziedzinie etnografii*, 1976). Mówi ono o wysokich walorach poznawczych artykułu *Ze stepów Azji Środkowej*, której autorem jest Witort. W pracy tej znalazłam jednak sformułowanie identyczne z fragmentem książki przypisywanej Grossowi *Materiały dla izuczenija juridycznych obyczjew kirgizow*. Wspomniany tom, nigdy nie publikowany w Polsce, ukazał się w Omsku w 1886 roku, zaś ogłoszony w „Ludzie” artykuł Witorta – w 1899 roku. Jest więc oczywiste, że Gross nie mógł tak samo brzmiącego fragmentu zapożyczyć z tekstu przyjaciela, choć przyczyn takiego stanu rzeczy mogło być kilka.

Nie jest także jasna rola Witorta w Semipałatyńskim Komitecie Statystycznym. Przypomnę, że zatrudniony w nim sędzia Piotr Jemielianowicz Makowiecki otrzymał polecenie gubernatora wojskowego opracowania zbioru norm prawnych, mających moc prawa w trzech kazachskich powiatach. Według różnych informacji, w badaniach tych brał udział Seweryn Gross, Aleksander Leontjew i Aleksander Blek, natomiast żadne inne źródło, poza *Autobiografią*, nie wspomina o Witorcie jako o osobie zatrudnionej przy realizacji tego zadania. Nie jest też oczywiste, jaka była relacja badacza z Abajem Kunanbajewem (nie Konubajewem, jak go nazwał w swojej *Autobiografii*). Wiadomo, że Gross przyjaźnił się z nim, wiele się od niego nauczył, szczególnie w dziedzinie prawa zwyczajowego, które Abaj, jako kazachski sędzia znał doskonale. Czy jednak ów „cywilizowany Kirgiz” był równie otwarty przy Witorcie, źródła milczą.

Dziwi mnie również prawie całkowite zbagatelizowanie w *Autobiografii* sprawy prac prowadzonych przez semipałatyński zespół, które zaowocowały opublikowaniem jednego z najlepszych zbiorów prawa zwyczajowego, jakie ukazały się w czasach przedrewolucyjnych. Książka ta, w XIX wieku chwalona, jest chyba największym osiągnięciem Semipałatyńskiego Komitetu Statystycznego i prawdopodobnie Seweryna Grossa.

Duża wstrzemięźliwość w pisaniu o swoim przyjacielem też jest zastanawiająca (choć autorka zwraca uwagę, że Witorcowi zdarza się dosyć często nie wspominać o swoich współtowarzyszach). W czasach powstania *Autobiografii* Gross już nie żył, nie miał dzieci, więc w zasadzie zdradzając jego zesłańcą

przeszłość, nikomu nie mógł zaszkodzić. A był on człowiekiem, któremu się w życiu raczej nie wiodło. Że nie zapomniał go – to pewne, skoro pisał do Bolesława Wystoucha: „Nie widzieliśmy się ani razu w życiu, ale znamy się przez wspólność idei i dążności oraz przez naszego przyjaciela wspólnego Seweryna Grossa, zmarłego już od kilku lat” (s. 248). Dotyczy to także kartki wysłanej do Adama Fiszera, zawierającą informację o dacie i okolicznościach jego śmierci.

Być może istnieje pewna wskazówka, dlaczego tak się stało. W rozdziale poświęconym „ludziom nauki” podkreślane są związki Witorta z Akademią Umiejętności i z Towarzystwem Ludoznawczym. A. Gomóła zauważa, że pierwszym mentorem Witorta był prawdopodobnie dr Jan Karłowicz, o którym także niewiele pisze w *Autobiografii*. Jaka była tego przyczyna, nie wiadomo i można tylko snuć przypuszczenia. Być może Witort podkreślał w tekście głównie swoje zasługi, by zaistnieć w świecie nauki. A. Gomóła zwraca uwagę, że artykuły Witorta nie były publikowane w Akademii Umiejętności, w zasadzie bez podania przyczyn. Może wiązało się to z dbałością o poziom tej placówki i staraniem, by pisywali do niej tylko wybitni uczeni. Autorka zresztą sama przyznaje, że ocena twórczości Witorta była niejednoznaczna.

W końcowej części książki, poświęconej zagadnieniom teoretycznym, A. Gomóła zajmuje się etosem uczonego w XIX wieku. Model ten, odbiegający od współczesnego i jak sama przyznaje, nieco idealistyczny, oparty był na wiedzy, honorowym postępowaniu, swoistym mesjanizmie i imperatywie dbania o czystość intencji. Precyzuje również, kluczowe dla książki, pojęcie antropologii nauki i jej przydatności do badań nad ludźmi, którzy poświęcili się zdobywaniu wiedzy. Jest to, jej zdaniem „taka dziedzina, która powinna zajmować się badaniami relacji pomiędzy istniejącymi konwencjami naukowymi, a sposobami ich utrwalania i modyfikowania w dyskursie określonej epoki. Odślonienie wzorów postaw i zachowań, w jakie wpisują się lub z jakimi polemizują poszczególni ludzie nauki, byłoby tu zadaniem pierwszoplanowym”. Dodaje jednak, że „próba realizacji tego zadania musi się rozpocząć od analizy potrzeb i postaw pojedynczego człowieka” (s. 280).

A. Gomóła wytycza swoją książką drogę postępowania, która pozwoli zbadać naukę jako wycinek rzeczywistości kulturowej. Niewątpliwie jest to ciekawa, wymagająca dużej wiedzy praca badawcza. Jednak sama autorka przyznaje, że jej propozycja w małym stopniu łączy się z historią nauki. Jest przez to przeznaczona dla węższego grona czytelników, odpowiada na mniej pytań, ale też daje w szerszym kontekście odpowiedzi bardziej ogólne.

Anna Milewska-Młynik

- **Janusz Kamocki, *Egzotyczne podróże etnografa. Azjatyckie wędrówki i poszukiwania polskich zesłańców w ZSRR*, Wydawnictwo Kubajak, Krzeszowice 2013, s. 183.**

Podróże po świecie to modny dzisiaj element turystyki, ale i zarazem bardzo popularny model opowieści podróżniczych, które ukazują przestrzenno-kulturowy obraz odległych krajów. Nietrudno zrozumieć, dlaczego podróżowanie jest współczesnym modelem „wędrówki ludów”, które reprezentuje szerokie

zróżnicowane postaw sytuujących się w sferze osobistej, społecznej i duchowej o wielościach znaczeń, jakże różnych w szerokim kontekście motywów i okoliczności współczesnego wędrowania po świecie.

W jeden z takich nurtów wpisuje się prezentowana tu książka ze wstępem Antoniego Kuczyńskiego, który nazwał jej autora obieżyświatem i ujawnił wieloletnią z nim znajomość wynikającą z faktu takiej samej profesji. Obaj, bowiem są etnografami, dla których ta dyscyplina nauki łączyła się przemieszczaniem w celu poznania faktów kulturowych występujących w czasie i przestrzeni. Dla wielu są to wędrówki po ojczystym kraju pełnym zróżnicowań w sferze kultury materialnej społecznej i duchowej, dla innych wyprawy do krajów europejskich a częstokroć do Afryki, obu Ameryk, Azji czy Oceanii.

Etnograficzne wędrówki autora tej książki rozpoczynały się podczas praktyk studenckich, potem prowadził wielotematyczne badania karpackie, badania nad folklorem Gór Świętokrzyskich, a ważnym miejscem jego intensywnych penetracji terenowych była Sandomierszczyzna, z której pochodził. Tam, bowiem w przepięknym dworze w rodzinnym Podgaju, doszczętnie zrujnowanym w czasach tzw. Polski Ludowej, poznawał uroki tej ziemi, jej historię, baśnie i legendy. Z jego relacji wiadomo, że gdy pytano go, jako małego chłopca, kim chce być w przyszłości wówczas odpowiadał, że „podróżnikiem” – a właściwie „podlužnikiem”, bo wtedy jeszcze nie wymawiał litery „r”! Uzbierało się w książce nieco wiadomości o „obszarniczej” przeszłości autora, jego konspiracyjnej działalności, etnograficznych studiach na Uniwersytecie Jagiellońskim, pracy w Muzeum Etnograficznym w Krakowie oraz ludziach o których z sentymentem napisał w tej ze wszech miar interesującej książce

Książka J. Kamockiego umożliwia czytelnikowi interesujące spotkanie z jego etnograficznymi zainteresowaniami, pracą zawodową, dorobkiem naukowym, azjatyckimi wędrówkami (np. Indonezja, Singapur Indie i Nepal, Kazachstan, Kirgizja, Uzbekistan), zawiera obfitość informacji o ludziach, których spotykał na tym „szlaku obieżyświata”, wydarzeniach i procesach dziejowych. Stanowią one dobrą okazję do refleksji nad specyfiką poznawczą dyscypliny naukowej określanej mianem etnografii lub etnologii a teraz coraz częściej antropologią kulturową.

W tym przybliżeniu etnograficznych zainteresowań autora, chyba równie istotną wartością książki jest wskazanie drogi do poznawania kultur i ludów świata wiodącej poprzez studia etnograficzne. Jej lektura porusza własne odczucia i myśli, i to one są ważne w odbiorze czytelnicznym, więc zachęcam do sięgnięcia po nią i celowo unikam pełniejszego streszczenia jej treści. W sumie jest ona zbiorem rozproszonej faktografii biograficznej jej autora oraz o jego etnograficznych badaniach. A skoro książkę tę prezentuje „Zesłaniec”, to na koniec dodam, że Janusz Kamocki podczas azjatyckich peregrynacji poszukiwał polskich zesłańców w ZSRR, śledził ich dzieje i dobrze przysłużył się sprawie pełniejszego przedstawienia dziejów Polaków mieszkających do dzisiaj w Kazachstanie. Opowiadaniem o tym pokazał, jakim splotem wydarzeń jest ich dola, a zarazem żenujący brak współczesnego zainteresowania Macierzy przyjęciem tych Rodaków pod rodzinny dach.

BronisławPrzesmycki